WYJĄTKI

Z PAMIĘTNIKÓW KAJETANA KOŹMIANA.

I. Wspomnienia moje z powstania Kościuszki.

Już po bitwie pod Dubienką i nastąpionem armistycium pod Markuszowem, gdy się wojska rossyjskie rozłożyły po kraju, można było spostrzegać jakie imie Kościuszki robiło wrażenie na szeregach tego wojska równie jak na umysłach mięszkańców. We Lwowie, gdzie się był usunął, taki się objawił zapał, że rząd austryacki w grzecznym sposobie oświadczył mu aby się oddalił do innéj prowincyi austryackiéj i nie stał się niewinną przyczyną niespokojności. Kościuszko udając się do Drezna wstąpił do Zamościa do Pani Ordynatowéj Zamojskiej, a ztamtąd uchylił się na parę dni do wsi Wyżnianki pod Kraśnik, dzierżawy Joachima Owidzkiego, rządzcy pełnomocnego ordynacyi. Gdy pułkownik rossyjski dowiedział się o tej wizycie, kazał być w pogotowiu całemu pułkowi do wyruszenia, bądź dla czynienia honorów wojskowych Jenerałowi polskiemu, bądź dla ostrożności. W nocy żołnierz stojący na warcie w bramie wystrzelił. Powstał alarm w mieście i cały pułk stanął pod bronią. Gdy się zapytała warta szyldwacha na co i do kogo strzelił, odpowiedział: Kościuszko się ukazał, a gdy wystrzeliłem, przemienił się w kota i uciekł. Ten wypadek dał razem poznać trwogę i zabobonność jaką jeszcze tchnął prosty rossyjski żołnierz.

Od chwili zalimitowania sejmu grodzieńskiego i okropnych jego skutków, które acz przewidywano, ale do tego stopnia i w tym sposobie widzieć nie spodziewano się, już dobra harmonia między wojskami dwóch narodów znikła. Z jednej strony żal i nienawiść, z drugiej ostrożność i podejrzliwość na twarzach się malowały. Z Warszawy jednak wychodziły urządzenia nakazujące wprowadzenie sądów i administracyi policyjnej

w okruchu tego kraju według przepisów grodzieńskiego sejmu. Ojciec wyprawił mię do siostry mojej na Podlasie, gzie brat mój podczas sejmu grodzieńskiego bawił, abym go zawiózł ztamtąd na dalsze nauki do seminarium XX. Missyonarzy do Warszawy. Przyjechawszy tam i umieściwszy go byłem z rozkazu ojca u X. Skarszewskiego, biskupa lubelskiego, i podówczas podkanclerzego koronnego. Odwiedziłem Kickiego, koniuszego koronnego, który mi oświadczył, iż jeżeli chcę się prezentować królowi, abym się znajdował nazajutrz w garderobie królewskiej rano o godzinie 12tej. Znalazłem się więc tam, zastałem kilka nieznajomych mi osób, służbę królewską, paziów i Kickiego. Wyszedł król, twarz jego zawsze piękna, wspaniała, chociaż już zmarszczkami smutku okryta. Włosy nieco osiwiałe, lecz postać cała poważna i przyjemna. Gdy mię Kicki przedstawił, z uprzejmością i czułością pytał się mnie o ojca, wielu mam braci, a gdy mu opowiedziałem i wspomniałem o bracie w seminaryum będącym, rzekł: Oświadcz ojcu że będę o nim pamiętał.

Powracając z Warszawy zjechałem się z obywatelem Kijowskim niejakim panem Pauszą. Długo w Puławach czekaliśmy na przewóz. Na promie mój towarzysz oświadczył mi że zna mego ojca i zapytał mnie co robiłem w Warszawie i gdzie byłem, a gdy mu powiedziałem że byłem u Skarszewskiego, zaczął przeciw niemu z obelgami powstawać, i dodał: Nie chciałbym być w jego skórze. Biorąc mię zapewnie za stronnika dworu, z niejaką ostrożnością zemną mówił, z czego wnosiłem że coś wie ale wyjawić nie chce. Powiedział mi tylko, że Jenerał Zajączek z Drezna był w Warszawie, że się widział z jenerałami polskimi, że miał żywą rozmowę z Jenerałem Ilgestromem, i że mu kazano natychmiast wyjechać. Dodał: Policya rossyjska zaczyna być surową, wyjechałem unikając jakiego nagabania. Powróciwszy do domu, gdy to wszystko opowiedziałem ojcu, rzekł do mnie: Żydzi coś przebąkują o ruchu wojska ku Krakowu, a wypytywania się i niespokojność oficerów rossyjskich ma jakieś znaczenie. Jakoż będąc w Lublinie po 20tym marca, już zastałem ciche szemranie o powstaniu w Krakowie i ruch wojska spieszącego nagłym ku Wiśle pochodem. Ostatni przechodził pułkownik Bibikow, który kilku kancelistów grodzkich, przypatrujących się w czapkach na głowie, kazał wziąść na odwach. Wkrótce zaczęły się rozchodzić w sekrecie akt powstania krakowskiego i proklamacye Jenerała Kościuszki. Mój ojciec zgłosił się do podkanclerzego Skarszewskiego z zapytaniem czy mają się obywatele zjechać w Lublinie dla reassumowania sądów wśród wieści o niespokojnościach krakowskich. Odebrał odpowiedź, że nie widzi przyczyny dla czego obywatele nie mieliby się

zebrać, gdyż zburzenie się w Krakowie jest tak drobną rzeczą że w tej chwili już uspokojonem być musi. Wkrótce przychodzące z Warszawy wiadomości o uwięzieniu Stasia Potockiego i Sierpińskiego, o surowych środkach policyi tak Jenerała Ilgestroma jakoteż Marszałka Bielińskiego przeraziły mięszkańców, gdy wieści o bitwie Racławickiej razem gruchnęły. Parę niedziel zeszło na snuciu się wojsk rossyjskich spieszących ku Wiśle i polskich dążących ku Krasnystawowi, gdy w samą wielkanoc wiadomość przybiegła z Warszawy o rzezi w Wielki Czwartek, w której zacny Jenerał Miłosiewicz raniony został, a Jenerał Gagarin zabity, i o ucieczce Jenerała Ilgestrom. Zjechano się więc natychmiast do Lublina, przybył od Jenerała Kościuszki Książe Kaźmierz Sapieha, jako prosty inżynier z Jenerała artylleryi, do zawiązania tego powstania. Na rynku więc lubelskim przemówił i zachęcał. Zawiązał się akt powstania i wybrana komissya pod naczelnictwem Tadeusza Kościuszki zaczęła swoje urzędowanie pod prezydencyą Tomasza Dłuskiego podkomorzego lubelskiego, który gdy się wymówił sędziwością wieku, objął ster Stanisław Kossowski starosta sieradzki. Wielu było ochotników do tej komissyi. Targowiczanie pochowali się z obawy zemsty skoro się wiadomości rozeszły o wieszaniach i więzieniach w Warszawie. W Lublinie między członkami komissyi dały się słyszeć mowy: I tu trzeba tego przykładu. Przecież te groźby przesadzonych patrjotów nie spełniły się tylko na jednej nieszczęśliwej ofierze najniewinniejszej. Lokaj pijany jednego z oficerów rossyjskich zabłąkał się przy wyjściu wojska i zaaresztowany został przez policyą. Otóż krzyki zagorzalców: Powieście bo to szpieg. A tak najniewinniejszego człowieka bez indagacyi, bez sądu, bez przekonania, na postawionej na rynku szubienicy powieszono. Pobledli na to majętniejsi mieszkańcy miasta a szczególniej bankierowie, którzy z natury swoich stosunków pieniężnych nie mogli nie mieć związków z Rossyanami. Lecz szczęściem dla województwa, że w gronie członków komissyą składających nie było jak trzech zagorzalców, którzy chcieli małpować Warszawę. Reszta składała się z obywateli osiadłych, umiarkowanych, oświeconych, którzy się krwawym terroryzmem brzydzili i fałszywym patrjotyzmem okryte denuncyacye odpychali. Jakoż wkrótce przyprowadzono do Lublina jak szpiega i zdrajcę zabitego w dyby i pochwyconego z Solca najbogatszego i najznakomitszego kupca izraelitę, niejakiego Sandra, znanego powszechnie z cnót i ludzkości w całej okolicy sandomierskiej. Denuncyantem był niejaki Przybylski mój współuczeń szkolny. Wezwany na sekretarza tej komissyi mimo chęci, gdyż moim popędem było wejść do wojska, sprawowałem ten urząd gdy tego nieszczęśliwego więźnia na prostym wieśniaczym wozie pod strażą mie-

szczan soleckich przystawiono przed ratusz. Polecono mi z niego zrobić pierwszą indagacyą, zatrzymać w więzieniu i zdać raport. Zapieniony denuncyant wykrzykiwał na niego zarzuty, pospólstwo się gromadziło, żyd więzień wysokiej postaci, czarno zarastający, lat około 40 liczący, w atłasach ubrany, ze skrępowanemi przez dyby nogami, nie mógł zleźć z woza. Kazałem mu zdjąć dyby, a że miałem już wyobrażenie sprawiedliwości i jej form, zacząłem czynić wyrzuty denuncyantowi że nieprzekonanego własną wolą opętał w więzy. To słysząc mieszczanie soleccy, do straży dodani, odezwali się: Panie, my przysięgniemy że ten kupiec jest niewinny, to jest dobroczyńca naszego ubóstwa. Ośmielony tem izraelita, zsadzony z woza pod nogi mi się ukłonił, i całując moje ręce wsunął mi w dłoń list. List ten był od nieznajomego mi lecz dobrze znajomego ojcu memu sędziego Kochanowskiego, posła z Województwa Sandomierskiego na sejm 1788. W nim znalazłem te słowa: „Nie znam Waćpana ani mu znany jestem, lecz znam i jestem „znany ojcu jego. Za tego izraelitę, ztąd gwałtem porwanego, „ręczę moją głową że jest najniewinniejszy. Zaczynasz mło„dzieńcze swój zawód publiczny w najniebezpieczniejszych cza„sach. Oznacz swój wstęp szlachetną obroną niewinności a Bóg „cię błogosławić będzie i otrzymasz na całe życie pociechę „swego sumienia Denuncyant jest człowiek tu ochydzony i zło„śliwy. Zrobił sobie projekt na majątek tego nieszczęśliwego, „że mu się okupić nie chciał.“ Uspokoiłem żyda nieszczęśliwego, a przeczytawszy in gremio list Kochanowskiego powróciłem do uczynienia indagacyi. Niewinność żyda była jawną, poparli ją mieszczanie. Zrobiłem raport komissyi z wnioskiem aby go natychmiast wypuścić. Próżno trzech krzykaczów sprzeciwiało się wypuszczeniu i wnosiło aby go odesłać do sądu kryminalnego do Warszawy. Komissya większością głosów potwierdziła mój wniosek. Żyd wypuszczonym został. Chociaż go od tego czasu nie widziałem, przy jednem zdarzeniu doświadczyłem wielkiej jego szlachetności i wdzięczności. W nieszczęściu pożaru, które mię dotknęło, narzucił mi się z nią. Nie byłem w potrzebie jej przyjęcia i odmówiłem. „Ja panu „Koźmianowi życie winienem, a on się uwziął niewdzięcznym „mię zrobić.“ — Mawiał przed dziedzicem Solca, ministrem skarbu Matusiewiczem, o czem mi ten powiadał.

Wkrótce wszedł do Lublina Jenerał Grochowski może we 4000 wojska, a za nim pułkownik Antoni Radzimiński w 500 ludzi pieszego i konnego powstania. Stanęli obozem pod Wieniawą. Za parę dni pociągnęli nad Wisłę na przeciw Połańca, gdzie Naczelnik okopał się i czekał na ściągające się do niego posiłki. Pułkownik Tóliński i podpułkownik Hemling zostali w Lublinie dla uorganizowania pułku jazdy lubelskiej.

Rossyanie w nowej sile pod Jenerałem Fersen i Derfeldem zaczęli się zbierać nad Bugiem. Dla zasłonienia Województwa Lubelskiego od napaści, wykomenderowany został z Warszawy Jenerał Kamiński i Wedelszted w 5000 ludzi pod głównem dowództwem Jenerała Zajączka. Szczupły ten korpus przeszedł przez Lublin aż pod Chełm. Jen. Zajączek podówczas nie miał ani w wojsku ani u mięszkańców tej reputacyi, na którą potém zasłużył. Był on szczerze z rewolucyą, i był prawdziwym rewolucyonistą. Nieufność na siebie ściągnął początkowemi w młodości z Hetmanem Branickim ścisłemi związkami. Na sejmie 1788 odstąpił go i przywiązał się szczerze, i przez żonę pokrewną Strassera doktora przy Miecznikowej koronnej Humieckiej, siostrze rodzonej Marszałka i Pisarza Rzewuskich, zostającego, i przez przyjaźń z Kołłątajem Podkanclerzem koronnym, którego pryncipia demokratyczno-terrorystyczne dzielił, przywiązał się, mówię, do strony anti-rossyjskiej. Ztąd z obydwóch powodów więcej go podzierano niż mu ufano, a chociaż Naczelnik jego zdolnościom i jego prawości i męztwu wierzył, wybór ten na dowódzcę nie był zręcznym, i tylko brakiem doświadczonych Jenerałów mógł być wymówionym. Zbliżały się stanowcze walki. Pułkownik Tóliński zebrawszy 300 kawaleryi, powołany od Jła Grochowskiego nad Wisłę, opuścił Lublin. Komissya lubelska, wezwana od Jła Zajączka o wsparcie powstaniem słabego korpusu nad Bugiem, niemogącego się mierzyć z siłą Jła Fersen, który zamyślał o przeprawie tej rzeki, wyprawiła zebranych, pod Jenerałami wojewódzkimi Radzimińskim i Józefem Trzcińskim niemającym wyobrażenia wojskowości, do 3000 kossynierów i pikinjerów. Zjechał do Lublina Potocki Piotr kasztelan lubelski w randze Jenerała, zjechał pełnomocnik rady najwyższej, professor niejaki Tomaszewski, dla dodawania ducha mięszkańcom, przyspieszenia uzbrojeń i zaboru sreber kościelnych do mennicy warszawskiej. Wtenczas drzewo Krzyża Śgo w kościele ojców Dominikanów straciło swoją oprawę kilku tysięcy czerwonych złotych wartości. Zabrano wszystkie wota i sukienki, kielichy tylko oszczędnie zostawiono. Trzy bryki tem śrebrem napakowane wyprawiono pod strażą do Warszawy. Czyli wszystko w całości doszło, niewiadomo. Publiczność wytykała potém palcami tych, którzy z tego łupieztwa korzystali. Powstanie z kosami i pikami żadnego nie przyniosło pożytku bądź winą nieumiejętnych i nieodważnych dowódzców, bądź niesfornością surowych i niewyćwiczonych szyków i mniej zręcznego pospólstwa w lubelskiem niż w krakowskiem. Jeszcze nie została ta gromada doprowadzoną do placu bitwy po Chełm gdy na sam odgłos armat rozpierzchła się bandami, postrach rozniosła i cofanie się regularnemu wojsku utrudniła. W jednej chwili roz-

biegły się w Lublinie wieści o przegranej bitwie przez Jenerała Zajączka pod Chełmem. Poranieni rozszerzyli postrach przesadzając klęskę. W istocie Zajączek acz mimowolnie przez Jła Wedelszted wciągniony do bitwy, wycofał się z niej z małą bardzo stratą. Poległo wprawdzie kilku walecznych oficerów, a między nimi podpułkownik Chomentowski, któremu kula armatnia głowę na bateryi urwała. Lecz armaty ocalały. Komissya lubelska w oczekiwaniu pewniejszych wiadomości odbywała zwykłe posiedzenia, gdy wszedł do jej sali mężczyzna wysoki, przystojny, w ciemnej bajowej wołoszce z czarnym bandoletem przez ramiona; włosy na głowie gładko uczesane, śmiały krok, jakim ku prezydującemu postępował, wydawały wojskowego wyższej rangi. Gdy się zbliżał, rzekł dobitnym głosem: „Jestem Jenerał Zajączek. Nie byłem szczęśliwy odeprzeć silniejszego nieprzyjaciela pod Chełmem, cofam się, lecz pod „Lublinem bić się zamyślam. Czy są przysposobione środki „obrony dla miasta, bo może będzie wystawione na walki po „ulicach.“ Na to jeden z członków komissyi, Tomasz Dederko, który się był ożenił z młodą osobą będąc już podeszły wiekiem i posiadał w Lublinie na Panny Maryi ulicy dom piękny, świeżo wystawiony ale drewniany, odezwał się: „Panie Jenerale, w cóż się nasze domy obrócą?“ Na to Jenerał w żywem uniesieniu: „Kto Waspan jesteś? I Wacpan myślisz o swoim „domu kiedy ojczyzna woła o ofiary życia i majątku. Wacpan nie powinieneś tu siedzieć, nie masz ducha patryotycznego i jeszcze go zabijasz w drugich. Ja cię każę w kajdany „okuć i do sądu kryminalnego do Warszawy odeślę.“ Na to Grabowski, podkomorzy krasnystawski, znajomy dawny Jenerała, odezwał się: „Panie Jenerale, nie posądzajmy się.“ — „Cóż mi Wacpan zarzucisz?“ — odpowiedział z gniewem Zajączek. „Że nie wygrałem bitwy? Bronić się będą pod Lublinem i w Lublinie. Czy są skóry mokre do nakrycia dachów, czy są narzędzia do gaszenia ognia, czy jest jeneralne powstanie?“ — „Prosimy o dowódzcę“ — zawołali wszyscy — „aby się z nami naradził, a wszystko będzie.“ — „Powinno już było być,“ — rzekł Jenerał, — „przyślę dowódzcę, ale „to napróżono, bo w tem województwie niema ducha patryotycznego,“ — i w zajwiększym gniewie wyszedł. Grono komissyi, jakby piorunem uderzone oniemiało i niewiedziało co ma czynić. Dowiedziawszy się że Jenerał Wedelszted przybył do Lublina, wysłało do niego deputacyą z Grabowskiego i Stryjeńskiego po radę, lecz lękliwy Niemiec oświadczył że będąc podkomendnym Jła Zajączka skarg przeciw niemu słuchać nie może, a nie mając od niego rozkazu, w nic się wdawać nie chce. Tymczasem wojsko cofając się pod Lublin rozłożyło się między Tatarami i Krępcem. Z wież i dymników Lublina mo-

żna było widzieć te szczupłe szeregi. Wtem gruchnęła smutna wiadomość o przegranej bitwie przez Naczelnika pod Szczekocinami. Ta wieść zapewne zmieniła plany Jenerała Zajączka. Na wszelki przypadek Lublin wyludniać się zaczął i komissya wzięła determinacyą w razie cofania się wojska trzymać się jego i za nim wyjechać. Ja zawsze miałem gotowe podwodowe konie i bryczkę. Ułożyłem się z Pawłem Stryjeńskim że razem ruszymy. Jeszcze przed świtaniem gdy leżałem w łóżku wpadł do mnie młody kancelista Felix Rojewski i zawołał: „Waćpan śpisz a wojsko się już cofa.“ I spostrzegłszy moje pistolety, każdy dwoma kulami nabity, porwał jeden, zmierzył do siedzącego i rzekł: „Strzelę ja do Wacpana“. Ledwie wyrzekłem: „Nabity!“— Kurek spuszcza i pali o trzy kroki. Dwie kule, jedna około głowy, druga obok piersi mijają mię szczęśliwie. Tynk tylko ze ściany obsypuje mię, dym ogarnia. Nieostrożny winowajca upuszcza na ziemię pistolet i ucieka. Nie pokazał się aż się dowiedział że mię nie zabił. Wsiadłem na konia i złączyłem się z wojskiem maszerując obok pułkownika Zaremby aż do Puław, gdzie po przygotowanym moście wojsko przechodziło. Członkowie zaś komissyi zatrzymawszy się w Puławach, wysłali mię kuryjerem do obozu Naczelnika z zapytaniem co ma przedsięwziąść komissya. Niewiedziałem gdzie się mam udać, jechałem na Radom, gdzie od prezesa komissyi Strasza dowiedziałem się, że się go spodziewają pod Radomiem. Pojechałem więc przez lasy i zetknąłem się z przednią strażą na drodze za Kozłowcem. Ujrzałem cały uszczuplony korpus, oddałem ekspedycyą Naczelnikowi, który mi kazał jechać za sobą do Kozłowca. Tam w małym folwarku rzekł do mnie Naczelnik: „Niech komissya ile możności trzyma „się kraju, by zawsze mogła rozpocząć swoje czynności. Gdyby „zaś nie widziała się bezpieczną, niech się uda do Galicyi, tam „ją przyjmą, a wkrótce na swe urzędowanie powróci. Pułko„wnik Fiszer da ci ekspedycyą i wracaj z nią.“ Powracając w małem miasteczku zastałem wielką opakowaną karetę, do której sześć koni miejskich zaprzęgano. Siedziały w niej kobiety. Była to miecznikowa koronna Humiecka, uje̜żdżająca z Warszawy do Zamościa. Gdy burmistrzowi okazałem rozkaz od komissyi radomskiej aby mi wszędzie konie skwapliwie dawano, burmistrz wyprzągł koni parę z pojazdu pani miecznikowej i do mojej bryczki założyć kazał. Wtedy odezwał się głos z karety: „Proszę, proszę do siebie pana oficera,“ gdyż ubiór mój był na wpół wojskowy. Miecznikowa koronna, kobieta już w wieku i ledwo patrząca na oczy, zapytała się mnie o nazwisko, a gdy się dowiedziała: „A to moja znajomość!“ — zawołała — „znam ojca, przyjaciółką jego jestem, błagam cię — nie rób mi „tej przykrości; nie uciekam, ja jestem duszą i sercem z re-

wolucyą, ale z moim wzrokiem spieszę do doktora do Zamościa.“ Modlitwy jej rozczuliły mnie. W młodych piersiach rzadko bywa serce twarde. Ułatwiłem jej wyjazd, lecz za to sam pieszo musiałem iść aż do Lipska, gdyż liche konie, które mi zaprzężono, ustały. Tam się zjechałem z członkami komissyi i tam dowiedzieliśmy się że Jenerał rossyjski Derfelden wszedł do Lublina, i że żadnego prześladowania na członkach komissyi w mieście pozostałych nie dopuścił się. Nałożył wprawdzie zł. 100,000 kontrybucyi, którą potem na prośby deputacyi miejskiej na 30,000 zniżył. Za to miastu dał opiekę. Dowiedziawszy się że wojsko odbija sklepy, skarcił łupieztwo i dał warty sklepom. Ludzki, szlachetny, niechciał przyjąć żadnego daru dla siebie od miasta. „Dość jesteście nieszczęśliwi,“ — mówił — „abyście jeszcze mnie mieli obdarzać, ja mało po„trzebuję i mam wszystko od mojej monarchini, dosć dla mnie „gdy mi zachowacie pamięć.“ Ten sam Jenerał, znajomy i przyjaciel marszałka Potockiego, przechodząc przez Kurów, osłonił go załogą i żadnego zaboru wojsku nie dozwolił. Dodam, że gdy później już za panowania Cesarza Alexandra przez Lublin przechodził, miasto pamiętne jego dobrodziejstwa wysłało do niego deputacyą i powtórnie wystąpiło z darami i dziękami. Nie przyjął pierwszych, wszystkich uściskał jak znajomych i rzekł do nich: „Nie zapomnieliście o mnie, tu jest moja nagroda“ — i wskazał na serce. Ja dodam: *Sunt sua præmia laudi.*

Z Lipska komissya udała się do Sandomierza z wszystkiemi członkami i aktami. Przebyliśmy tam Wisłę i wjechali do Galicyi. Przepuszczono nas bez żadnego utrudzenia. Przepuszczono nawet akta komissyi chociaż przez skrzynie i worki dziurawe przeglądały proklamacye mające napis: Wolność, Całość, Niepodległość. Udała się komissya w gronie do Szczebrzeszyna, gdzie wielu znalazła emigrantów. Wysłano mię do Zamościa do Pani Ordynatowéj Zamojskiéj celem wyjednania umieszczenia się członkom komissyi w Klemensowie lub Zamościu. Udałem się do Joachima Owidzkiego pełnomocnika zaufanego Pani Zamojskiéj. Przyjął mię z serdecznością jako znajomego sobie ze szkół Zamojskich. Udał się on zaraz do Barona Mandorf Kreiskapitana w celu wyrozumienia czy nie będzie przeszkody stawiał, i oświadczył mi że rząd austryacki członkom komissyi z rodzinami jako prostym emigrantom nie wzbrania umieszczenia się gdzie chcą po wsiach lub miastach, w Klemensowie lub Zamościu, byle nie gromadnie i byleby nie rozpoczynali żadnego urzędowania, gdyż temu-by przeszkodzić musiał. Rozjechali się więc członkowie, jedni do Zamościa, inni do Lwowa, inni w małych miasteczkach osiedli. Tymczasem po przejściu Rossyan przez Lublin wkroczył w woje-

wództwo lubelskie Jenerał austryacki Majenszerm w 3000 lub 4000 wojska, i zajął Lublin. Odcięci od wszystkich wiadomości, unikaliśmy komunikacyi listowych a wieści od ust do ust powtarzane nic pewnego nie przynosiły, gdy powróciwszy ze Lwowa do Zamościa jeden z członków komissyi Tadeusz Kownacki przywiózł nam pocieszającą wiadomość o powstaniu Wielkopolski, o odstąpieniu króla Pruskiego od Warszawy, o cofnieniu się wojsk rosyjskich ku Brześciowi. Tych wiadomości udzielił mu Jenerał komenderujący we Lwowie i Galicyi, i powiedział mu te słowa: „Winszuję Polakom, dobrze „idzie wasza sprawa. Król Pruski odstąpił od Warszawy, woj- „ska rosyjskie cofają się, my na chwilę zajęliśmy Lublin, lecz „się natychmiast cofamy. Możecie z bezpieczeństwem do wa- „szego urzędowania powrócić.“ Zaczęliśmy więc pojedyńczo powracać. Nie zastaliśmy już Austryaków w Lublinie. Nie mogliśmy się tak prędko zebrać i reasumować komissyą. Pocieszaliśmy się wiadomościami o zwycięztwach Jenerała Dąbrowskiego nad Sekulim i zdobyciu Łabiszyna. To w Lublinie, to w Lewartowie u X. Kanonika Wilczyńskiego proboszcza i członka komissyi bawiąc, dosłuchiwaliśmy i oczekiwali dalszych wiadomości, gdyż wiedzieliśmy że Jenerał Suwarów z Brześcia dąży ku Warszawie i kupią się koło niego Jenerałowie Fersen i Derfelden. Nakoniec zgromadziliśmy się w Lublinie. Na chwilę z Grabowskim Podkomorzym wyjechałem do wsi jego Osmolic, w której chciał odwiedzić mieszkającą żonę. Dzień był piękny. Chodzącym po dziedzińcu, dał nam się słyszeć głuchy grzmot przerywany i wyraźnie dosłyszeliśmy huku armat. Służący przykładając ucha do ziemi potwierdzili że ten huk jest odgłosem bitwy. Gdyśmy przyjechali do Lublina w kilka dni cała okropna katastrofa Maciejowickiej bitwy i nieopłakane jej skutki odkryły się. Jenerał Majenszerm powtórnie zajął Lublin. Już więcej z niego Austryacy nie wyszli. Spełniły się nieszczęśliwe losy Polski.

Dziwić się wypada że tego powstania nie mamy dotąd dokładnej historyi. Były czasy pomyślne do jej bezstronnego napisania. Nikt o niej nawet z członków Towarzystwa Przyjaciół Nauk nie pomyślał. Dwa tylko małe pisma historyczne, iedno prozą po francuzku, drugie wierszem w polskim języku istnieje. Obydwa stronne, obydwa w zupełnej z sobą sprzeczności. Pierwsze ma tytuł Histoire de la Révolution de Pologne par un temoin oculaire, przez Jła Józefa Zajączka w Paryżu wydane, — drugie, niewłaściwie nazwane Stanislaidą, gdyż czem innem nie jest tylko historyą Stanisława Augusta wierszami, a raczej jego apologią aż do bitwy Maciejowickiej. Pierwsza jej część jest napisana pięknym wierszem, druga w opisach bitew często w trywialność wpada. Oba jako przez

wojskowych pisane, co do wojskowości mogą być użyteczne historykowi, lecz co do polityki i spraw publicznych kreślone pod świeżemi wrażeniami urazy, nienawiści lub przychylności przesadzonej, na nic się mu nie przydadzą, gdyż są w najwyższym sposobie stronne. Zajączek, demokrata, terrorysta, zapalony stronnik Kołłątaja, nienawidzący króla i całej jego rodziny, rozjątrzony swojem i rewolucyi niepowodzeniem, czujący mocną urazę i do żywego obrażony posądzeniami, wszystkie nieszczęścia zwalił na króla i na naród, nawet i województwu lubelskiemu nie przebaczył. O brak patrjotyzmu oszkalował go niemiłosiernie. Molski podpółkownik, wierszopis, czy z skłonności czy z potrzeby wielbiciel i chwalca króla, przyjaciel nadwornego Marszałka Raczyńskiego i Jenerała Górzeńskiego, protegowany przez nich, o wszystkie nieszczęścia krajowe obwinił sejm 1788, nawet rewolucyą Kościuszki potępił. Te cztery wiersze, które tu przytoczę, bardziej-by przystały powstaniu z innej epoki:

Pewnie was to od zgryzot sumienia zasłoni,
Żeście w najlepszej chęci stanęli do broni.
Ach! czyli mię kto niechcąc czyli chcąc zabije,
Co mi po jego celach kiedy ja nie żyję.

II. Puławy. Opole.

Na czele domów możnych jak w całym kraju tak w województwie lubelskiem stały Puławy. Nie będę ich tu opisywał. Słyną one nie tylko w narodowych lecz i zagranicznych pismach. Czem były dla Polski, wspomniałem po części w przypiskach mego *Ziemiaństwa*. Powstawały z krajem, kwitły wraz z krajem i wraz z krajem znikły. Zagłada Polski dotknęła zagładą ten przybytek, ten wieczny pomnik wspaniałości, miłości ojczyzny, cnót, oświecenia, nauk, ogłady, zalet, wdzięków narodowych. Wspomnienia o nich przeżyją w pamięci ludzkiej. Lecz z gmachów ich mieszkalnych już ani kamienia niema. Jaka strata, jeźli komu nie wpadło na myśl, nim ich grom zagłady dotknął, zdjąć obraz tych gmachów, tych świątyń, tych kościołów, tych ogrodów uroczych, w których się w różnych epokach doli i niedoli cała Polska chroniła. Wypiszę tu wiersze wymazane z mego *Ziemiaństwa*. Dadzą one choć słabe wyobrażenie o tem, czem były Puławy.

O wy wieczne pomniki narodowej sławy,
Świetne z siebie, świetniejsze z mięszkańców — Puławy!
Stolico cnót ojczystych, wdzięków i oświaty,
Ileż drogich wznawiacie wspomnień dla Sarmaty!
Wam ojczyzna, gdy na nią świat się spiknął cały,
Konając odkazała wszystkie skarby chwały.
Ile w niej bohaterów, wieszczów, mędrców słynie,
Tu ich cnót serca składem a szczątków świątynie,

Tu żyją w każdem drzewie, tu tchną w każdym głazie,
I w tym sprawdzonym gajów Elizu obrazie
Zda się, że nieoddzielne od tarcz i oręźów
Snują się po przysionkach dusze wielkich mężów,
I pod dwóch z Jagiellońskiej krwi Nestorów wodzą,
W zwiedzającą te święte miejsca młódź przechodzą.

Puław do żadnego z najmożniejszych domów w Polsce równać nie można. Każdyby stracił na porównaniu. Z Puław, rzec się godzi, smak, ogłada, obyczajność, duch, rozszedł się po całym kraju, a województwo lubelskie pod tym względem najwięcej im winno. Puławy wprawdzie otaczała inna, im tylko właściwa, od innych rodzin oddzielna atmosfera. Nie polszczyzna tam cudzoziemszczała, lecz się cudzoziemszczyzna spolszczała. Wszystko tam było polskie, wszystko narodowe. Nie było staroświeczczyzny, lecz starożytne cnoty przebijały się przez ukształcone i ugrzecznione obyczaje, tak — że kto Puławami oddychał, można go było rozpoznać od innych. Może było nieco zalotności, romansowości, egzaltacyi w kobietach, nieco lekkości i płochości w młodzieży; lecz te za szranki skromności i przyzwoitości, osobliwie w moich czasach, nie przechodziły. Była to prawdziwie pod tym względem wyspa zaczarowana, w której stawało się koniecznością wzdychać do grona uroczych kobiet i do Polski, a obok tego ileż cnót publicznych, ile domowych, ile ludzkości, ile dobroczynności, ile ofiar, ile poświęceń, ile hojności dla włościan, dla kalek, dla ubóstwa, dla sierót, dla nieszczęśliwych, ile nakoniec przy skonaniu Polski nieporównanych wzorów cnót starożytnych. Pani Hoffman w swoich pismach wspomniała niektóre ich rysy, ja je w *Ziemiańskwie* śpiewałem, tu dwa główniejsze przytoczę.

Książe Adam Czartoryski, jenerał ziem podolskich, miał przy sobie sekretarzem niejakiego Skowrońskiego, którego niezmiernie szacował i kochał. Jak zwykle na dworze, zazdroszczono mu łask i faworów pańskich. Zdarzyło się, iż za rządu austryackiego sprzedawszy Książe dobra Ręczaje pod Warszawą, do odebrania raty za te dobra, 15,000 czerwonych złotych wynoszącej, potrzebował zaufałego człowieka wysłać. Skowroński, skwapliwy do posług, podjął się po nią jechać do Warszawy. Pojechał i odebrał. Wyjeżdżając z Warszawy furmanem żydem wielką budą brodzką, te pieniądze w małej beczułce zapakowane i zabite umieścił w bryce tak, aby między jego kolanami leżały. Jadąc po piaskach między Ryczywołem a Kozienicami zbyt wolno, usnął. To samo zrobił i lokaj wierny, acz go ostrzegał aby czuwał. Przyjechawszy do Kozienic ocknęli się oba i spostrzegli że pieniędzy niema. Skowroński już wiekiem osiwiały, ledwie ze zgryzoty apopleksyi nie dostał. Musiano mu krew puścić i zachorował na drodze ze zgryzoty. Jako człowiek nieskażony

uczuł iż trzeba będzie majątkiem zastąpić stratę, aby swój honor ocalić. Dał więc Księciu wiadomość o nieszczęściu i o swojej słabości, a tymczasem przedsięwziął poszukiwania. Żyda oddał do policyi, lecz ten się wyprzysiągł, że o pieniędzach ani wiedział ani ich widział. Gdy ta wiadomość przyszła do Puław, zaraz na ustach dworaków dał się widzieć uśmiech posądzenia. Jakże to mógłby jeden człowiek dźwignąć półtora cetnara ciężaru, a kilku nie napadło. Zgoła zaczęto wątpić o nieskazitelności starego sługi, a że Skowroński swemu lokajowi ufał tyle co sobie, chociaż go także do policyjnej indagacyi oddał, obu o zmowę podejrzywano. Ale Książe w tej samej chwili, w której odebrał wiadomość, wysyła do Skowrońskiego sztafetę z listem w tych słowach: „Kochany Przy„jacielu, więcej mi idzie o twoje zdrowie jak o pieniądze. Nie „martw się, ta strata mię nie rujnuje, a może się znajdzie. „Większa dla mnie strata gdy zdrowie nadwerężysz. Zaklinam „cię, przyjeżdżaj jak najprędzej. Mnie ten przypadek bynaj„mniej nie zmartwił; przyjeżdżaj abym cię uścisnął i pocieszył.“ We trzy miesiące schwytano żyda z Kozienic, który dukaty zmieniał. Pokazało się, że furman żyd jadąc przez las kozienicki, spostrzegłszy śpiących smaczno pana i lokaja, stanął w głębokim kale wody pod pozorem poprawienia czegoś koło kół. Zdjął koło, nachylił brykę, stoczył baryłkę przez otwór, który półkoszek zakrywał, potem w nocy przy pomocy współzłodziei przeniósł ją do lasu, zakopał i tylko kilkaset dukatów z niej ubrał. Tak się więc pieniądze znalazły i honor Skowrońskiego ocalony został. Słyszałem opowiadających to w ten sposób Goltza doktora puławskiego i samego Skowrońskiego, który ze łzami dodawał: „Jak takiego pana nie sławić, nie „kochać i nie służyć mu wiernie?“

Drugie zdarzenie równie maluje wielką wspaniałość i dobroczynność tego Księcia... Pani Hoffman wspomniała o niem. Szumlański, oficer polski z legjonów, którego rodzina blisko Sieniawy mięszkająca znaną była Księciu, po rozwiązaniu legjonów włoskich płynąc do Konstantynopola schwytany został przez rozbójniczy statek, sprzedany Turkom i wsadzony jak niewolnik do podziemnych lochów. Rok blisko w nich jęczał w twardych robotach i obawie o życie, gdy mu przyszła myśl zgłosić się sekretnym biletem do ambassady austryackiej. Ambassada wstawiła się, lecz żądano kilka tysięcy czerwonych złotych okupu. Napisał więc na ręce tej ambassady kilka słów do Księcia: „Jestem Szumlański, z nazwiska znany WKsMości. „Jęczę w niewoli, żądają kilka tysięcy czerwonych złt. okupu, „rodzina moja nie jest w stanie mię ratować; dobroczynny „Książe, ocal twojem wstawieniem się nieszczęśliwego rodaka.“ W tym momęcie idzie list Księcia do ambassady austryackiej

wraz z assygnacyą otwartego kredytu do bankiera. Za 6000 czerw. złt. wykupiony Szumlański powraca na łono rodziny i staje w Sieniawie. Był on potem za Księstwa Warszawskiego adjutantem przy Księciu Józefie. Płakał z wdzięczności gdy to opowiadał.

Równie podobny dowód wspaniałości Księcia dla Anglika, znanego w Puławach i ożenionego z jedną z wychowanic Księżnej, przytoczyć można. Nadużywszy on marnotrawstwem urzędu publicznego w Anglii, osadzony został w więzieniu, i według całéj surowości praw angielskich miał być sądzony. Żona dowiedziawszy się o tem, zalana łzami udała się do Księcia. Otarł jej łzy płacąc za męża kilkanaście tysięcy dukatów.

Drugi dom najmożniejszy po Puławach za moich czasów był bez wątpienia w Opolu. Mięszkał w nim Książe Antoni Lubomirski, wprzód wojewoda lubelski, a potem kasztelan krakowski, pan z oświecenia, z stałej przychylności do dworu saskiego znany. Ożenił on się z wdową po Tarle wojewodzie sandomierskim, z domu Krasińską, dożywotniczką Opola, ciotką rodzoną Franciszki Krasińskiej, królewicza Karola żony. Póki dwór saski za wdaniem się Maryi Teresy, cesarzowej austryackiej, nie uznał tego małżeństwa, królewiczowa mięszkała w Opolu przy ciotce, i Lubomirscy otaczali ją całym urokiem jej wyniesienia. Wspaniałe Opola gmachy dla niej ozdobione były. Dwór, wystawa jego, uczty, zabawy, polowania, zjazdy, rozrywały tęsknotę do oddalonego męża młodéj małżonki, i polska krew szlachecka dwóch znakomitych imion nie sądząc się niegodną związków z panującymi rodami podnosiła się do ich wysokości. Gdy królewiczowa uznaną została przez dwór saski i do familii przybraną, a Xiąże Antoni, kasztelan krakowski, życie sobie zbytniem używaniem trunku ukrócił, wdowa po nim, poważna, oświecona i wielkiego rozumu matrona, mniej głośne ale nie mniej wystawne i bardzo rządne życie prowadziła. Zwykle część roku przepędzała w pałacu swoim za ogrodem saskim w Warszawie. Częściej mięszkała w Opolu. Już sędziwa, otaczać się zwykła była najpoważniejszemi osobami, przybywającemi tak ze stolicy jako też z województwa. Książe Alexander Lubomirski, wojewodzic kijowski, wychowaniec księcia kasztelana krakowskiego, któremu on dziedzictwo Opola nabytego przez siebie od Tarłów zapisał, i którego w służbę francuzką oddał, dosłużywszy się tam marszałkostwa polnego, świeżo z tej służby powrócił i w Opolu w oficynie mięszkał. Nabył on potem Niezdów od Moszyńskiego marszałka i w nim nadobny pałacyk wystawił. Jędrzej Tarło, kasztelanic lubelski, ostatni potomek tego imienia, dziedzic Babina, długo podróżujący po Francyi, oświecony i wykształcony, lecz marnotrawca i płochy, z młodą i piękną żoną Świeżawską rozwiódł

się, fortunę stracił i jedynie dom jego stryjenki, kasztelanowej krakowskiej, stał się jego przytułkiem. Lecz reszta pańskiej i upokorzonej dumy cierpiała na tem, że utrzymywany był kosztem stryjenki, i kaprysami rozdrażnionego charakteru często narażał się swojej dobrodziejce. Jednak poważna i rozumna matrona, umiała go utrzymywać w granicach uszanowania. On, ksiądz Kułagowski, oświecony prałat, ksiądz Karoli, rektor Pijarów, i liczna familia bratanek i wnuków, Świdzińskich, Wodzickich, Jabłonowskich, Krasińskich, składali zwyczajne towarzystwo. Wojewoda lubelski, Chryniewiecki, pewny czas przemięszkiwał. Nie zbywało i na sąsiadach poważniejszych wiekiem i znaczeniem, Wszystkie rodziny bywały umieszczane w obszernych oficynach, przystojnych apartamentach gościnnych z posługą i wygodą. Rano wizytowały się nawzajem. O 11tej godzinie schodzono się na pokoje. Gdy już kilka osób zebrało się, wychodziła poważna księżna, siadała na kanapie, otaczali stolik wojewoda lubelski, ks. Kułagowski, Tarło, Goltz podkomorzy, poważniejsi goście i matrony pokrewne. Szereg panien zasiadł sofy, młodzież stanęła za krzesłami starszych, i zaczęło się czytanie gazet, udzielanie sobie wiadomości z listów, polityczne wnioski i dysputy, szczególniej Kułagowskiego z Tarłem. Pierwszy był gadatliwy lecz zimny, drugi żywy i kapryśny. Gdy tego nie stało, brano jaką nową książkę polską, które podczas sejmu wychodziły, lub francuzką jaką, lecz moralną. Pierwszą zwykle czytywał głośno rektor Pijarów, drugą młoda jaka wnuka lub wnuk ze Świdzińskich lub Wodzickich. Obiad zwykle bywał w sali portretami Lubomirskich ozdobionej o godzinie drugiej. Po obiedzie rozchodzono się. Wieczorem o 6tej zgromadzano się w tym samym sposobie. Młodzież, gdy nie tańczyła, grała w rozmaite gry, w które się czasem Książe Aleksander mięszał, a że był wesoły i żartobliwy, i rozśmieszał panny, nieraz księżna zerkając okiem przez podwoje otwarte przywoływała go mówiąc: Mości Książe, nie pustuj!

Starsi otaczali stolik Księżnej i Księżna drylowała złote lub srebrne galony. Pomagały jej Wodzicka, starościna grzybowska, Świdzińska, kasztelanowa radomska, i inne, a ona rozmawiała z starszemi. W karty rzadko grywano. Czasem Księżna kazała z swojej garderoby stanąć rezydentkom młodym i pannom, które chociaż nieuczone śpiewały przyjemnie na głosy piosneczki Karpińskiego, a często Kniaźnina O Wąsach:

Ozdobo twarzy, pokrętne wąsy!

Gdy przyszło na strofę o Stanisławie Lubomirskim hetmanie:

Gdy się z potęgą Osmana mierzył,
Włos mu się siwy w górę najeżył —

Księżna się wtenczas pyszniła wzrokiem i giestem, i powtarzano: fora.

W roku zdaje mi się 1784, następca tronu rossyjskiego, wyprawiony przez Imperatorową matkę za granicę przejeżdżał przez Opole, nocował i dzień spoczywał. Księżna przyjmowała go w sposób godny takiego gościa. Jechał z młodą żoną jak prywatny, z niewielkim orszakiem, był uprzejmy i grzeczny dla Księżny i wszystkich, którzy się wtedy znajdowali w pałacu na jego powitanie. Gdy odjeżdżał, Księżna acz znacznie otyła, na opuchłych nogach zeszła na dół chociaż ją prosił aby tego nie czyniła. Gdy wsiadał do otwartego pojazdu w dzień, w którym zimny i przykry wiatr się zerwał, zapytał się, z której strony jest wiatr? Gdy ktoś się odezwał: C'est le vent du nord — odrzekł z uśmiechem: Je voudrais vous le rendre favorable, — i odjechał.

Dwa wesela pod mojem okiem odbyły się w Opolu, na których przypatrzyłem się staroświeckim dawnym polskim zwyczajom. Pierwsze w r. 1785, na nowy rok, siostry mojej rodzonej, w obecności zaproszonych licznych gości z trybunału już rozjeżdżającego się z Lublina, i obywateli wraz z rodzinami prawie całego województwa. Była na niem i owa starościna Sieradzka, o której wyżej wspomniałem. Księżna albowiem wielka przyjaciółka mego ojca, gdy zjeżdżała do Opola, zwykle wymagała po śmierci mojej matki, aby jej przysyłał córkę dla wyswatania jej. Siostra więc moja mięszkiwała po kilka miesięcy w Opolu, a chociaż nie w Opolu lecz w domu ojcowskim dostała konkurenta, Księżna wymogła na moim ojcu aby się to wesele odbyło w jej domu. Szwagier mój, Ignacy Bobrownicki, acz majętny, nie był z tego kontent, bo go to zmuszało do większej wystawy. Jakoż wesele co do liczby osób, wyboru ich i ekwipażów, było wystawne. Trwało aż do trzech króli. Tańcowano póki przez Bełżyce nie przeniosło się do domu ojca mego. Na to wesele przywieziono nas ze szkół. Mieliśmy przy sobie ze szkół zamojskich dyrektora czyli korepetytora, młodego człowieka, szlachcica, rodem z Tarnawki, niejakiego Gano. Ten nigdy w podobnem towarzystwie nie bywał, po woskowanych posadzkach nie chodził, z postaci niezgrabny, białokurowaty, krótkiego i zyzowatego wzroku, a przytem nieśmiały. Na ten obchód ubrał się w mundur lubelski i w nowe buty, które podkówkami podkuć kazał, a tu posadzkę tak wywoskowano ślisko, iż tancerze na niej ślizgali się lub padali. Wieczór więc wchodziliśmy na pokoje. Wszedłszy do niezmiernie oświeconej sali ujrzeliśmy ojca naszego rozmawiającego z Księżną. Naturalnym było popędem dzieci biedz żywym krokiem do ojca. Pan dyrektor chciał za nami pospieszyć, ale światło i wielkie naprzeciw siebie zwierściadła

olśniły wzrok jego krótki. Odbijaną przez nie swoją postać własną wziął za obcą osobę. Co przyskoczył do jednego zwierściadła, to się cofał do drugiego, i tak błąkał się, gdy nagle za nami usłyszeliśmy rumot wielki a po nim śmiech całej liberyi i kapeli. Biedny dyrektor poślizgnąwszy się padł jak długi i rozkrzyżował się. Zrywał się i padał, aż nakoniec zerwawszy się uciekł przez jadalną salę, skrył się, nie można go było znaleźć, i ledwie się nazajutrz okazał.

Drugie wesele w tym rodzaju we 3 lata poźniej wyprawiła Księżna kasztelanowa krakowska wnuczce swojej kasztelance radomskiej, Zofii Świdzińskiej, wyswatanej za Karczewskiego z Ciepielowa, młodego i przystojnego człowieka, syna starosty liwskiego, szambelana dworu Augusta III. Pan młody był zbyt nieśmiały. Wieńczyny przedślubne odbywały się w pięknej białej sali. Rozesłano wielki kosztowny dywan, po środku postawiono bogato złocony taburet, weszła panna młoda z matką, w białej sukni z rozpuszczonemi włosami, otaczało ją dwanaście młodych panien, które rozdawały bukiety świeże z mirtu i rozmarynu wraz ze złotemi iglicami i szpilkami. Przyniesiono na tacy koronę brylantową przeplataną mirtem. Ruszyła się sędziwa i poważna Księżna kasztelanowa krakowska. Rodzina młoda i sędziwa otoczyła taburet. Wszedł pan młody z kilku drużbami. Ubrany w błękitny frak, zresztą był cały w bieli. Trzewiki jego nawet były opatrzone białemi fontaziami. Lecz co najwięcej uderzało, że miał rozpuszczone włosy jak panna młoda, zwinięte w pukle na plecach i ujęte tylko białą wstążką, a nawet mirtowy wieniec na głowie. Kasztelanowa przypięła sama koronę do skroni panny młodej. Potem państwo młodzi upadli do nóg stryjence, matce i ojcu pana młodego, po błogosławieństwie udali się do kościoła. Trzy dni trwało to wesele, które już ożywiała Księżna Aleksandrowa Lubomirska, młoda, piękna, wesoła aż do pustoty.

W parę lat umarła w Warszawie Księżna kasztelanowa krakowska, podczas sejmu zdaje mi się roku 1790. Była to pani mądra, oświecona, prawdziwy i może ostatni wzór, podobnie jak księżna marszałkowa Sanguszkowa, możnych pań polskich. Mówiła obcemi językami, lubiła literaturę i oświeconych ludzi towarzystwo, lecz razem przyciągała do siebie acz niższych wykształceniam, byle prawych i słusznie wziętych. Miała bibliotekę nieszczupłą, gabinet historyi naturalnej ptaków i płazów z gorących klimatów, dwie mumie egipskie znajdowały się w tym zbiorze. Prócz tego posiadało Opole zbiór mineralogiczny, w którym zebrane były starożytne i nowe bronie i zbroje. W jednych tylko Siemiatyczach u Księżny Jabłonowskiej były podobne, ale nierównie obfitsze gabinety. Pisała dobrze językiem francuzkim i polskim, równie

co do stylu, rozumu, dowcipu a nawet co do kaligrafii wybornie. Znalazłem jej polityczne korespondencye z moim ojcem. Uderzył mię w nich wyborny sąd o sejmie i polityce. Po jej śmierci Opole przeszło na dziedzictwo Księcia Aleksandra Lubomirskiego, już wtedy kasztelana kijowskiego, jednego z najmożniejszych panów w Polsce. O ile pod młodym, nowym i zaledwie ożenionym dziedzicem zyskały gmachy opolskie na wspaniałości, wystawie, świetności, elegancyi, o tyle nie zrównały się z przeszłością, powagą i gościnnością polską. Już to był tryb życia polsko-cudzoziemski, mało uczęszczało kontuszów, wiele cudzoziemców lub fraków polskich. Wiadomo jest wszystkim, jakim sposobem uszczupliła się fortuna wielka, niezmierna Księcia Aleksandra, jaki los okropny spotkał w Paryżu żonę jego, młodą, uroczą, i jednę z najpiękniejszych a może i najpłochszych kobiet polskich, jak ta fortuna przetrwała jeszcze w znacznej bryle ziemi rząd austryacki, i zarząd (po śmierci Księcia nastąpionej w Wiedniu) Seweryna Rzewuskiego, hetmana polnego koronnego, jak potem jedyna córka tegoż Księcia, a następnie synowa tegoż hetmana umiała zrobić te gmachy przybytkiem rozumu, nauk i dowcipu, rzadko w jednej w tym stopniu połączonych osobie.

III. Początkowe wspomnienia Księstwa Warszawskiego.

Zawód gorących pragnień, obszernych i niecierpliwych nadziei, przez utworzenie traktatem tylżyckim Księstwa Warszawskiego w miejsce spodziewanej Polski, zdziwił, zasmucił i obruszył kołysane ufnością w słowo Napoleona Polaków umysły. Konstytucya dla tego drobnego Księstwa, przez Stanisława Potockiego za wyrazami samego Cesarza na kolanie z pośpiechem kreślona, niema w niej reprezentacya narodowa, rozgałęziona kosztowna administracya, kodex Napoleona za prawo, wojsko liczne lecz na niestosowną do ubóstwa kraju stopę francuzką płatne, ogromne summy banków berlińskich w połowie wartości przeszłe a prawie całkiem po zniżeniu ceny ziemi dobra właścicieli gruntowych obciążające, na skarb Cesarza zabrane, nakoniec dobra rządowe, po większej części między marszałków francuzkich rozdzielone i z pod władzy rządu krajowego wyjęte, powiększyły użalenia i smutki. Jeżeli wybór króla saskiego na władzcę mało cząstkę spełnionych życzeń zaspokajał, obecność i władza prokonsula francuzkiego w osobie marszałka Davoust, rozłożone liczne wojska francuzkie, w wymaganiach niepodobnych do zaspokojenia nienasycone, upokorzającem czyniły ten szczupły dar i zwiększały utyskiwania. Nowa ta organizacya kraju, przy wyborze nie wszędzie trafnym departamentowych naczelników,

nieprzyłożyła się do złagodzenia powszechnych zniechęceń. Niektórzy z nich szarfą francuzką dumni, woleli być niezręcznemi Francuzami jak wyrozumiałymi współziomkami. Bogate ich szaty natrząsającym się z nędzy powszechnej widokiem raziły zubożałych mięszkańców. Obudzały w podłych i chciwych zazdrość, w skromnych nienawiść i skargi. Prócz tego jak w każdych wielkich wzruszeniach zbiegać się zwykła jak na plac połowu łakoma łupu i korzyści, a chciwa wyniesienia się rzesza, tak Księstwu Warszawskiemu dostarczyła Galicya swoich półmędrków a Włochy swoich wychodźców i włóczęgów a mniemanych prześladowanych patrjotów, których nikt z kraju polskiego nie wypędzał, ale właściwe niespokojnym umysłom awanturnictwo za granicę uniosło. Nieproszeni ci opiekunowie losów Polski czepiając się legjonów, tworzyli projekta jej ratunku, wołali do opuszczonego przez siebie kraju o składki, zwodzili niebacznych, narażali na prześladowania nieostrożnych, a uzyskane ofiary własnem marnotrawstwem trawili. Jedynemu zaś istotnemu reprezentantowi Polski Dąbrowskiemu za odrzucenie ich projektów potwarzą się odpłacali. Utrudniali sprawę Polski niesnaskami i niezgodą, a charakter narodu w oczach obcych ohydzali. Pierwsi i drudzy dla znajomości języka francuzkiego w początkowym odmęcie zapełniając pod-komissyą rządzącą opuszczone przez urzędników pruskich bióra, już zawód urzędniczy poczytali za swoje dziedzictwo i do wyższych miejsc z obecnych zasług rościli prawo. Przy stałej organizaayi nie umieszczeni, lub umieszczeni nie według życzeń zarozumiałej miłości własnej i próżności przybrali postać pokrzywdzonych patrjotów, roznosili użalenia i potwarze, ohydzali rząd, namawiali do oporu, jątrzyli i wciągali w swoje sidła zacnych ale łatwowiernych miłośników ojczyzny, a z powszechnej wady narodowej skłonniejszych opierać się i przyganiać jak słuchać. Wodzowie też legjonów polskich przywiedli nie małą liczbę zasłużonych żołnierzy, którzy już przez wiek i osłabione trudami siły do oręża niezdatni wołali o nagrodę zasług swoich lub ran w ostatniej wojnie poniesionych, wołali o miejsca i urzędy, których zabrakło. Król obleżony proźbami, chociaż sam żadnego dochodu ze skarbu nie pobierał, jednych z własnéj szkatuły wspomagał, drugim pensye z ubogiego skarbu wyznaczał, zdolniejszych na rządców dóbr narodowych lub strażników lasów skarbowych zalecał. Niektórym dzierżawy dóbr z względnem wymiarkowaniem dochodów wypuścić kazał, z których oni marnując na zbytki intraty, nic nie wnosząc, ubożyli skarb a wszelki przymus, surowość, cierpliwość samą jak niewdzięczność wyrzucając łączyli się z powyższego rodzaju patrjotami i liczbę malkontentów powiększali.

Wojsko też acz zyskanemi świeżo laurami chlubne, nie uszło zarzutu. Ubiorem i duchem więcéj francuzkie niż narodowe, nie wiedzieć czy sławę wojowników, z którymi się zbraciło, czy ich uciążliwe wymagania, nadużycia i przewodzenia więcéj pokochało. Wodzowie polscy pobłażając, własnym przykładem upoważniać zdawali się to, z czego ich w podbitych obcych krajach prawo zwycięztwa wymawiało, a co im nałóg do własnéj ojczyzny przeniesiony miłem uczynił. Mianowanie Xięcia Józefa Poniatowskiego na ministra wojny i powrócenie mu stopnia, jaki przed podziałem Polski posiadał, acz nie ubliżało ani sławie ani godności narodu, przecież przez porównanie jego przeszłości pod rządem pruskim i miękkości życia w Warszawie gdy Legjony polskie dobijały się ojczyzny, nie podobało się powszechnéj a uprzedzonéj przeciw niemu opinii, i wydawało się krzywdą wodzów pod sztandarami Napoleona za granicą osiwiałych, a chociaż krzywdą nie było, obrazą się stało. Zajączek, oddawna domowi Poniatowskich nieprzyjazny, a do narodu za niesłuszne posądzenia w powstaniu Kościuszki żywiący urazy, wzbraniał się znaków francuskich zamienić na polskie. Zmuszony rozkazem Napoleona przyjął dowództwo pod Poniatowskim z jawną niechęcią i oporem, i nienawiści nie zmienił. Dąbrowski poddał się otwarcie, lecz skrycie truł ufność wojska. Poniatowski miał zwierzchność, Dąbrowski przychylność i władzę. Ta nieufność wojska, ta niejedność między niem a obywatelstwem, przy powszechnéj a wzrastającéj po kraju nędzy, jątrzyła rozdrażnione nią umysły mieszkańców. Daremnie Osiński, Wężyk, Woronicz, Niemcewicz, swemi pieniami, Towarzystwo Przyjaciół Nauk mowami, tenże Wężyk i Osiński teatralnemi patrjotycznemi sztukami, budzili zapał. Gasł on jak płomień z nietrwałego włókna, zwłaszcza że byli i tacy którzy go studzili, jak Molski swojemi szyderczemi wierszami.

Po domach więc prywatnych, w towarzystwach, wzmagały się narzekania, skargi i obwiniania. Poduszczali je pozostali na miejscach po rządzie pruskim urzędnicy ukrytą wierność dla swego rządu dobrze taić umiejący, a przy każdéj sposobności zdradzający się w swojéj tęsknocie i nietracący nadziei odzyskania panowania nad tym krajem. „Zle wam było pod „rządem pruskim w dostatkach, w mnóstwie pieniędzy i swo„bodnych zbytkach, czy lepiéj teraz przy mniemanéj ojczyznie „w nędzy i upokorzeniu?“ Te były ich słowa na ulice między zniecierpliwioną publiczność puszczane, aż nakoniec te skargi, te wyrzekania przeniosły się do izby pierwszego sejmu w głosach Godlewskiego posła Marjampolskiego, który stan kraju i ducha mieszkańców, w obrębie dotąd jedynie granic jego znany, niebacznie jawnem w Europie uczynił. Tak, co dotąd

tylko wnosili obcy, to chętnie uwierzyli. Na tych wiadomościach opierała się proklamacya Arcyxięcia Ferdynanda przy napadzie na Xięstwo Warszawskie do mięszkańców wydana: „Łączcie się ze mną, a powrócę wam utracone szczęście, któ„regoście pod legalnym rządem używali.“ Chwała charakterowi narodowemu i obudzonemu przez prawych i gorliwych mężów zapałowi, że się wódz nieprzyjacielski zawiódł.

Przyłączenie Galicyi do Xięstwa wspomogło go ziemią, ludnością, wojskiem, duchem, niewspomogło zamożnością. Sama wyniszczona z zasobów, nieprzyniosła zubożonemu skarbowi jak papierowe pieniądze połowę wartości tracące. Znikł z obiegu kruszec a szpichlerze wypróżnione, trzody bydła i koni wyniszczone ofiarami na wojnę, raczéj potrzebowały wsparcia jak żeby go udzielić mogły. Jedna tylko połowa kopalni soli w Wieliczce, żelaza i cynku w Suchedniowie, niejaki dawała zasiłek. Za to nowa organizacya kraju i wojska, zbyt kosztowna samem mnóstwem urzędników cywilnych i wojskowych narażała na nowe wydatki. Prócz tego Galicya przychodząc do Xięstwa przynosiła z sobą w sercach niejaką urazę, którą zarozumiałość wojska, niezręczność rządu warszawskiego ściągnęła, a postępowanie jego urzędników wysyłanych do Galicyi rozjątrzyła. Przy wejściu wojsk polskich do téj części kraju rząd tymczasowy dla niéj w miarę postępu układał się. W Klimontowicach u Ignacego Potockiego, Marszałka niegdyś W. Ks. Litewskiego, męża z rozumu i patrjotyzmu powszechnie wielbionego, Jen. Aleksander Rożniecki, idący w przedniej straży, przez siostrę swoją, żonę Jana Potockiego, brata jego z nim spowinowacony, pierwszy mu tam hołd oddał i naradził się z nim o sposobie urządzenia kraju przez oręż zajmowanego. Z tych narad wypadło, aby w niepewności utrzymania się przy zdobyczy nie wzruszać z gruntu porządku, zatrzymać urzędników austryackich na miejscach, gdzieby ci pozostać chcieli, dodać im tylko urzędników z Polaków aby ci strzegli ich postępowania, a wezwaniom wchodzącego wojska skwapliwiej zadość czynili. Urzędnicy też austryaccy odebrali od swego rządu ostrzeżenie aby na przypadek ukazania się jakowego oddziału wojsk polskich nie przerażali się chwilowym a w wojnie zwykłym wypadkiem, posad swoich nie odstępowali, kassy tylko usuwali w bezpieczne miejsca. Lecz postrach poprzedzający hufce polskie, kilkunastu huzarów węgierskich, ranionych w potyczce, uchodząc przez Lublin taką trwogę rozniosło, iż wkrótce wszystkie drogi w kraju napełniły się wozami napchanemi żonami, dziećmi i bagażami przelękłych oficialistów cywilnych i wojskowych, uchodzących ku Zamościowi, twierdzy, w któréj dowodził Pulsky, waleczny austryacki pułkownik. Ta wędrówka tych, którzy co dopiero rządzili krajem, wyjawiła przed oczami

wiejskich mięszkańców rzeczywistość wieści, które wprawdzie do nich dochodziły, lecz które tylko sobie nawzajem w cichem szeptaniu udzielali. Natychmiast ledwie nie wszyscy właściciele między Bugiem a Wisłą mięszkający zbiegać się zaczęli do Lublina, i napełniając miasto samą przytomnością swoją i gromadnem kupieniem się po ulicach, oraz nieznaną dotąd śmiałością rozmów, zdradzającą się radością w twarzach, trwożyli urzędników austryackich. Szczególna była wtenczas postać Lublina. Z jednej strony wesołe, z drugiej blade i smutne twarze. U rządzących bojaźń i przerażenie, u rządzonych niejaka wyższość, u mniej ukształconych natrząsanie. Po biórach administracyjnych i sądowych wiele było młodych Polaków. Ci w jednej chwili ujrzeli się panami swoich zwierzchników. Jedni z bojaźni prześladowania, drudzy dla usłania sobie drogi w spodziewanym nowym porządku, wielu z czystego patrjotyzmu, łączyło się z obywatelami. Donosili oni im co się działo między Niemcami, a do biór wróciwszy wyżebranych u obywateli wieści udzielali tym, z pewnym rodzajem łaski, których niedawno byli podwładnymi. Napełniony też był Lublin jak każde miasto rozmaitego rodzaju próżniaczą i na grze i rozpuście marnotrawiącą na bruku czas młodzieżą. Między nią wielu było jeszcze z rewolucyi Kościuszki z wojska i cywilności rozbitków, równie jak z konfederacyi Targowickiej ohydzonych wprawdzie u dobrych Polaków lecz sposobem życia w jedno ogniwo połączonych próżniaków. Ci, przybrawszy płaszcz patrjotyzmu, jedni od drugich koleją protegowani, wypierali się samych siebie i z wystudzonem z miłości kraju i cnoty sercem zabiegali obywateli za swojem znaczeniem. Na czele obywateli lubelskich znajdowało się wtedy dwóch mężów prawych i zacnych, których powszechne poważanie i wziętość otaczały. Franciszek Grabowski, za czasów dawnej Polski podkomorzy i podstarosta Krasnystawski, za Księstwa Warszawskiego Radzca stanu, a za nowego Królestwa Senator Wojewoda, i Joachim Owidzki, dziedzic Jabłonny, siostrzeniec Wybickiego, wychowaniec i ulubieniec Andrzeja Ordynata Zamojskiego, exkanclerza wielkiego koronnego, pełnomocny zarządzca ordynacyi Zamojskich u wdowy pozostałej Konstancyi z Książąt Czartoryskich z linii Koreckiej, mąż oświecony, prawy, gorący patrjota, długiem mieszkaniem pod rządem austryackim w Zamościu z systematem rządu oswojony i obszerne związki z urzędnikami austryackimi mający. Był on przyjacielem Barona Mandorfa będącego w owej chwili Kreiskapitanem cyrkułu lubelskiego, człowieka zacnego, łagodnego, sprawiedliwego, na którego zwierzchnicze rządy nie mieli przyczyny obywatele się użalać. Lecz Mandorf acz nie miał nic sobie do wyrzucenia, lękał się o swoją rodzinę a nawet o siebie, aby obcy naro-

dowi a zatem nie miły, za krzywdy przez rząd jego wyrządzone Polakom nie został ofiarą nienawiści. Te obawy powierzył ze łzami sędziwy starzec Owidzkiemu, a zaręczeniem jego charakteru zaspokojony, pozostał na miejscu. Taki był stan Lublina w owej niespodzianéj i ważnej chwili, gdy czterech ułanów polskich ukazało się na Krakowskiem przedmieściu, którzy otoczeni zbiegowiskiem ludu przebiegłszy miasto i ujrzawszy się bezpiecznymi, stanęli przed domem Prezydenta miasta i wezwali go aby się udał z kluczami do pułkownika już stojącego pod miastem. Tym pułkownikiem był Dziewanowski, żołnierz z Legionów waleczny, po części literat, człowiek prawy, lecz z charakteru nieco kapryśny i obraźliwy. Do niego więc na czele deputacyi miejskiej wyszedł Prezydent miasta niejaki Władych, Niemiec z rodu, niedawno urzędnik sądowy, mający w mieście własność po żonie Polce i mówiący zrozumiale po polsku. Ten składając pułkownikowi klucze miasta, wśród zaręczenia że wszystko bezpiecznie do miasta wejść może, upraszał o bezpieczeństwo dla własności i osób mieszkańców. Obraził się tem Dziewanowski i odrzekł do niego z żywością: „Znać że nie jesteś Polakiem; gdyby do mnie wy„szedł był rodak, podałby mi rękę, i uścisnęlibyśmy się na„wzajem. Wiedz że nie przychodzimy łupić waszych własno„ści lecz odbierać naszą, nie idziemy ciemiężyć ziomków lecz „ich z pod waszego jarzma uwolnić. Idź i powiedz twoim ro„dakom że mogą bezpieczni zostać w mieście. Włos im z gło„wy nie spadnie. Lecz biada tym, którzyby się nie wyrzekli „z nieprzyjaciołmi naszymi stosunków i chcieli tajemnie szko„dzić Polakom. Obejmuję ten kraj w imieniu Napoleona, który „w téj chwili panuje z Wiednia.“ Blady Prezydent powrócił do miasta, a nim mógł udzielić wiadomości swoim współurzędnikom, Dziewanowski z pułkiem swoim wszedł na Krakowskie przedmieście wśród ludu okrzyków. Szczególny to był widok spozierać na wszystkie okna i balkony, napełnione kobietami, które powiewały chustkami i wchodzące wojsko wiwatami witały, a między niemi córki i żony obcych urzędników, za któremi kryli się smutni ojcowie i mężowie. Dziewanowski już miał listę osób udzieloną sobie przez Rożnieckiego i wezwał obranych obywateli do zasiadania w urzędzie obok zatrzymanych urzędników niemieckich. Grabowski podkomorzy, X. Józef Koźmian, Joachim Owidzki, ja i brat mój Wincenty, dodani zostaliśmy do zwierzchności cyrkularnéj. Dziewanowski ruszył zaraz ku Zamościowi zapowiedziawszy przybycie głównego korpusu Xcia Józefa Poniatowskiego. Jakoż w kilka dni zbliżył się ten korpus dwoma traktami, to jést od Markuszewa i Lubartowa. Wspomnieć muszę jaka jest w ludzie wiejskim miłość kraju i przywiązanie do ziomków. Pod Lubar-

towem orało kilkadziesiąt pługów na niwie, około któréj traktem przechodziły wojska polskie z muzyką i śpiewem marszu Dąbrowskiego. Nagłe to i niespodziewane widowisko, zwłaszcza gdy oracze usłyszeli mowę polską i ujrzeli barwy narodowe, w takie uniesienie wprawiło orzących, że wszyscy parobcy porzucili pługi i wmięszali się dobrowolnie w szeregi narodowe, i tak z przypiętemi gałązkami do miasta radośnie weszli, i wszyscy z własnéj ochoty zaciągnęli się. Coś podobnego trafiło się przed paru laty w Bełżycach, w miasteczku na trakcie krakowskim położoném. W r. 1806 w kampanii między Napoleonem a Prusami, kilku zbiegów francuzkich okazało się w tém mieście. Wieśniacy zgromadzeni na targ odpoczywającym w gospodzie ciekawie się przypatrywali, a gdy się dowiedzieli od żyda, że to są Francuzi, i że idą pieszo ku Lwowu nie tylko ich uczęstowali lecz własnemi furmankami odstawili do Kraśnika.

Za parę dni wkroczył Xże Józef Poniatowski ze swoim szczupłym korpusem do miasta. Radość i uniesienie mięszkańców nie dały spostrzedz sił drobnych. Więcej patrzano na barwy narodowe, na postacie i ubiory, niż na liczbę. Rozważniejsi atoli dostrzegli jéj a choć nie stygli na duchu, uczuli konieczność najspieszniejszego zbrojenia się. Wieści puszczone że dywizya Sokolnickiego obróciła się drugą stroną Wisły ku Sandomirzowi, że inny oddział inną drogą posuwa się ku Zamościowi, że Jł. Zajączek pod Jedlińskiem zachodzi drogę Arcy Xięciu cofającemu się z Warszawy ku Wiedniowi, do którego już wszedł Napoleon, krzepiły umysły, wszyscy jednak czuli że los téj prowincyi i wojska polskiego zawisł jedynie od oręża Napoleona w Wiedniu. Stały też wojska rossyjskie nad Bugiem pod komendą Jła Gorczakowa. Xże Józef wysłał do Jenerała rossyjskiego gońca w celu porozumienia się o wspólne działanie, lubo wolał był i pragnął niepotrzebować téj pomocy. Miasto i obywatele dali wielki bal dla wodza w domu na Korcach. Xże Józef zaszczycił go obecnością swoją, był uprzejmy, wesoły. Zaczął bal niepomnę z jaką niemką, tańcował z kilkoma, co już do reszty zawróciło młodym niemkom głowy. Niemieccy urzędnicy mieli ten takt że niebyli.

Nazajutrz wszyscy dodani urzędnicy Polacy i wielu obywateli udało się do kwatery Xięcia. Gdy wyszedł do nas, wystąpił do niego w dawnym ubiorze i mundurze polskim województwa lubelskiego Józef Podhorodyński, mięszkający w Pliszczynie pod Lublinem, dawny mecenas trybunału a pod ten czas ziemianin i właściciel kilku wiosek. Ten zabrawszy głos rzekł do Xcia: „Odzyskujemy ojczyznę do któréj wzdychaliśmy, wszy-„scy wszystko winniśmy dla niéj poświęcić. Racz W. Xiążęca „Mość przyjąć odemnie dla niéj 150 jeżdzców z końmi, któ-„rych natychmiast własnym kosztem wystawię. Niechcę żad-

„nego stopnia. Dozwól tylko, Xiążę, abym przy boku jego „jako ochotnik osobą moją mógł walczyć.“ Uścisnął Xiąże Podhorodyńskiego, a wśród oddanéj sprawiedliwości patrjotyzmowi dodał: „Będziemy mieli ojczyznę skoro mamy takich „obywateli.“ Następnie Joachim Owidzki oświadczywszy imieniem rodaków gotowość do wszelkich ofiar, gdy rzekł: „Powołamy wszystkich mięszkańców do broni, cała ludnosć po„chwyci kosy i piki i wesprzemy wojsko,“ — na to Xiąże odpowiedział: „Buduję się z zapału, lecz mamy skuteczniejszą „broń niż kosy i piki, mając Napoleona i jego potęgę, — on „nie lubi tego rodzaju powstania, nie wzmiankujcie więc, Pa„nowie o niem — zbrojmy się regularnie, skwapliwie, ale bez „gwałtownych wzruszeń. Jenerał Hebdowski szef mego sztabu, „którego zostawiam, objawi Panom moje żądania. Przez niego „będziem wiedzieć o sobie.“ Żegnając nas uprzejmie obrócił się do Owidzkiego i mnie, i rzekł: „Proszę Panów za sobą.“ Gdyśmy się sami z nim znaleźli w jego pokoju, tak się do nas odezwał: „Nie zawiodłem się na duchu mięszkańców wo„jewództwa lubelskiego, nie zawiodę się na patrjotyzmie całéj „Galicyi, z którego pomocą mam nadzieję ją oswobodzić. Lecz „chcąc wywiązać się zacnym i szlachetnym mieszkańcom tego „kraju, uchybiłbym honorowi i charakterowi memu, gdybym „z całą otwartością żołnierza z niemi nie postąpił i cokolwiek „przed niemi ukrywał. Dam więc dowód ufności w ten pa„trjotyzm z którego się buduję, i niczego przed Panami nie „zataję. Wyznam więc bardzo szczerze, że wojsko moje jest „nieliczne i słabe. Na hazard rzuciłem się w Galicyą. Arcy„Xiąże Ferdynand jest mocny. Los nasz zawisł od powodze„nia Cesarza. Niemam pewnéj wiadomości o nowéj bitwie pod „Wiedniem, lecz wnoszę że Arcy-Xiąże cofnie się z Xięstwa „Warszawskiego, bądź dla ratowania Galicyi, bądź dla wspar„cia głównéj armii. Cofając się czyli z rokazu, czy z planu, „może zaczepić o Galicyą, może przejść Wisłę. W razie tego „chwilowego wypadku cierpiałbym i wyrzucałbym sobie gdy„bym tak gorliwych obywateli naraził na pomstę. Z téj przy„czynę życzę unikać wszystkich nadzwyczajnych zapałów, ro„bić wszystko skwapliwie, lecz jakby z przymusu. Dla tego „wszystkie moje rozkazy, wszystkie nominacye kazałem wyda„wać pod groźbą śmierci, aby w razie chwilowego nieszczęścia „mieliście się czem złożyć i bronić. Unikajcie i nie dozwalajcie „prześladowania Niemców, pomnąc że mają u siebie naszych „zakładników w Warszawie. Mówię do obywateli oświeconych „i do dobrych Polaków. Raczcie zachować moje wyznanie w ta„jemnicy aby wyjawienie nie ostudziło ducha. Kierujcie nim „tak aby nie ustawał a na przygody jak najmniéj osoby na„rażał.“ — To wyznanie Xięcia tak szlachetne powiększyło

w nas uwielbienie dla niego. Owidzki niem się zasmucił, lecz wkrótce ducha nabrał ufając w gwiazdę Napoleona, wierząc ślepo w rozsiewane najniepodobniejsze wieści, nakoniec w ostatni ratunek udania się do Rossyi pod opiekę sprzymierzonego z Napoleonem wojska.

Wyszedł Xiąże Józef ku Zamościowi. Na szpicy jego wojska jechał obywatel Podhorodyński w pąsowym kontuszu z złocistą ładownicą przez piersi. Pułkownik Nowicki jadący obok Xięcia rzekł: „To jest szlachcic, warjat. Jak rak w czerwo- „nym kontuszu. Pierwsza kula z fortecy zabije go.“ „Mój „kochany (rzekł Xiąże), gdybyśmy mieli więcy takich warjatów, „Polska-by stała.“ W istocie saméj, ten Podhorodyński był człowiek prawy, śmiały w mówieniu prawdy, obywatel rządny, gorliwy polak, serce miał szlachetne, lecz głowę nieco zamętem rażoną.

Po upływie dni kilku napełniły Lublin radością wiadomości od wojska i z Warszawy. Arcyxiąże Ferdynand opuścił stolicę Xięstwa, a rząd polski z Torunia wrócił do niéj. Zamość szturmem wzięty. Ułatwił jego wzięcie Domański, rządzca ordynacyi, przystawieniem drabin. Pułkownik Pulsky bronił się walecznie, lecz garnizon, złożony z samych prawie rekrutów galicyjskich, do 3000 wynoszący, rozstawiony na wałach, gdy ujrzał Polaków wdzierających się na mury, podawał im bagnety i wciągał do fortecy. Pulsky raniony poddać się musiał. Sandomierz zdobyty został przez Jenerała Sokolnickiego, nie bez straty, bo legł Xiąże Marcelli Lubomirski, waleczny młodzieniec. Pułkownik Strzyżewski zapędził się pod Jarosław, zdobył niezmierne zapasy ubiorów wojskowych, miedzi i żelaza. Jenerał Rożniecki wszedł do Lwowa i rząd polski zaprowadził. Wśród tych pomyślności zbiegli się do Lwowa wszyscy znakomitsi obywatele wschodniéj Galicyi, Stanisław Ordynat Zamojski, Henryk Lubomirski, Tarnowski, Lewicki, i innych wielu. Xiąże Józef widząc się panem Galicyi, objął ją w imieniu Napoleona i rząd dla niéj centralny ustanowił z Stanisława Zamojskiego jako prezesa, Lewickiego, Dzierżkowskiego, Józefa Wielohorskiego, Miączyńskiego, Matusewicza, Franciszka Grabowskiego, Jana Tarnowskiego, i do spraw duchownych Xiędza Józefa Koźmiana, podówczas scholastyka lubelskiego przeznaczył, do pomocy dodano im Dąbskiego, Orzechowskiego, Fredrę i innych, a na sekretarzy Maxymiljana Lewickiego i Izydora Piotruskiego, młodzieńca znakomitych talentów i zdolności. Przyznać potrzeba, że ten wybór był jeden z najlepszych, bo powołał do władzy mężów najznakomitszych patrjotyzmem, cnotą, światłém i powszechną u ziomków wziętością. Rząd ten natychmiast przystąpił do obsadzenia cyrkułów prawemi i zdolnemi obywatelami, i ich wybór

zupełnie odpowiedział dobru rzeczy publicznéj. Na wstępie rozkazano wszędzie zbijać lub zdejmować orły austryackie, a na znak, że ten kraj podchodzi pod władzę Napoleona, polecono zawieszać orły francuzkie. Wszędzie odbywały się nabożeństwa i uroczystości. W Lublinie prawie niepodobieństwém było zbić tak prędko orła z gipsu wyrobionego na facyacie ratusza, na rynku, zbyt wysoko umieszczonego. Zbyt trudno i zbyt kosztownie było budować rusztowanie. Znalazł się ochotnik z czeladzi rzemieślniczéj, chłopiec czternastoletni, który z młotkiem i oskardą w ręku dał się uwiązać pod pachy i wpół na postronku trzymany przez kilkunastu ludzi, unosił się w powietrzu z niebezpieczeństwem życia. Przez dwie godziny póty kował austryackie znamię, póki go zupełnie nie zagładził, i na jego miejsce orła francuzkiego z poklaskiem przypatrującego się ludu nie zawiesił. Dnia tego był wielki obiad u Jenerała Hebdowskiego, na którym czytałem Odę moją, prawie w kilka godzin napisaną. Są w niéj błędy pospiechu, lecz czytanie to zrobiło niejakie wrażenie. Jenerał Hebdowski był znawcą i miłośnikiem literatury. Posłano tę Odę rządowi centralnemu do Lwowa. Wtedy przytomny Stanisław Małachowski, potém Jenerał i Kasztelan, szukał zemną znajomości, sam z kilku uprzejmemi słowami przystąpił do mnie i odtąd zawiązała się między nami, czterdziestoletnia niezachwiana przyjaźń. Odebrał moją Odę rząd centralny we Lwowie, lecz *inter arma silent musae.* Byłaby może dotąd nie widziała świata, i możebym następnych po niéj nie pisał, gdyby szczęśliwem wydarzeniem nie była wpadła w ręce Józefowi Dzierżkowskiemu, znakomitemu literatowi, znawcy i miłośnikowi poezyi. On przerzucając korrespondencye rządowe, znalazł ją, a przeczytawszy wniósł na posiedzenie rządu i przedeklamował. Usta więc jego rozsławiły ją. Posłano ją do głównéj kwatery Xięcia Józefa. Tam przyjętą była dobrze, czytaną i powtarzaną w strofach przez młodych oficerów, nareszcie Prezes rządu centralnego drukiem ją ogłosić kazał.

BAJKI

przez

F. M.

ŻOŁĄDŹ I DYNIA.

Pewien chłop, Marek z imienia,
Patrzył się pełen zdziwienia
Na dynię, której tak cienka łodyga
Tak ogromny owoc dźwiga.
Widać jest, rzecze, że Stwórca pobłądził,
Ja byłbym rzecz tę inaczej urządził,
Tak naprzykład porządkował:
Byłbym tam w owej gęstwinie
Po wszystkich dębach porozwieszał dynie,
Owoc do drzewa stosował:
Tę zaś żołądź lichą, drobną,
Tak do dębu niepodobną,
Podły pokarm świni,
Byłbym dał dyni.
Szkoda, mój Marku, żeś tam w dawne lata
Nie był przy stwarzaniu świata.
Niejedną radę byłoby się dało
I pewno lepiej niżli teraz działo.
Gubię się w wielkim myśli moich tłumie,
Zasnąć niemożna przy takim rozumie!

Kiedy tymczasem pod dębem usiada,
Kiwa się, chrapi, — a w tem żołądź spada
Z jego dębu właśnie,
I tak srodze i okrutnie
Prosto w nos go utnie,
Że aż z bolu wrzaśnie.
Cóż to jest? — rzecze —
Krew mi z nosa ciecze.
Maleńka żołądź! — a tak mi dojadła,
Cóżby to było gdyby dynia spadła!
Źle coś mówiłem: próżna to otucha
Poprawiać Stwórcę nawet w lichej dyni.
Wie Bóg co robi, a najlepiej czyni
Że głupich Marków nie słucha.

DRABINKA.

Na cóż to, Mamo, ta długa drabinka
Stoi u tego kościoła?
Tak urocza jej dziewczynka
W ciekawości swej zawoła.
A matka na to: Nie wiem, moje dziecie,
Lecz wiem że każdy na świecie
Po drabince życia bieży.
Po niej w górę piąć się trzeba,
I od nas tylko zależy
Aby ją oprzeć o nieba.

AGATKA I JAKÓB.

W przykładnem stadle, młode, szczęsne latka
Przeżyli z sobą Jakób i Agatka,
Bez kłótni, zwady, bez najmniejszej sprzeczki,
Zgodni jak dwie turkaweczki.
Syn ich Tomaszek pełen był pokory
A tak posłuszny, tak do usług skory,
Tak cichy w pośród rodzinnego kółka,
Że go miano za aniołka.
Zwierzątka nawet mieszkające z niemi
Nadzwyczaj były dobremi.
To się w gronie miłem, słodkiem,
Razem pieściły z Tomaszkiem,
To znów piesek igrał z kotkiem,
A kotek bawił się z ptaszkiem, —
Słowem nikt jeszcze nie widział takiego
Szczęścia, raju i swobody —
I nie było większej zgody
Nawet i w arce Noego.
Ależ i licho przyszło nareście,
Jakiś głupi kiermasz w mieście
Całą tę zgodę rozstroił.
Nasz Jakubek
Nalał w czubek
I żonie skórę wyłoił.
Żona kwaśną strojąc minkę,
Przez zemstę, na złość mężowi,
Za jakąś tam drobną winkę
Dała rózgą Tomaszkowi.

Chłopiec z wielkim gniewem, płaczem,
Wybił pieska harapaczem.
Pies niecnota
Pogryzł kota,
Kota nawet czart pokusił,
Porwał ptaszka i udusił.

Tak to zły przykład, gdy się zdarzy komu,
Z łatwością się rozkorzeni,
Raz tylko djabła wpuść do twego domu,
A raj ci w piekło zamieni.

WĘDKA.

Zrobiwszy wędkę z prątka i nici
Jaś najpewniejszy że karpia schwyci,
Wziął się do dzieła.
Jakoż po chwili wędka zadrgnęła; —
Ciągnie prętkiem, ciągnie nitką.
Cóż wyłowił? — żabę brzydką.

Tak niejednemu zdarza się śmieszkowi,
Sięga po dowcip a głupstwo wyłowi.

KISZKOWSKI ZEGAREK*).

Z napchanym trzosem lecz z pustkami w głowie
Jadąc na wojaż pewien panicz młody,
Chciał się w zegarek zaopatrzyć wprzódy,
Kupił go sobie w Kiszkowie.
Kiszkowski Patek! sztuczka to nie lada!
Tak sam do siebie powiada,
Nakręca podług miejskiego ratusza,
I do Rzymu rusza.
Przybył szczęśliwie: a że z mądrej rady
Polecające z sobą zabrał listy,
Różne go pany, bankiery, artysty,
Zapraszały na objady.
Panicz nasz mowny, przytem wesół, żwawy,
Wielce bawił Rzym ciekawy,

*) Kiszków jest jedną z lichszych mieścin Wielkopolskich. Nie wiem czy ma ratusz i zegarmistrza, lecz nie wątpię że w wieku tak ogromnego postępu, wkrótce celować będzie niemi.

Zwłaszcza kiedy mu o Kiszkowie gadał,
I za sześciu zjadał.
Wkrótce atoli sam sobie zaszkodził,
Przez wszystkich został wyśmiany,
Gdy na piątą zapraszany
Zawsze o trzeciej przychodził.
Inny los całkiem czekał go w Lizbonie.
Wprawdzie go i tam, w miłym, grzecznym tonie,
Jakieś możne Portugały
Do swych domów zapraszały.
Cóż, gdy pomimo że się wciąż wpatrywał
W swój zegarek niezawodny,
Zawsze zbyt późno przybywał
I do domu wracał głodny.
Wściekał się z złości, — gdy w tem na ulicy
Napotkał ziomka z swojej okolicy,
I nuż w swe skargi złorzeczne
Na wszystkie miasta stołeczne,
Że prawdziwą jest ohydą
Jak ich zegary źle idą,
Na objad trafić nie może.
A ten mu na to: Żal mi cię nieboże,
Widzę że nie lubisz postu,
Tymczasem pozwól wyznać ci poprostu,
Głupstwa to twego jest wina.
U ciebie zawsze Kiszkowska godzina,
Z nią tu nie trafisz do ładu.
Mając zegarek, miejże i w zwyczaju
Nakręcać go podług kraju,
W którym masz iść do objadu.

W jakie bądź puścim się strony,
Wszędzie rzeczy postać nowa,
W Lizbonie podług Lizbony,
W Kiszkowie podług Kiszkowa.

DWÓR LWA.

Sułtan, Lew pierwszy, ciekawością zdjęty,
Jakiemi włada zwierzęty,
Wydał rozkaz z Lwiego-grodu,
Przez nadwornego otrąbiony osła,
By z każdego zwierząt rodu
Przysłano mu posła.
Bóg wie co w swoim przyrzekał firmanie,
Naprzód potężnej łapy całowanie,

Po niem bankiety, łaski, względy swoje,
Przez cały miesiąc otwarte pokoje.
Wreście by dowiódł, jak ceni wysoko
Miłe mu zewsząd posłańce,
Każe by przez swe i skoki i tańce
Wsławiony bawił je Żoko.
Spieszą więc pełni radości, nadziei,
Posłowie różnych i borów i kniei
Do Lwiego-grodu przychodzą.
Ale zaledwie staną w progach pańskich
Jakże się strasznie zawodzą!
Na miejscu komnat sułtańskich
Cóż widzą? — Jamę pełną nieczystości,
Mnóstwo trupów, mnóstwo kości,
Straszny je fetor zalata.
Skrzywił się niedźwiedź, głupi prostak lasów,
Sułtan podobnych nie cierpiał grymasów,
I udusił deputata.
Słusznie! zbyt słusznie! małpa się odzywa
Równie z pochlebstwa jak strachu,
I nuż o wielkim, cudownym zapachu,
Który się zewsząd rozpływa.
Czemże, zawoła, są wszystkie kadzidła,
Wszystkie kwiaty i pachnidła
Przy tej woni twego dworu,
Którąśmy wszyscy uczuli!
Ale nasz Sułtan dziwnego humoru,
Jakiś krewniak Kaliguli,
Równie pochlebstwa jak prawdy nie lubił,
I drugiego posła ubił.
A wy co na to? panie deputacie! —
Rzecze do lisa — jakże Waszmość twierdzi?
Powiedz co w mojej uczułeś komnacie,
Czyli tu pachnie, czy śmierdzi?
Lis na to: Panie, jako sługa wierny,
Szczerą, najszczerszą prawdę-bym wyjawił,
Ale mam katar niezmierny,
Który mię węchu pozbawił.

Chcesz żyć na dworze, zręcznie się układaj,
Zbytecznych pochlebstw, ostrych prawd nie gadaj,
Tam gdzie na jednym włosku lostwój wisi,
Z wszystkich rozumów najlepszy jest lisi.

WIERSZ
DO
HENRYKA STATTLERA.

Szczęsny, kto w ręku piastuje natchnienie,
Którem myśl nikłą w płaszcz głazu obleka,
Taki przeczuwa co Pan czuł w Edenie,
Gdy z ziemi żłobił pierwszego człowieka.
Czemuż nie wierzyć w cuda Orfeusza,
Dziwnoż, że przy nim głazy się wzruszały,
Gdy się pod dłutem w kamieniu myśl wzrusza,
Dziwnoż że Mojżesz zdrój wywiódł ze skały,
Kiedy pod dłutem wytryska z niej dusza?
Sztuka jest ciągle podobną cudowi,
Wzniesie, pocieszy, pokrzepi, uzdrowi,
Niebieski spokój w posągach rozlany
Koi zwątpienia i zamyka rany.
Dalej o sztuko! gdzież twe krańce boże?
Wszak co uzdrawia to i wskrzesić może
Choć dusza wyjdzie z śmiertelnej postaci,
W kształcie posągu wraca do współbraci.
Szczęśni wytrwali, szczęśni niestrudzeni,
Szczęsny kto z laty ciężką pracą wzrośnie,
Lecz ten szczęśliwy kto w młodzieńczej wiośnie,
Zrywa owoce dojrzałej jesieni.
Młody rzeźbiarzu, gdzież cię nieścigniony
Polot uniesie? W majowym rozkwicie
Pełnemi dłońmi zbierasz takie plony,
Na jakie inni czekają przez życie.
Nasz święty Wawel, ta wzniosłość widoma,
W swem cię poważnem kołysał objęciu,
Więc wzniosłość lubą stała się dziecięciu,
Siedmiu szczytami zwabiła ją Roma.
Jednak z pamięci niezniknął cień Lecha,
Witasz współziomków w przelotnym zapędzie.
I cóż to słyszę, czy znowu cię woła.
Głos marmurowy Michała Anioła?
Pójdziesz w kraj obcy, lecz z wiernością echa
Polskie natchnienie pójdzie z tobą wszędzie.

17go Października 1856 *Deotyma.*

KORRESPONDENCYA

Z FRYDERYKIEM OZANAMEM

W KWESTYI APOSTOLSTWA

Ś. OTTONA BAMBERSKIEGO

NA POMORZU.

W r. 1842 Fryderyk Ozanam zgasły tak wcześnie dla sprawy kościoła, dla nauki i dla przyjaciół, wykładał z niesłychaném powodzeniem w Sorbonnie o najwcześniejszym ruchu umysłowym w Niemczech. Zdarzyło mu się, że dając obraz wymowy kaznodziejskiéj w XII. wieku zbyt pobieżnie i zaciemno o apostolstwie Ś. Ottona Bamberskiego wspomniał. Owóż powód dla którego jeden z rodaków naszych w Paryżu, napisał do niego list z objaśnieniami. Ozanam odpowiedział. Te dwa listy podajemy dziś czytelnikom naszym w przekładzie polskim, nie żeby zawierały rzeczy mniéj znane lub naukowo dokładne, ale że pamięć przychylnych uczuć i dobréj woli Fryderyka Ozanama na zachowanie zasługuje.

List do P. Fryderyka Ozanam Professora literatury niemieckiéj w Sorbonnie.

Professor literatury słowiańskiéj w kollegium francuzkiem (A. Mickiewicz) obwieścił niedawno wysoką prawdę która się żywo odbiła w sercu jego słuchaczów a rozniesie się daleko. „Francya wyzwoliła objaw „myśli słowiańskiéj, rzekł on, na jéj to gościnnéj ziemi członkowie rozma„itych gałęzi wielkiéj słowiańskiéj rodziny, mogą bez jakiéjkolwiek prze„szkody wolno roztrząsać wzajemne swoje pojęcia religijne i polityczne, „mogą zgłębiać przeszłość, przyszłości fundamenta zakładać.“ Ta prawda odnosi się szczególniéj do rozproszonych dzieci Polski, najprawdziwszych wyobrazicieli słowiańskiego ducha, najwymowniejszych apostołów posłannictwa naznaczonego przez Opatrzność całemu plemieniu — korzystając więc z owéj swobody, pozwalam sobie kilku uwag z powodu jednéj części dziwnie pięknéj improwizacyi pańskiéj o wymowie religijnéj w Niemczech w ciągu XII wieku. Wszystko zresztą co powiem wyjęte jest z kronik miejscowych i z życiorysów Ś. Ottona, mianowicie z biografii ułożonéj przez współczesnego bezimiennego (*Vita S. Ottonis a quondam Anonymo descripta*) i z żywota Ś. Ottona opisanego w XV wieku przez Andrzeja opata Bamberskiego a stwierdzone poszukiwaniami najuczeńszych historyków krytycznych naszych czasów.

Kładąc na jednéj linii i prawie w tém samem zdaniu Prusaków i Słowian, Królewiec i Ś. Ottona, mógłeś pan dać powód do błędnego mniemania że Prusacy są słowiańskiego pochodzenia, że Królewiec liczył się do miast Pomorza i że właśnie w tém mieście wymowa świętego biskupa spowodowała cudowne nawrócenie się mieszkańców. Nie będę pana nużył wywodem naukowym o znamionach charasterystycznych dawnych pokoleń pruskich, które równie jak pierwotne pokolenia Kurlandyi, Inflant, Żmudzi i Litwy, przedstawiają szczególny i nadzwyczajny wyjątek śród pokoleń czysto słowiańskich rozprzestrzenionych i rozgałęzionych od

Elby aż do źródeł Wołgi, od morza baltyckiego aż do wybrzeży Adryatyku tudzież do ujścia Dunaju. Pokolenia pruskie różniły się od pokoleń słowiańskich, językiem, nawyknieniami i obyczajami. Ich pojęcia religijne, ich symbole przedstawiają uderzające podobieństwo z pojęciami mieszkańców Indyi tudzież czcicieli ognia w Persyi, znać tylko w przetworzeniu jakiemu uległy wpływ Skandynawski. Pokolenia te miały skłonności barbarzyńskie; ofiary składały krwawe. Przeciwnie ludy słowiańskie, których pojęica religijne były zdrowsze, pogaństwo rozumniejsze. Słowianie czcili tylko jednego Boga. władcę świata Światowida. *Habent unum Deum de coelis imperantem caeteris* świadczą Ditmar i Helmold. Ich urządzenie spółeczne nosi charakter większéj swobody, nie podlega przewadze kapłanów. Łagodni, towarzyscy, uprzejmi, uczciwi, gościnni, oddawali się oni wyłączniéj spokojnym rolniczym zajęciom. *Ingenium ipsis nec malignum nec fraudulentum* mówi Prokop, *Adversus peregrinos benigni magnoque studio servant incolumes* dodaje cesarz Maurycy. Pomięszano w jedno Słowian z innemi ludami północy i wschodu Europy, powikłano razem ich początki, ich mitologią, ich dzieje, z tego wszystkiego utworzył się chaos, *rudis indigestaque moles* śród którego dopiero za dni naszych krytyka rozjaśniła cienie.

Pierwsze promienie Chrześciaństwa przedarły się do lasów kraju pruskiego ku końcowi X wieku, w skutek podboju Bolesława Wielkiego założyciela Monarchii polskiéj i wtedy krew męczeńska która nie zostaje nigdy niepłodną skropiła tę niegościnną ziemię. Następnie wielka krucyata która się skończyła zwycięztwem pierwiastku Chrześciańskiego nad pogaństwem pruskiem odbyła się w połowie wieku XIII. za staraniem a połączonemi siłami książąt polskich, Konrada piątego wielkiego mistrza kawalerów niemieckich czyli Krzyżaków i Przemysława Ottokara króla Czech. Do owéj to epoki odnosi się założenie Królewca późniejszéj stolicy Prus wschodnich czyli książęcych, naówczas zamku obronnego wzniesionego za poradą Przemysława i na jego cześć nazwanego Królewską Górą (Königsberg).

Pomorzanie co się znaczy mieszkający na brzegach morskich a nie Pomerelczycy (Pomerelliens — nazwa fałszywa i nic nie znacząca wymyślona w XVI wieku), Pomorzanie mówię, nigdy się po za Wisłę nie rozszerzyli. Tak jak Prusacy i Litwini zostali oni nawróceni przez Polaków i od nich przyjęli pierwiastkową oświatę. Zaiste żaden naród słowiański nie zasłużył się więcéj ludzkości jak Polacy, żaden przed sądem potomności z piękniejszemi świadectwami nie staje.

Wybaczysz mi pan te kilka przedwstępnych uwag po których przechodzę do Ottona Bamberskiego.

W pierwszych latach panowania Władysława Hermana, przybył z Niemiec do Polski ubogi kleryk, który świętością obyczajów, gorliwością niezrównaną o chwałę Bożą także niepospolitem wykształceniem, zjednał sobie wziętość powszechną. Ten skoro się wyuczył języka krajowego otworzył szkółkę dla biednych dzieci a i bogaci zaczęli z niéj niebawem korzystać. *Nobiles et potentes Poloniae certatim ei filios ad erudiendum offerebant* (Andreas Abb.). Rozgłos o młodym kleryku doszedł na dwór książęcy i stało się że Władysław wziął go na doradcę i przyjaciela, że mu ważne poselstwa do obcych monarchów jął powierzać. Ów biedny kleryk którego dziś wystawiają jako mniéj wykształconego i jako nieznającego sławiańskich języków był to Otton przyszły apostoł Pomorza. Odwołano Ottona do Niemiec, cesarz zlecił mu wysokie kościelne godności, wszelako nie nadwyrężyło to przyjaznych jego stosunków z Polską. *Dux Poloniae omnesque terrae illius meliores summa ei amicilia juncti erant, frequenter ei salutatorias mittebant, meritis ac precibus se apud eum juvari*

posse, plurimum confidentes. Syn i następca Władysława Bolesław III. jeden z tych książąt co odgadują kierunek opatrzny ludów powierzonych ich władaniu i co stają się wielkiemi przez to że wyobrażają rzeczywiście ducha i potrzeby wieku swojego, jeden z tych zdobywców co podbijają raczéj wpływem niż mieczem, Bolesław mówię gdy ukrócił najazdy Pomorzan i narzucił im książąt ze swojego ramienia razem z podległością, powziął myśl dokonania podboju Pomorza na drodze Ewangielii, na drodze oświaty. Szlachetny i piękny podbój, wspaniałe uzupełnienie cywilizacyjnych usiłowań Bolesława Wielkiego! Cóżkolwiekbądź biskupi Polski obcy z pochodzenia, nie umieli wziąść się do wykonania katolickiéj myśli króla. *Omnes episcopos terrae suae conveniebat, nullum persuadere potuit ut illa re atque in tenebris et umbra mortis sedentibus lumen vitae vellit ostendere singulis suas excusationes praetendentibus, sicque per triennium dilata est praedicatio, duce ipso satis aegre ferente dilationem* (Anonym.) Wtedy Bolesław przypomniał sobie przyjaciela i doradcę ojcowskiego, który piastował godność biskupią w Bambergu i napisał do niego list, zasługujący na przytoczenie:

„W pamięci mojéj pozostał wyryty od dzieciństwa ów czas, kiedy „wzniosła pobożność twoja dostojny pasterzu słynęła na dworze ojca mo„jego. Dla téj to pobożności Bóg Wszechmogący wszystkim twoim kro„kom błogosławi. Obecnie pozwól że odnowię z tobą dawne stosunki, „abym za pomocą rad twoich i czynności twojéj mógł krzewić chwałę „Bożą na ziemi. Wiadomem ci być musi że naród Pomorski bożem nie „mojem ramieniem podbity pragnie przyjąć chrzest śty. aby wejść na łono „kościoła. Wszelako od lat trzech próżno się staram wynaleźć czy to bi„skupa czy nawet prostego księdza, któryby chciał trud ten podjąć. Świat „cały zna twoją gorliwość świętą i niezmordowaną. Racz dla chwały Boga „i ku pomnożeniu świętości twojéj przyjąć posłannictwo apostoła na ziemi „pomorskiéj. Chciéj poledz w téj sprawie na mojéj pomocy. Wierny „sługa kościoła przyjmuję na siebie wszystkie ciężary wyprawy. Wysta„ram ci się o towarzyszów podróży, o księży do pomocy i o tłómaczów. „Tylko mój wielebny ojcze przybywaj bez odwłoki."

Bezimienny biograf doskonale maluje wrażenie tego poselstwa na umyśle Ottona. *His auditis episcopus quasi de coelo vocem loquentis Dei accepisset, toto pectore laetitiae abundantia repletus, gratia agit Omnipotenti Deo, quod ad tale negotium suo uti dignaretur ministerio.* Biograf Andrzéj opowiada jak Bolesław przyjął Ottona. *Boleslaus dux comperto viri Dei adventu flere caepit per gaudios moxque egressus cum omni clero et populo dilecto patri nudis pedibus occurrit, tantaque cum devotione excepit ut etiam filios suos lactantes illi obvios portari et vestigia ejus osculari juberet.*

Urządzono wyprawę. *Dedit Boleslaus Domini meo Ottoni de gente sua tam slavicae quam teutonicae linguae gnaros satellites. . . Tres etiam sacerdotes Capellanos de latere suo princeps episcopo sociavit coadjutores verbi.* Jeden tylko wojownik do téj się spokojnéj wyprawy przyłączył, a najliczniejsze zastępy nie byłyby dokonały tego, co ten zapaśnik wiary wdziękiem wymowy swojéj i siłą przekonań dokonał. Pochodził on z Polski a nosił imie chrzestne Pawła. *Vir strenuus et catholicus*, jak mówi Anonim, *qui etiam naturali facundia idoneus esset concionari ad populum.* Paweł był niejako przewodnikiem biskupa, poprzedzał go wszędzie i przygotowywał umysły mieszkańców. Do Pirycza miasta na granicy Pomorza missya przybyła w dzień narodowéj uroczystości. Paweł poprzedził towarzyszów i sam śród tłumów upojonych pogańskiemi roskoszami zaczął wołać: „Mąż Boży niedaleko, przynosi on wam słowo Boże. Jest potę„żny, bogaty i nie żąda od was jeno zbawienia dusz waszych. Pomnij-

„cie na przysięgę którąście niedawno temu wykonali Bolesławowi, po- „mnijcie na jego miecz zwycięzki, istny miecz Boży i zaproście apostoła „by wstąpił na progi wasze a w serca wasze przyjmijcie słowo ust jego.“ Lud zdziwiony chce się naradzić ale Paweł na to nie przystaje. „Każda „chwila jest droga, woła, kiedy chodzi o wasze zbawienie. Uczyńcie bez „zwłoki to czego Pan Bóg po was żąda.“ Ta natarczywa żołnierska wymowa przeniknęła do serc pogańskich jako promień łaski bożéj i cały tłum wzruszony, uniesiony, wykrzyknął jednomyślnie: „Chodźmy, spieszmy „tam gdzie nas nowe życie czeka.“ Skoro przybył biskup nic mu nie pozostawało, jeno ochrzcić wszystkich mieszkańców.

W Julinie lud poburzony przez niechętnych, obległ biskupa w zamku i chciał go zamordować. Paweł przemawia do zaciekłych, wszystko napróżno. Widząc że niema innéj rady stara się uratować apostoła uprowadzając go śród tłumu. Na widok posuwającego się nielicznego zastępu tysiąc się ramion podnosi, już świętokradzkie żelazo zraniło Ottona, mąż Boży pada i tylko księża polscy zasłaniają go ciałami swojemi. W końcu Paweł bierze biskupa na ramiona i szczęśliwie go z miasta unosi.

W Szczecinie książe ustanowiony przez Bolesława sprzyja missyi, ale mieszkańcy odpychają wszelką myśl nawrócenia, chyba gdyby Bolesław zmniejszył daninę pieniężną i dał rękojmię trwałego pokoju. I tu Paweł poświęca się: oświadcza on biskupowi gotowość udania się na dwór Bolesława i uzyskania żądanych ustąpień. Żałuję że nie mogę przytoczyć dosłownie odpowiedzi polskiego książęcia; jest to wzór umiarkowania, miłości chrześciańskiéj zarazem wielkości i siły, zwykle nie tak przemawiali zdobywcy gdy im fortuna sprzyjała. Odpowiedź owa tak się zaczyna: „Bolesław z Bożéj łaski książę polski i nieprzyjaciel wszy- „stkich pogan, tym z pomiędzy Pomorzan i mieszkańców miasta Szcze- „cina, którzy pozostają wierni wykonanéj przysiędze trwały pokój i przy- „jaźń niezmienna, tym, którzy jéj zapominają ogień, ogień i gniew bez „końca.“ Daléj mówi, że powinienby ramię swoję na głowy ich spuścić, by ich ukarać za to, że nie uczcili jak należy świętego człowieka, który jest między niemi, ale że na wstawienie się apostoła, przyznaje im ich żądania. Wylicza jeszcze swoje nowe dobrodziejstwa i wten sposób kończy: „Ci którzy się nawrócą do wiary chrześciańskiéj, będą się mogli „dotknąć ręki naszéj, posiądą oni dziedzictwo wiekuistych radości i wszę- „dzie, a zawsze mogą liczyć na pomoc i przysługi Polaków jako towa- „rzyszów tudzież przyjaciół.“

Paweł przywiózł odpowiedź do Szczecina; lud przyjął słowa królewskie z uniesieniem, i Szczecin, tudzież inne miasta Pomorza przeszły na chrześciaństwo. Widząc dzieło nawrócenia dokonaném, Paweł nie mniéj doskonały w pokorze jak w czynnościach swoich wrócił spokojnie w ustronie. Pamięć jego przechował tylko towarzysz jego pielgrzymki cudzoziemiec. Kroniki polskie zaledwie wspominają o tym chrześciańskim bohaterze. Z jakiéj rodziny pochodził, do jakiego należał herbu, gdzie żył, jak umarł? Nikt tego nie wie i nikt się o wiadomość nie troszczy. Już to zawsze i wszędzie historya staranniéj zapisuje zbrodnie i klęski, jak cnoty i dobrodziejstwa.

Co się tyczy zasług Ottona, żadne pióro nie jest zdolne opisać ile on uczynił dla ludzkości. Są to skarby niezgłębione. Zna je tylko Pan Bóg. *Qui videt omnia viderit Deus*, mówi biograf bezimienny.

Jeszcze jednego epizodu apostolstwa Ś. Ottona, prześlicznego i jedynego może faktu w dziejach chrześciaństwa pominąć nie mogę. Skoro wieść o przybyciu biskupa rozeszła się w Szczecinie, dwoje dzieci z takich co to je Chrystus do siebie powołał, wybiegło przodem naprzeciw apostoła, ciekawe by poznać nowego Boga, którego z sobą przynosił.

Ujęte anielską łagodnością pasterza, dzieci te przytuliły się do niego niechcąc go opuścić, a prawdy niebiańskie, które usta jego rozsiewały znalazły niebawem przystęp do ich serc niewinnych. Zaraz przyjęły chrzest święty i gdy wróciły do swoich małych towarzyszy tyle im nagadały i o dobroci biskupa i o wielkości nowego Boga, że ich napełniły chęcią poznania bliżéj wszystkiego. Tym sposobem zaledwie dni kilka upłynęło aliści liczny zastęp dziecinny otoczył biskupa z błaganiem, by im odsłonił tajemnice święte. Biskup przychylił się do ich życzeń; wkrótce potém mali missyonarze poszli szerzyć w mieście słowo Chrystusa, a ludzie dojrzali oświeceni radami niewinnych istot jęli się garnąć do apostoła opowiadającego słowo żywota.

Prosta ta, a poruszająca legenda, byłaby zyskała niezmiernie gdybyś pan ją był opowiedział.

Na tém list mój kończę. Nie tłomaczę jego rozwlekłości, bo pan lepiéj niż ktokolwiek ocenisz powód i cel mojego pisania. Nie pozostaje mi jak złożyć panu hołd szczerego uwielbienia i głębokiego szacunku.

Z Paryża 17. czerwca 1842 r.

Odpowiedź pana Ozanam.

List, któryśmi pan łaskawie przed kilkoma dniami przesłał, poruszył mnie żywo. Takie szczere odezwy tyczące się kwestyi rozbieranych w ciągu wykładu z katedry, lepiéj świadczą o uprzejmém współczuciu słuchaczów, niźli oklaski dawane ze zwyczaju. Nie te oznaki dobréj woli których tłum udziela są najpochlebniejsze ze wszystkich, ale raczéj te, które pochodzą od ludzi poważnych co obecnością swoją zaszczycają nasze ławy i świetność katedr naszych utrzymują.

Wybacz pan opóźnienie odpowiedzi; mniemałem, że będę mógł odpowiedzieć z innego miejsca, miałem zamiar na ostatniéj lekcyi wspomnieć o uwagach pańskich dla korzyści wszystkich słuchaczów. Czas zawsze krótszy jak moje obrachowanie i tą razą mnie zdradził. W następnéj lekcyi nie wiem czy mi nawet krótką wzmiankę uczynić będzie podobna. Uczułem więc potrzebę napisania do pana naprzód, żeby panu podziękować, a potém żeby się wytłomaczyć. Przyjemność to zarazem i obowiązek.

Nieunikniona pobieżność wykładu raz na tydzień, mnogość przedmiotów których dotknąć wypada, nie pozwalają myśli rozprzestrzenić się, zarazem rozjaśnić się dostatecznie. Skądinąd słowo młode i niedoświadczone zawodzi myśl któréj służy, a pospiech w mowie znosi rozróżnienia jakichby ścisłość naukowa wymagała. Owóż jak szkicując niedostateczny obraz kaznodziejstwa średniowiecznego w Niemczech, zaledwie ciasny kącik pięknym missyom na granicach cesarstwa dokonanym wyznaczyć mógłem. I stało się, żem nierozróżnił o ile trzeba prac apostolskich między Słowianami podjętych od późniejszego apostolstwa między Prusakami. Wszelako pamięć moja nie mięszała z sobą tych ludności tak odmiennych co do swoich przeznaczeń. Różnice charakterystyczne języków i religii nie były mi obce. Mnie nadewszystko chodziło o wykazanie zapoznanéj zasługi walk całe wieki trwających w północno-wschodniéj stronie Europy i o zwrócenie uwagi na zacięty opór tych pokoleń, których nawrócenie zaledwie w XV wieku było zupełne, które reforma protestancka owładnęła w wieku XVI, tak że czysta jasność prawdziwéj wiary tylko błysnęła nad niemi. W ten sposób przyszło mi wspomnieć o Królewcu i o Prusiech, a właśnie szukałem jak za pomocą znanych nazwisk oznaczyć tę dumną i kłamliwą oświatę, w któréj tak mało chrześciańskich żywiołów. Daleka była odemnie myśl zaczepienia prawdziwych Słowian nawróconych od dawna, a mianowicie wielkiego narodu do którego pan

należysz, narodu co stanowił zawsze przedmurze kościoła, tudzież wolności przeciw pogaństwu północnemu, przeciw schizmie rossyjskiéj, a późniéj przeciw muzułmańskim zalewom. Jako Francuz mam dla Polski pobożne uczucie wdzięczności, jako katolik oddaję jéj cześć należną męczeństwu.

Pozwól mi pan podziękować sobie za piękną legendę o Ś. Ottonie Bamberskim. Znałem ją z Bollandystów. Doskonała parafraza pańska, uwydatnia wszystkie odcienia textu i oddaje je w naszéj mowie z powodzeniem jakiego rzadko dostępuje pióro cudzoziemca. Słuchacze moi byliby bardzo chętnie dowiedzieli się o takich szczegółach. List pański zachowam jako streszczenie wspaniałéj stronnicy dziejów świata, także jako pamiątkę pełną zachęty tegorocznego mego kursu. Czuję się zań wielce obowiązanym i miło mi będzie jeśli się nam przedstawią inne sposobności zbliżenia i jeśli się znajdę w położeniu wyrażenia panu i t. d.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

PIŚMIENNICTWO

GAWĘD, RYMÓW ULOTNYCH I PRZEKŁADÓW WŁADYSŁAWA SYROKOMLI. Poczet Czwarty. Wilno, nakładem Księgarni R. Rafałowicza, 1856.

CHATKA W LESIE. *Dziwactwo dramatyczne przez Władysława Syrokomlę*, Część druga. Wilno, nakładem A. Assa Księgarza w Wilnie, 1856.

HRABIA NA WĄTORACH. *Krotofila wierszem z XVIgo wieku, przez Władysława Syrokmolę.* Wilno, czcionkami A. Marcinowskiego, 1856.

WIELKI CZWARTEK. *Obraz wioskowy przez Władysława Syrokomlę.* Wilno, nakład Maurycego Orgelbranda, 1856.

JANKO CMENTARNIK. *Gawęda ludowa, przez Władysława Syrokomlę.* Wilno, nakład Maurycego Orgelbranda, 1856.

STARE WROTA. *Poemat przez Władysława Syrokomlę.* Wilno, nakład Maurycego Orgelbranda. 1856.

Pisma perjodyczne, co cztery lub co kilka tygodni wychodzące, mogłyby przeznaczyć osobną rubrykę dla Syrokomli, a pewnie w żadnym poszycie nie pozostałaby ona niezajętą. Nadzwyczajna płodność tego poety wprawia wszystkich w podziw, raduje ogół czytelników, ale zarazem w poważniejszych sędziach wzbudza obawę, czy mnogość nie ujmuje wartości, i czy nie wyczerpuje sił które bardziéj się skupiając, przy należnym odpoczynku i rozwadze, mogłyby sięgnęły wyżéj i dokonały od razu więcej jednem wzorowem dziełem, jak tyloma drobnemi, cząstkowemi i dorywczemi płodami. Ale obfitość i doraźność jest znamieniem, żądzą

a może i koniecznością wieku. Nie winujmy więc wieszcza zanadto, jeźli się temu ogólnemu popędowi oprzeć nie zdołał. Oprócz tylu innych powodów*) dostarczyć mu jeszcze może doskonałą wymówkę obecne położenie literatury naszej. Romans, który miał wszystko ogarnąć, wszystko w sobie zjednoczyć, wyraźnie od pewnej doby zwątlał, wyczerpnął się, i żyje tylko mocą przyzwyczajenia, nałogu, który za głęboko się wkorzenił w hołdującej powieściopisarstwu publiczności, aby od razu mógł być pokonanym. Zewsząd też gromadzą się zwiastunne znaki, że piśmiennictwo, aby nie zbezwładnieć w jednem zaklętem kole, wkrótce potrzebować będzie odświeżenia się, odmłodzenia w jaśniejszem, czerstwiejszem, bardziej ożywczem źródle, i szukać czystszéj, wznioślejszej i dla twórczości więcej obiecującej formy. A cóż tę siłę ożywczą i tę formę dać może, jeźli nie poezya? Poezya też niebawem stanęła na wyłomie. Oddawna nie było tak obfitego roku jak przeszły w nowe utwory i w nowych poetów. W ruchu tym Syrokomla rej wiedzie. Być może iż bez żadnego wprzód obrachowania, ale wprost instynktem uczuł on, iż aby wyrugować rozwielmożnionego wszędzie przeciwnikaj, trzeba własną jego przyjąć metodę, to jest raz po razie, nieustannie nastręczać się publiczności. Bądźmy więc za to wdzięcznemi poecie, nie pytając jak często i jaką miarą nam daje, ale badając tem ściślej co nam daje. *Tem ściśléj*, mówimy, bo jako nieskończenie wzmogła się konieczność moralności i prawości w rządach, odkąd para, telegrafy elektryczne i inne wynalazki ułatwiły im pośpiech w działaniu, tak też im częściej i bezpośredniej który autor przemawia, tem większą bierze na siebie odpowiedzialność. Z tej to głównie przyczyny staraliśmy się wciąż dotrzymywać kroku poecie, o którym tu mowa, i od lat dwóch część krytyczną tak często od rozbioru jego utworów poczynamy.

Poczet czwarty Gawęd, rymów ulotnych i przekładów zajmuje w wielkiej części znana nam już i szeroko w *Przeglądzie* roztrząsana gawęda *Kęs chleba.* Do tego autor dołączył kilka małych, oryginalnych wierszyków. Zresztą książkę tę wypełniają przekład dwóch zarysów dramatycznych, czyli jak autor zowie, mikroskopicznych dramatów Goethego *Ziemski Padół i Ubóstwienie Artysty*, tudzież przekład jedenastu początkowych rozdziałów (a wiadomo że jest wszystkich 42) z ksiąg Hioba.

Wydanie to jak najdowodniej okazuje iż autor wpadł w ręce spekulantów. Ci biorą się na wszystkie sposoby aby ciągnąć zyski z jego popularności. Jakież bowiem musi być zadziwienie kupującego gdy nabywając tę książkę w mniemaniu iż się nacieszy czemś nowem, znajduje pod zapowiadającą nowy poczet wierszy okładką, wydaną już osobno przed rokiem gawędę, a zresztą kilka mało-znaczących rymów. Lubownik więc

---

*) Wymieniamy powyżéj ważniejsze względy, dla których autor obrał zapewnie ten sposób broszurkowego wydawania poezyi, ogłaszając od razu wszystko co napisze, bez uwagi na drobność przedmiotu i rozmiaru. Wielu jednak upatruje w tém taktykę miłości własnéj i próżności autorskiéj. Inni tłomaczą to naciskiem smutnego położenia, o czém poeta często napomyka. Nam się zdaje, że w tym niższym rzędzie powodów, najgłówniejszym, a może i jedynym być musi natręctwo wydawców, którzy dobrze obrachowali, że półtuzina takich poemacików ledwieby utworzylo jeden tom i to nie zbyt gruby, tom zaś taki, nawet przy niesłychanie wygórowanych cenach książek naszych, nie mógłby żadną miarą przynieść więcéj nad połowę tego, co odrębnie wydawane te poemaciki przynoszą. Spekulacya angielska dawno już natrafiła na ten sposób. Ztąd najsławniejsze romanse w Anglii wychodzą miesięcznemi poszytami.

tego poety, skrzętnie zbierający jego dzieła, musi albo zrzec się tego czwartego tomiku, albo też dla owych kilka drobnostek po raz drugi nabywać to same dzieło. Czynimy tę uwagę, bobyśmy niechcieli, aby u nas spekulacya księgarska, osobliwie w ogłaszaniu utworów poetycznych, poszła tym kierunkiem, który w innych krajach zniszczył wszelką wiarę w sumienność wydawców.

Mało więc co jest do powiedzenia o tym zbiorze. Ale i w tej niewielkiej liczbie nowych rymów, autor znalazł sposobność stwierdzić to cośmy już tylekroć o jego religijnych pojęciach i stawianiu się względem kościoła powiedzieli, gdyż znów do żywego obraża uczucia wszystkich wiernych synów stolicy apostolskiej podobnemi wierszami:

Nim się kardynałowie do Paryża zjadą,
Maścić wybrańca ludu święconą pomadą.

Któż po takich drwinach ufać jeszcze będzie w szczerość religijności, z którą autor w innych razach występuje, a która, obok takich jak powyższe przycinkach, wydaje się tylko środkiem, przyborem, barwą dla podniesienia obrazów poetycznych. Autor z wystawnością wszędzie głosi, że pisze dla ludu, że w nim czerpie swe natchnienie. Przymiotnik *ludowy* najpokaźniej nadaje swym gawędom i wierszom rozmaitym. Nie może więc się obejść bez obrazowania na tle uczuć i pojęć religijnych ludu. Lecz wyskoki i koncepta jak powyższy i jak tyle już w poprzednich recenzyach przytoczyliśmy, muszą go koniecznie podawać w posądzenie, iż barwy religijnej używa tylko przez wzgląd na sztukę, dla artystycznych wymagalności, z przymusu, za który sobie w nieostrożnych czy też w szczerszych chwilach sowicie odpłaca.

Krótka, ale posuwista gawędka *Matysek* może byłaby najstosowniejszą do przytoczenia z tego zbioru. Nam się jednak najwięcej następujący wiersz podoba:

Odpowiedź do Panny A. O.

**O dzięki, dzięki, rodaczko młoda,
W twych kilku słowach miła osłoda.
Pytasz skąd płynie i co to znaczy
Tęsknota w głębi piersi śpiewaczej?
W piosnkę, jak w rzekę nim szumieć zacznie,
Tysiące źrzódeł wpada nieznacznie...
Ale szumiąca pieśni kaskada
Wciąż się ze łzawych strumyków składa.
Bóg-że odgadnie skąd każdy płynie?
Trudno je odnieść k' jednej przyczynie.
Są tam boleści, są i rozkosze,
Słowem wszystkiego znaleźć potrosze.
Więc gdy te zdroje w piersiach się zleją,
Poczną wirować, kipieć koleją,
To w ich oddźwięku, w ich gwarnym szumie,
Ucho rozeznać tonów nie umie;
To płacz jękliwy — jak wiatr w jesieni,
To w śmiech boleśny nagle się zmieni,
To jękiem dzwonu płynie w przestworze,
To jak modlitwa, jak święty Boże!
Może w nich kiedyś... kiedyś... nieznacznie
Ton Alleluja pomagać zacznie,
Lecz póki święte nastąpi rano
Może już pulsa tętnić przestaną.**

Cierni żywota gałęź kolczasta
Zanadto silnie do serca wrasta,
Tak je oplata, tak się wkorzenia,
Że samą boleść w nałóg zamienia
Wyrwawszy gałęź wszczepioną zdradnie
Może się samo serce rozpadnie,
Może się jego rozedrą spojnie
A więc, bogdajby cierpieć dostojnie.
Gdyby mi dano dolę pieszczocha,
Możebym śpiewał weselej trocha,
Ale i radość byłaby mniejsza,
Nieznałbym chwili jako dzisiejsza,
Niktby nie spytał z miłą osłodą:
„Jakież to ciernie twe serce bodą?"
Takie współczucie, takie pytanie
Ból najdotkliwszy osłodzić w stanie,
Na każde takie dobroci słowo
Duch się uzbraja w potęgę nową,
Pielgrzymki życia znośna fatyga,
Brzemię krzyżowe milej się dźwiga,
Głos spotężnieje a serce wskrześnie
Na nowe bole, na nowe pieśnie.

Wiersz ten tem mocniej nas zajął, że doskonale odpowiada wyobrażeniu, jakieśmy sobie o autorze z pism jego utworzyli. Odkrywa bowiem te słabe strony w jego organizmie, na które głównie w naszych recenzyach zwracaliśmy uwagę. Poeta sam tu wyznaje iż pozwala swej boleści w nałóg się zmieniać, i wynurza pragnienie by mu Bóg dozwolił cierpieć dostojnie. Otoż zdawało nam się że nie dość cierpi ten dostojnie, owszem zły przykład z góry daje, kto uposażony tak wielkim talentem i wpływem na rodaków, nie stara się łagodzić ich boleści, wciąż jątrzonych widokiem nędz i poziomości naszego wieku, a osobliwie niedolą ojczyzny, ale szukając ofiary tym wewnętrznym udręczeniom, podżega je i zwraca ich wybuch na własnych braci, użycza uroczych, namiętnych słów niesłusznym skargom jednych stanów na drugie, i świetnością swego genjuszu zakrywa zgubne dążenia, których nie początkował, którym zapewnie nie sprzyja, a które wstrzymane i zniechęcone od niejakiego czasu, mogliby przyczajeni teoretycy znów raźniej pod tą osłoną i przy tej nowej pomocy ku szkodliwym ojczyźnie celom pokierować.

W drugiej części *Chatki w Lesie* autor wywiązał się z swego zadania szczęśliwiej, niżli pierwsza spodziewać się dozwalała. Udało mu się to, bo poszedł drogą prostą, loiczną, właściwą swemu talentowi. Druga też ta część jeszcze dobitniej od pierwszej okazuje, jak niepotrzebnie utwór ten nazwał *dziwactwem.* Już to jest jego nieszczęściem, a może i główną przyczyną jego błędów, iż na gwałt usiłuje być tem, czem ani z wrodzonych zdolności ani z wykształcenia nie jest, i czem mógłby tylko zostać, zrzekając się najcelniejszych swych przymiotów. Ze krwi, z nauki, z wychowania szlachcic, pragnie na przekór być *ludowym.* Z pojęć i ze stylu arcy-klassyk, wstydzi się, wypiera klassycyzmu, jak to widzieliśmy w przedmowie do *Margiera.* Tak i tu zachciało mu się koniecznie być dziwakiem, a wrodzony popęd zaraz go zwrócił na szeroką kolej zdrowego rozsądku, wytkniętą oddawna uznanemi prawidłami, rzec-by nawet można powszednią, pospolitą, gdyby powszedniem i pospolitem mogło być jakiekolwiek dzieło tak znakomitego poety. Dla tego to treść tej drugiej części da się kilkoma słowami wyczerpnąć.

Henryk powstawszy z ciężkiej choroby, o którą go przyprawiła niestałość Maryi, nie opuszcza swej chatki w lesie, ale owszem oddaje się pracy i poświęca swe życie dobrym uczynkom. Wszędzie też zyskuje dobre imie i miłość. Staje się wzorowym gospodarzem, przyjacielem wieśniaków, opiekunem chorych i ubogich. Tymczasem sędzia Płodozmian nadskakuje Marszałkowi by rękę Maryi dla siebie pozyskać. Po zerwaniu z Henrykiem, jeszcze parę miesięcy bawił ją wir ludzi, potem znów zesmutniała, znowu świat począł ją nudzić, a ona zaczęła się urągać z całej młodzieży, wzdychać, płakać, aż wreszcie gwałtem się naparła podróży za granicę. Rad nie rad musiał Marszałek na to przystać. Wyjeżdża więc Płodozmian ułożywszy sobie projekt że ojca ujmie swym dobrym kucharzem a córkę grzecznostkami, towarzyszy im do granicy i tak drogę kieruje, by musieli jednego dnia do jego wioski na objad wstąpić. Na nieszczęście jednak, dojeżdżając już do tej wioski, powóz Marszałka pękł na złym moście. Podróżni w kłopocie zachodzą do najbliższej chatki w lesie, a tą jest chatka Henryka. Tu w nieobecności gospodarza mają czas przypatrzeć się wzorowemu porządkowi i uroczej postaci miejsca, przytem dowiedzieć się od zebranych ludzi o szlachetnych uczynkach Henryka. Wnet i on nadchodzi, Marya mu się tłómaczy, przeprasza i oddaje swą rękę, a gdy jeszcze zastawiono wyśmienity obiad przed Marszałkiem, wszystko się rozwięzuje, wyjąwszy dla Płodozmiana, jak najpomyślniej.

Sens moralny tej sztuczki, najlepiéj sam autor w przedmowie skreślił, gdy mówi: „Człowiek, jednostka społeczna, przy najdotkliwszych osobistych „cierpieniach, niema jeszcze prawa nazwawszy się szczęśliwym i załamawszy „bezsilne ręce, wymykać się z szeregu robotników pańskich na niwie „wspólnego trudu. Powinien się leczyć — aby ze zdrową ręką i sercem „stanął na swym zagonie; życie czynu, ofiary i miłości bratniéj, dopełniając celow naszego powołania, ma w sobie zarazem, powoli działającą, ale dziwnie leczebną siłę na cierpienia ducha. Bo zważcie: większa część ran naszych moralnych, pochodzi z ręki naszych bliźnich. „Kiedy raz zawiedzione serce mizantropa, przestawszy wierzyć w ludzkość, usycha na resztę życia, człowiek chrześciański zmuszony do ciągłego stosunkowania z ludźmi, musi dopatrzyć ich stronę dodatnią, musi „ich pokochać jako tych, którzy mu sprawili tyle szlachetnego zadowolenia z siebie; a kto kocha, nie może być całkiem nieszczęśliwy. W takiéj „sytuacyi postawiłem Henryka w jego skromnéj *Chatce w lesie*, — bo „gdzież piękniejsze pole do poczciwego trudu, jak w naszych ubogich „chatkach, wśród ludu serdecznego, a tak potrzebującego współczucia od „swéj starszéj braci? Wśród cierpień ducha, nie mógł zaprawdę Henryk „wieść kontemplacyjnego życia literata, z myślami i książką; pióro mu wypadło z drżącéj ręki, ale drobne na pozór, a pożyteczne dla siebie i drugich „prace wiejskie, wymagające ciągłéj przytomności umysłu, wyrywając go „z przykrych marzeń, musiały mu przynieść ulgę. Czyn poczciwy ma „właściwe sobie piękno. W promieniach takiego piękna Marya ujrzała „znowu Henryka; nie mogła się oprzeć jego urokowi, przeczuła co w sposób najbardziéj skuteczny zdolne jest zapełnić próżnię życia, — i znowu „zapragnęła *Chatki w lesie*, nie już jako młoda marzycielka, lecz jako „istota co się gruntownie zastanowiła nad życiem."

Wszystko to wybornie pomyślane. Jedno przecież wypada uczynić zastrzeżenie. Większa część ran naszych moralnych nie pochodzi, osobliwie w dzisiejszym wieku, z ręki (jak autor mówi) naszych bliźnich, ale z rąk naszych własnych. Nic bowiem łacniejszego a dziś pospolitszego jak zwalać na niewdzięczność i złość bliźnich to, co jest najzwykléj skutkiem naszéj zarozumiałości, żądzy panowania lub chorobliwych marzeń.

Człowiek prawdziwie chrześciański, w każdem niepowodzeniu, prędzéj wini siebie jak innych. Zawsze w pokorze własne naprzód roztrząsa sumienie, a nawet gdy żadnéj winy w niem dopatrzyć nie może, to nie wyrzeka, nie wylewa swych boleści w mściwe skargi i złorzeczenia na bliźnich, ale przyjmuje dopuszczenie Boże jako karę za inne grzechy lub jako próbę dla zasługi.

Założenie to w przedmowie postawione autor rozwinął w kilku krótkich scenach, równie nadobnych pomysłem jak wierszami. Jeźli niema nic nadzwyczajnie wzniosłego w szczegółach pod względem myśli lub toku, to znowu mało tu co razi, mało co zdradza zwykły w autorze animusz przeciw szlachcie. Nikczemność Płodozmiana i sybarytyzm marszałka, przedmioty godziwe dla satyry lub komedyi, mają tu dostateczną przeciw-wagę w zacnym i wzniosłym charakterze Henryka. Być może, iż w wprowadzonych osobach z ludu autor za nadto wyłącznie i sielankowo same tylko przedstawia cnoty. Zarywa on trochę w najgorszy swój sposób, gdy jednemu z wieśniaków takie w usta kładzie wyrazy:

Ejże szlachta, wy szlachta! każdy się panoszy,
Każdy patrzy z wysoka na biednych nędzarzy,
Kiedy nie skrzywdzi czynem, to słowem znieważy.
Człowieka, co w siermiędze, żaden nie oceni:
Daj mu serce — on rękę zaraz do kieszeni,
Zaraz ludzką przysługę mieniać na miedziaki . . .
Ej, panie Mateuszu! to zły zwyczaj taki!

W każdym razie zarzut to za ogólny i ostry, zwłaszcza w obec obrazu cnotliwego i ludowi poświęconego szlachcica, jakiego nam autor w Henryku odmalował. Uderza nieprzyjemnie jeszcze jeden maluczki szczegół. Strzelec, któremu Henryk jakieś dobrodziejstwo uczynił, przynosi mu w podarku zwierzynę właśnie w ów dzień przyjazdu Marszałka. Zmordowany, przymawia się o kawał wędzonki. Służący Henryka strofuje go, bo mu przypomina, że to piątek. Ale zaraz potém rozkazuje przyniesioną zwierzynę sporządzić na obiad dla Henryka. Przychodzi to w porę, bo inaczéj Marszałek nie zastałby dobrego obiadu. Ale pocóż autor obrał piątek na dzień spotkania, co na tém sztuka zyskała, poco to przeciwstawienie uszanowania ludu dla postu a lekceważenia onegoż przez szlachtę, czyż autor i swemu ideałowi Henrykowi nie mógł przebaczyć i musiał mu choć w czémkolwiek dogryźć dla tego że szlachcic? Lecz to są drobne usterki w porównaniu z wycieczkami w tym samym rodzaju w innych utworach autora, i dla tego mniéj one nas uraziły.

W jednéj scenie śliczna a może i zupełnie nowa jest myśl nawiasem tylko rzucona, która starczy za najdłuższe przytoczenia. Mateusz, stary służący Henryka, suszy przed chatką ziołka, które jego pan używał do leczenia ubogich, wymienia rozmaite ich własności, i tak w końcu mówi:

O święty Mateuszu! O święty Ambroży!
Jakto w każdej roślince kryje się duch Boży!
Ja człowiek nieuczony — a w głowie się kręci,
Że te dary być muszą dla jakiej pamięci.
Ot może dano ziółkom własność i nazwanie
Gdy się Chrystus w Betlejem urodził na sianie,
Więc każda marna trawka z owéj garstki siana
Jakowemś dobrodziejstwem została nadana . . .
Och! wielkie dobrodziejstwo, zwłaszcza tutaj w lesie,
Gdzie lekarz wieśniakowi ratunku nie niesie,

Gdzie jednym prostym środkiem, jedną garstką ziela
Niejednemu człekowi zdrowie się udziela.

Przysłowie zapisane u Rysińskiego: *Comes de Wątory, jeden kmieć a trzy dwory*, podało autorowi myśl do krotochwili p. t. *Hrabia na Wątorach*. Z przedmowy przytoczyć wypada te dla objaśnienia wyrazy: „Wybrałem chwilę historyczną, kiedy Stefan Batory trupiejące, lub bli- „skie przerodzenia się w olbrzymi potwór możnowładztwo polskie, chciał „zastąpić świeżą krwią i świeżą zasługą. Bo kiedy jedna, bogata część „arystokracyi rodowéj olbrzymiała, druga dumna a słaba, dogorywała „w swem nicestwie, gdyż główne stanowiska w kraju były zajęte, a zaj- „mować podrzędne, zdało się jej rzeczą uwłaczającą swej dostojności. „Wyobrazicielem tej pasożytnej kasty, wybraliśmy wyczytaną u Rysiń- „skiego postać Comesa de Wątory; Stanisław zaś Pachołowiecki, postać „historyczna, przedstawia nowy, świeży element ludzi osobistej zasługi, „któremi król Stefan pragnął licznie tron swój otoczyć. Na sprzeciwień- „stwie tych dwóch charakterystycznych elementów osnuliśmy obecną kro- „tochwilę."

O Pachołowieckim autor w przypiskach dodaje: „Stanisław Pacho- „wiecki jest dobrze znajomą historyczną postacią; żył i wsławił się za „Zygmunta Augusta i Stefana Batorego. Urodzony pod Lublinem, w ubo- „gim domu szlacheckim, pieczętującym się herbem Równia, młodość spę- „dził naprzód na dworze niektórych magnatów, potem w kancellaryi kró- „lewskiej, gdzie jak świadczy Paprocki, pisał trzydziestu charakterami. „Katarzyna Austryaczka, małżonka Zygmunta Augusta, kosztem skarbu „królewskiego dała mu wychowanie: posiadł sztukę mierniczą i inżynier- „ską i został królewskim sekretarzem. Służył następnie rycersko pod Mi- „kołajem Mieleckim, gdzie się odznaczył na Wołoszczyznie. Po wstąpie- „niu na tron Stefana Batorego, chlubnie zasłużony pod Pskowem, uzy- „skał nowy herb od króla za instancyą kollegów i na wstawienie się „Zamojskiego."

Przejdźmy do sztuki. Scena otwiera się w chwili, gdy Hrabia na Wątorach odziedziczywszy po tylko co zmarłym bracie próżny tytuł i zadłużoną włość o jednym kmieciu, dwóch dworkach i starem zamczysku, przenosi się z jednego z tych dworków do ruin zamkowych, i przemyśliwa jakby dostojeństwo rodu w całości utrzymać. Zamierza więc suty pogrzeb zmarłemu wyprawić. Jedynego swego dworzanina mianuje jednocześnie pachołkiem, giermkiem, piwniczym, koniuszym, marszałkiem dworu, rządzcą dóbr i dowódzcą sił zbrojnych. Zaś córce swej Hannie wykłada wielkość, starodawność swego rodu i oświadcza, że jeźli dawniej, póki żył brat i syn brata, skromne miał żądania i na związek jej z Pachołowieckim zezwalał, to teraz gdy oba pomarli i zostawili mu w spuściźnie święty obowiązek utrzymania rodowej chwały, nie da córce łączyć się niesławnie z drobnym szlachcicem. Ona musi świetnym związkiem podeprzeć walące się mury zamku, a są Górkowie, Tęczyńscy, Zborowscy, z których niejeden pewnie zapragnie połączyć się z przezacnym domem Wątorskich. Właśnie Hanna przyszła była oznajmić ojcu że Stanisław przyjechał. Powracał on z wyprawy na Wołoszę, na której wielce się odznaczył, wzbogacił doświadczeniem i łupem, mianowicie w zwycięztwie pod Chocimem dzielność swoją okazał, a teraz wzięty przez króla Stefana na sekretarza, ma zaszczyt przy boku kanclerza pracować. Mimo tego jednak Wątorski nie chce o nim słyszeć. Na rozkaz ojca Hanna z razu zimno kochanka przyjmuje. W chwili, gdy ma zdradzić prawdziwe swe uczucie, Wątorski wchodzi i tak przedrwiwając daje odprawę rycerzowi:

Szlachcic Pachołowiecki..... to coś jak pacholę...
Herb Równia.,.. wielkie święto.... ja żadnego wolę...
Równia.... Królewski pisarz!... Rycerz z pod Chocima!
Umie rysować zamki — ale sam ich nie ma!...

Dojęty do żywego Stanisław odpowiada, że tyle obelgi tylko ojcu Hanny przebaczyć może. Przed wyjściem dodaje, że gdy Król Stefan właśnie ogłosił nową wojnę, pójdzie na nią, i nie prędzej, nie inaczej do Hanny powróci, aż krwią swoją herb inny uzyszcze, i *swą Równię na równi z jéj rodem postawi.* Po odjeździe Stanisława, ciężki kłopot spada na Hrabiego. Czuje się w obowiązku pochować brata z przepychem, ale niema za co. Zjawia się lichwiarz. Żadnych jednak warunków pożyczki słuchać nie chce, krom jednego, że weźmie w zastaw srebrną herbowną tarczę, ostatni klejnot rodziny, a da za to sto talarów, które pod utratą zastawu winien mu będzie wypłacić Hrabia z procentem trzydzieści i trzy, za pół roku. Po długiej walce Hrabia przystaje, i tarcza idzie do żyda.

W drugim akcie zastajemy Hrabiego jak przy pałaszu kopie w ogrodzie, bo

Gdy mu całkiem na środkach utrzymania zbywa,
Musi sam własnoręcznie uprawiać warzywa.

Żniwo zawiodło, pieniędzy brak, ogromna więc nędza, ale on nie traci nadziei i wciąż wyczekuje rychło który Książe lub magnat przybędzie prosić o rękę Hanny. Wtem trąba daje sygnał z wieży że ktoś nadjeżdża. Hrabia nie wątpi iż to spodziewany Książe, a to ów lichwiarz, który się natarczywie dopomina o wypłatę pożyczonych pieniędzy, bo właśnie termin upłynął. Naprózno Hrabia tłómaczy się, chce wchodzić w dalsze układy, błaga o cierpliwość. Nieugięty żyd daje mu tylko trzy dni czasu grożąc, że jeźli po ich upływie dług mu wypłaconym nie zostanie, to każe herbowną tarczę przetopić na półmiski, gdyby się zaś miała strata okazać, to zamek zatraduje i jeszcze kogutka herbowego nad swoim szynkiem zawiesi, aby wszyscy wiedzieli o Hrabiego rzetelności. Baltazar, pragnąc Pana wyratować z kłopotu, ofiaruje wszystko sprzedać co ma, oddaje nawet dziesięć talarów, które sobie na pogrzeb zebrał. Hanna błaga ojca, by przyjął od niej pereł sznurek i pierścionek z djamentem, i wreście klejnot nad klejnotami, pieniądz szczerozłoty, który z błogosławieństwem matki miał jej służyć do ślubu, i przyrzeka dzień i noc igłą pracować, a może choć małą kwotę na wypłatę długu zarobi. Hrabia odrzuca te dary, przeklina swe niedołęztwo, podziwia ludzi osobistej zasługi, złorzeczy temu *kto magnata odróżnił od człeka*, i chwytając za pałasz, chce sobie śmierć zadać. Na to wchodzi Stanisław. Obsypany łaskami króla, uposażony bogatemi włościami, nalega on na Hrabiego, aby mu pozwolił przyjść w pomoc i herb od lichwiarza wykupić. Hrabia przyjąłby ofiarę, ale Wątorscy żadnych przysług darmo brać nie mogą, młodzian gotów-by zażądać Hanny w nagrodę, a Hanna przeznaczona ród swój przez zamęzcie uświetnić, nie może się z lichym łączyć szlachcicem. Lecz w tem oddają Wątorskiemu list własnoręczny od kanclerza, w którym tenże wychwalając zasługi Stanisława, wymieniając nowy herb i zaszczyty mu nadane, uprasza dla niego w imieniu króla o rękę Hanny. Ujęty w swej dumie i próżności ojciec oddaje Hannę Stanisłswowi napominając go temi słowy:

Pamiętaj, wchodząc w nasze rodzinne ogniwa,
Że na tobie spojrzenie mych przodków spoczywa,
Że ku tobie się marszczy, albo się uśmiecha,
Oblicze Romulusa, Cyrusa i Lecha,
I że każde spojrzenie mojego naddziada
Nowe na twoje barki powinności wkłada!

Zastanowimy się nad tą sztuką naprzód pod historycznym, a następnie pod artystycznym względem.

W obu razach autor się pomylił. Nie tak bowiem głębokiéj znajomości historyi potrzeba, aby spostrzedz od razu że już w samém założeniu zminął się z duchem naszych dziejów, a w szczególności z duchem epoki, ktorą wybrał. Z drugiéj znowu strony najlżejsza krytyka okaże, iż usunąwszy nawet wszelkie względy historyczne, nie umiał swego pomysłu, prosto z fantazyi wysnutego, rozwinąć zręcznie, loicznie, zgodnie z naczelnemi prawidłami sztuki.

Bez wątpienia, Stefan Batory zamierzał ukrócić niesforne możnowładztwo w Polsce i większą siłę władzy królewskiéj nadać. Skutecznym i może najlepszym ku temu środkiem musiało zaprawdę być powołanie na dwór i do urzędowania ludzi nowych, odznaczających się zdolnościami, karnością i zasługą. Istniały więc dwa żywioły. Ale jeźli jednym z nich byli ludzie nowi, to drugi, wprost tamtemu przeciwny, stanowili magnaci, bogactwem, imieniem i liczbą czepiącéj się ich drobnéj szlachty przemożni, którzy usuwali się od króla i przeciw niemu intrygowali. Szlachcic, jakim tu przedstawiono Wątorskiego, jeźli gdzie się taki znajdował, nie miał żadnego znaczenia, nie wchodził w żaden rachunek, nie mógł żadnego żywiołu reprezentować. Nędza i niedołęztwo unicestwiały go zupełnie. Próżność, która go w własnem jego rozumieniu stawiała na równi z najpierwszemi w kraju rodzinami, niedozwalała mu nawet być jednostką w tym tłumie ruchliwéj szlachty, która tłocząc się na dwory magnatów wzmagała ich wpływ i znaczenie. Dla obu więc stron, dla obu żywiołów taki szlachcic był niczém, w ich sprzeciwieństwie żadnéj nie grał roli, równie dla króla jak dla możnowładzców był straconym. Moralista mógłby go wziąść za przedmiot do obrazu lub nauki o upadku wielkości. Historyk nie troszczy się o podobne indywidualności, są one dla niego zerem.

Ale takiego typu historycznego nie było i nie mogło być w społeczeństwie polskiem. Nie istniała w niém nigdy dziedziczna hierarchia, czyli stopniowanie jak w feudalizmie. Urząd, dostojeństwo, znaczenie, przywiązane były do osoby. Umierał jaki wielki dostojnik, to dzieci jego schodziły do zupełnéj równości z całą szlachtą. Oczewiście, że jeźli synowie byli bogaczami, jeźli posiadali wartość osobistą, łatwiéj im było dostąpić godności, niż ludziom uboższym lub mniéj głośnego imienia. Nie prawo, nie zwyczaj, ale sama natura rzeczy tę większą łatwość nadawała. Potrzebaż jeszcze dziś dowodzić, że równość szlachecka stanowiła najwydatniejszą cechę w narodzie, może zgubną, ale po wszystkie czasy najtroskliwiéj warowaną. Jeden herb nie był ani na jotę lepszym od drugiego. Kardynalne przysłowie: *Szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie*, może nie zawsze, osobliwie w prywatnych stosunkach, miało po sobie rzeczywistość. Lecz wyjątek zachodził jedynie w przypadku, gdy z jednéj strony było bogactwo lub dostojeństwo, z drugiéj zależność z powodu ubóstwa, młodości, lub braku osobistéj zasługi. Podupadły lub niedołężny syn wojewody zschodził do szeregu najdrobniejszéj szlachty, ginął w niéj, i chyba tylko jego sąsiedzi pamiętali czém był ojciec. Na odwrót, pod każdém panowaniem ludzie prawdziwéj zasługi otrzymywali szlachectwo, podnosili się na czoło narodu. Dwóch tych żywiołów zawsze dostrzedz można. Jedne rodziny upadały, drugie się wznosiły. Najczęściéj świetność trwała tylko w jedném pokoleniu. Jakżeż mało można wyliczyć takich familii, które się w znaczenia przez kilka panowań utrzymały. Idźmy daléj. Gdy ojciec umierał, synowie po równi dzielili się majątkiem. Nie było primogenitury, majoratów. Tytuł, jeźli był jaki, to wszystkim zarówno służył. Syn najstarszy przez zgodę i uszanowanie

młodszych, mógł być ze zwyczaju uważany za głowę rodziny. Naprzeciw temu można przytoczyć, że podobnież ze zwyczaju synom najmłodszym, służyły pewne przywileje, których starsi nie mieli. Jednem słowém, dziedziczna hierarchia, primogenitura, są znamionami feudalizmu zachodniego przeciw któremu polska spółeczność od najważniejszych do najdrobniejszych szczegółów się broniła, i może na swe nieszczęście stanowczo się obroniła.

Tymczasem jakiż tu obraz szlachcica w Wątorskim znajdujemy? Nie uznaje on się przedstawicielem swego rodu, nie poczuwa do obowiązku utrzymywania jego świetności, póki brat starszy żyje. Wolen próżności, chętnie zezwala na związek Hanny z Pachołowieckim. Dopiero gdy brat umarł, nagle budzi się w nim przekonanie, że tylko tacy, jak Wiśniowieccy, Tęczyńscy, Zborowscy, mogą sie z nim równać. Nawet o *Zamojszczyku Jelicie* mówi z pogardą. Choć widzi swe ubóstwo, widzi brak znaczenia w kraju, Pachołowieckiemu zapowiada, aby się nie ważył sięgać po rękę Hanny. Taki herb jak Równia nic nie wart, lepiéj nie mieć żadnego. Cóż zrodziło tę nagłą zmianę w wyobrażeniach? Oto że po bracie spadł nań zrujnowany zamek, tarcza herbowna i plika papierów, z których po raz pierwszy (możnaż to przypuścić w szlachcicu polskim, ojcu dorosłéj już córki?) dowiaduje się o starodawności swego rodu, że ma herb ten sam, którym pieczętował się Noe jeszcze w swojéj łodzi, że jest pra-pra-wnukiem *Hrabiego Jafeta*, że jest krewnym Romulusa po ojcu a Cyrusa po matce, że wreszcie gdy jego ród przeniósł się do Polski, spokrewnił się z Lechem a od Ziemowita otrzymał zamek Wątory. To wszystko, niewiedzieć czemu, było dla niego ukrytém, chyba że brat chcąc utrzymać swoją primogeniturę, by mu ją młodszy nie wydarł, czynił tajemnicę z tak dalekiego rodowodu. Jakaż to świetność i wielkość rodu, o któréj nikt nie wie prócz pierworodnego syna? Znać, w braku innéj spuścizny, ta tajemnica była majoratem. Jeszcze to tém dziwniejsze, że sam Wątorski wyznaje, iż mu od pieluch wmawiano, że jest dostojném dziecięciem. Jakżeż to pogodzić z niewiadomością o pochodzeniu od Noego i hrabiego Jafeta? Ale ten rodowód zapisany niewymazalnemi głoskami w dziejach świata od potopu, jest niczém w porównaniu z kawałkiem blachy srebrnéj, na któréj herb wyryty, bo gdy tę przychodzi Wątorskiemu stracić, podnosi on samobójczą na siebie rękę, i przeklina Noego, Jafeta i Romulusa, boć przecie oni musieli być przynajmniéj jednymi z pierwszych, którzy odróżnili *magnata od człeka*. Ta pochopność do samobójstwa, jestże to także cechą właściwą szlachcicowi polskiemu? Wstrzymany jednak, nie zabija się i znów wraca na chwilę tylko zachwiany hołd Noemu i Jafetowi. Pachołowiecki przybywa odznaczony nowemi bohaterstwa czynami, obsypany łaskami i dostojeństwy od króla. To wszystko nic nie znaczy. Wątorski przyjmuje go za zięcia dopiero wtedy, gdy mu oddał list od wzgardzonego Zamojszczyka Jelity i gdy mu okazał nowy herb przez króla sobie nadany. Aleź naprzód król nie nadawał herbownym nowych herbów. I wtym razie, jak Niesiecki mówi, tylko na nowy kształt dawny herb Pachołowieckiego ułożył. Równia na pawim ogonie pozostała koroną powiększonego herbu. Mniejsza o to. To ważniejsza, że dla takiego Wątorskiego zawsze herb nowy nie mógł sprostać jego własnemu herbowi, chociażby tam miał przydanych sobie strzał, kopii i wież bez liku. Nawet Równia w jego wyobrażeniach powinna była znaczyć więcéj dla tego, że dawniejsza. Ileż tu sprzeczności, ileż pojęć wbrew przeciwnych pojęciom i zasadom szlachty polskiéj. I to ma być typ wyjęty z naszych dziejów? Na sto mil widać że to obca figura. To burgraf Wiktora Hugo, grand hiszpański, albo laird szkocki Walter Skota. I to nawet nie, bo tam przynajmniéj jest jednolitość cha-

rakteru. Ale czyż nie mogło być w Polsce zubożałego, a przecież próżnością nadętego szlachcica? Zgoda. Lecz próżność nie byłaby się tym sposobem objawiała. Zresztą był to wyjątek, nie tworzył więc typu historycznego, nie reprezentował żadnego żywiołu. Był niejeden szlachcic garbaty lub kulawy, lecz jakiżby malarz poważył się go wziąść za wzór do obrazu polskiego szlachcica?

Jak w ogóle, wizerunek Wątorskiego nie przystaje bynajmniej do dziejów naszych, tak szczególniej obcym, nieznanym jest epoce Batorego. Wtedy jeszcze szlachta była dzielną, rzeską i czynną. Kto nie służył królowi, to się kręcił przy boku którego z magnatów. Zubożałych i zniedołężnionych dopiero się namnożyło po wojnach kozackich i szwedzkich. Cóż to za sprzeczność w samem wysłowieniu, gdy autor mówi na wstępie o *trupiejącem lub bliskiem przerodzenia się w olbrzymi potwór możnowładztwie polskiem* za Batorego. A cóż znowu znaczy nazwanie Wątorskiego wyobrazicielem *pasożytnej kasty?* Przecież on nie chciał służyć, a mieniąc się równym Tęczyńskiemu i Zborowskiemu, wolał cierpieć nędzę jak czepiać się magnatów. Czyimże więc był pasożytem? Zostawała mu jedyna dobra strona. I tę autor jednym wyrazem niweczy. Chciał autor koniecznie natrafić na taką malowniczą epokę walki nowego żywota ze starym, jaką w późniejszej naszych dziejów dobie znalazł Rzewuski i tak dzielnie w *Listopadzie* wystawił, że dotąd nasi poeci i powieściopisarze wciąż z tego wątku snują coraz rozliczniejsze utwory. Ale nieszczęśliwie ku temu wybrał czasy Batorego, bo te najmniej zna. Może i inne nie lepiej, z tem się jednak dotąd nie wydał, a na swą biedę tylko co jak najdowodniej okazał swoją nieznajomość czasów króla Stefana, w pełnym błędów przekładzie Solikowskiego i jeszcze śmieszniejszym życiorysie tego pisarza*). Aby nas nie posądzono o stronność, zamiast usprawiedliwiania tego sądu własnemi wyrazami wolimy przytoczyć zdanie uczonego Bartoszewicza. „Przekład Solikowskiego (mówi on) „zawsze zły, gorszy nawet od poprzednich. Tłómacz bawi się erudycyą, „robi nawet niepotrzebne objaśnienia textu, a pozwala na wielkie grze„chy, na które lekarstwo w Niesieckim. Trzeba naprzód poznać szlachtę „a później być jej historykiem. I dziwim się znowu po raz trzeci, dla czego „tłómacz uwziął się koniecznie pisać życiorysy osób historycznych, któ„rych dzieła w niedokładnym daje nam przekładzie? Życiorys ten pospo„licie pod piórem jego jest zbiorem wypisów z tłómaczonego dzieła, „zbiorem dopełnionym czasem kilku wiadomostkami, a przepełnionym „uwagami, które będąc czysto indywidualne, zamiast wyjaśniać zacie„mniają oblicze prawdy, bo nie są owocem studyów, ale dorywczych „osobistych wniosków, poglądów, postrzeżeń. W życiorysie Solikowskiego „są frazy dla okrągłości peryodów, ale niema historyi. Intuicia petycka „dobra do gawęd, nie dla historyi. Historya, to nie dla niego robota."

Już tyle się powiedziało o fałszywem pojęciu rzeczy, o niepodobieństwach i sprzecznościach tego utworu pod względem historycznym, że w wielkiej mierze wyprzedziliśmy uwagi, które nam pozostawały do uczynienia nad tą sztuką ze strony artystycznej. Naturalnie, — krzywe

---

*) Jana Dymitra Solikowskiego arcy-biskupa lwowskiego krótki pamiętnik rzeczy polskich, od Zygmunta Augusta zmarłego 1572, w miesiącu lipcu, do 1590. Przełożył z łacińskiego i życiorysem autora poprzedził Władysław Syrokomla. Petersburg i Mohylew. Nakładem Bolesława Maurycego Wolffa 1855.

Dawno już powiedzieliśmy prawie to samo, co tu Bartoszewicz mówi, o innych przekładach historycznych Syrokomli, mianowicie o tłómaczeniu historyi Poujoulata. *Dzieje Literatury w Polsce* zasługują na sąd również surowy.

pojęcie typu historycznego musi się razem rodzić i wikłać z fałszywem pojmowaniem człowieka. Ale dajmy na to, że taki Wątorski znajdował się w polskiem społeczeństwie, a raczej przypuśćmy że on nie jest Polakiem, i że rzecz nie w Polsce się dzieje.

Autor zamierzył w tej krotochwili wyśmiać bardzo poważne uczucie, a w naszym wieku tak nadwątlone, że raczej należałoby wspierać je, dobre strony onego odkrywać, jak osłabiać szydząc z przesady. Ale przesada i w najlepszym stanowi godziwy przedmiot dla satyry. Pomińmy więc autorowi że przedsięwziął uczynić Wątorskiego komicznym, płasko komicznym, choć takie przedstawienie nader boleśnie dojmuje. Komiczność, aby dopiąć swego celu, powinna być rzetelną. Zależy ona na tem, aby ten co ją przedstawia, w najlepszej wierze, seryo w swej roli występował, i śmieszył drugich, sam bynajmniej się tego nie domyślając. A tu zdaje się często, że Wątorski świadomie śmieszność popełnia, że drwi sam z siebie. Nie chcemy mnożyć ani wybierać przytoczeń. Weźmy więc na przykład, zaraz z pierwszej sceny początkowe te wiersze:

Skreśliłem nasze herby, dawnych dóbr ogromy,
I nasze skojarzenia z najpierwszemi domy.
Przedmiot zapewne piękny, materja bogata.
Teraz piszmy o cnotach nieboszczyka brata.
O cnotach!... jego cnoty.... on miał swoje cnoty;
Lecz to ciche, domowe, zbyt skromne z istoty,
Rozwodzić się nie można bo śmiechy nie miną...
Naprzykład lubił wino... ale dobre wino....
Ale na drogie wina nie zawsze stawało,
Raczył się cienkiem piwem lub prostą gorzałą;
Ale taką moc duszy czyż ocenią prości
W człowieku wysokiego domu i zacności.

Jest-że to szczera mowa rodowej próżności, wyraz głębokiego przeświadczenia o godności i zacności brata, którego zaraz potem wybiera za swój wzór i wychwala, że w niczem rodowi swemu nie ubliżył, i że się w motłoch nie chciał mięszać i służyć czy w wojsku czy na królewskim dworze? On, Wątorski, ślepy całkiem na wszystkie śmieszności, w walce ubóstwa z dumą powstające, miałżeby się wstrzymywać od wypisywania cnót nieboszczyka dla tego tylko, że ktoś mógłby się zaśmiać? Przecież śmiech motłochu powinienby owszem w jego wyobrażeniach dodawać uroku tym cnotom. A jakżeż jeszcze dziwniej brzmi to wyrażenie, że ludzie prości nie oceniliby w człowieku wysokiego domu i zacności, takiej mocy duszy, iż nie mając na wino, raczył się cienkiem piwem lub prostą gorzałą. Nie, — to jest ironia, drwiny, wierutne żarty, świadomie z brata strojone, a zatem i z siebie samego, bo przecież pragnie na jego wzór utrzymywać godność i świetność swego rodu. Upada więc komiczność Wątorskiego, bo on nie wyraża się zgodnie z nadanym sobie charakterem, ale tak, jakby ktoś z boku patrząc i przedrwiwając niedołężną próżność mógł go opisywać. To jest tryb gawędy, nie zaś sztuki dramatycznej, chociażby nawet krotochwili. Sztuka też ta jest tylko dyalogowaną gawędą, a jej bohater karykaturą.

Jeźli taka nieloiczność tkwi w odrębnie wziętych scenach, w oderwanych ustępach, cóż dopiero być musi, gdy zaczniem doszukiwać się związku w całości. Główną téj sztuki osnową, sprężyną sytuacyi dramatycznych, ma być sprzeciwieństwo dwóch charakterów. Sprzeciwieństwo jest, ale nie tyle uderza w dwóch, co w jednéj i téjże saméj osobie, to jest w Wątorskim, który raz gada według nadanéj sobie komicznéj roli, potém wpada w myśli i styl Pachołowieckiego, i znów wraca do

dawnych dzieciństw, i tak daléj. Ów próżny szlachcic, cały zajęty dumą swego rodu, pomimo dokuczającéj nędzy pogardzający wszystkiem, co mu się widzi niższem, co nowe, na raz, gdy mu lichwiarz ma zabrać tarczę herbowną, wybucha w pełną poważnych myśli i wymowy tiradę przeciw rodowéj pysze, uznaje obowiązek ciągłego odświeżania zasługi przodków, podziwia niższą szlachtę, która orężem lub piórem wzniosła się na świetność dziejową, i rzuca przekleństwo na tego, kto *magnata odróżnił od człeka*. Nic rozumniejszego, nic uroczyściéj wymowniejszego nie mógłby sam Pachołowiecki wygłosić. Zdałoby się więc, że gdyby teraz nawet jaki nie-szlachcic, *człek* po prostu przybył, to po tak stanowczem nawróceniu Wątorski oceniłby go wedle wartości osobistéj i o herb nie pytał. Cóż dopiero Pachołowiecki, który już za pierwszą wizytą złożył dowody odznaczenia i orężem i piórem. Obecnie powraca on z wojny moskiewskiéj, obsypany nowemi darami i dostojeństwy od króla, a że przyrzekł iż się nie pokaże chyba z nowym herbem, który stanie na równi z herbem Wątorskich, więc powraca widocznie i tą uświetniony zdobyczą. Wątorski niczego się nie domyśla, o nic nie pyta, ale wpada na nowo w dzieciństwa śmiesznéj próżności. Gdy bowiem Stanisław błaga go by mu pozwolił wykupić tarczę herbowną, on nie przyjmuje przysługi z obawy, aby niższy rodem szlachcic nie zażądał w nagrodę Hanny, któréj tylko jaki Tęczyński lub Radziwiłł byłby godnym. Powiada mu, że za nadto wysoko podnosi swe oczy, że zbyt wybujał w swych nadziejach, i że każdy powinien w swoim zostać zakresie. Nic nie nada tłomaczenie, że Hrabia tylko o tyle złagodził swe wyobrażenia, iż już teraz nie pogardza nowemi ludźmi, skoro za nimi przemawia zasługa. Przecież Stanisław już pierwszą razą przybywał odznaczony wysokiemi zasługami. Przecież naprzeciw temu stoi owo przekleństwo na różnicę między magnatem a człekiem. I znowu, gdy mu doręczono list od Zamojszczyka Jelity i gdy ujrzał herb nowy Pachołowieckiego, zezwalając na jego związek z Hanną, Wątorski śliczne i rozumne recytuje wiersze, ale nie dotrzymuje do końca, bo na dobitkę w ostatnich swych słowach jeszcze raz powraca do Romulusa, Cyrusa i Lecha. Dwóch więc ludzi przezeń wciąż przemawia. i jeźli jest jaki taki powód do zmiany wyobrażeń w scenie prowadzącéj do samobójstwa, to niemasz najmniejszego do popadnięcia w dawne błędy po tak ciężkiem przejściu.

Jedynie uderzającą figurą jest tu Pachołowiecki. Lecz słabo zarysowany, w niczém on się nie przyczynia do akcyi. Wchodzi tylko na to, by wydeklamować wiele pięknych wierszy, opisujących wyprawy, w których brał udział. Należy się jednak wdzięczność autorowi iż z podziemia kronik wydobył na światło dzienne tak zajmującą postać historyczną. Ale mąż taki wart był zostać od razu bohaterem poematu lub porządnéj sztuki dramatycznéj. W tak błachéj krotochwili zanadto ciasne i poniżające miejsce dla takiéj postaci. Wyrządził jéj krzywdę autor przyczepiając ją do tak lichéj figury jak Wątorski. Sprzeciwieństwo charakterów jest bez wątpienia najpotężniejszą dźwignią i najobfitszém źródłém efektów dramatycznych, ale jakżeż traci na sile i wrażeniu, jeźli charaktery te przedstawione są w ostatecznościach, i jeden z nich jest samą dzielnością, rozumem i powagą, drugi samém niedołęztwém, głupotą i płaską śmiesznością. Zbyt wielki odskok niweczy donośność i wrażenie kontrastu. Trzeba niejedną piękną stroną zbliżyć charaktery, a pozostająca różnica stanie się témbardziéj uderzającą i płodniejszą w położenia dramatyczne. Uronił więc autor, zmarnował natrafioną szczęśliwie w herbarzu postać historyczną, dając ją w posługę lekkiéj pióra zabawce i drobnéj nader komiczności. Gdyby był podniosł osobistość Wątorskiego, rozwinął w akcyi piękny charakter Stanisława, zasnuł poważniejszą in-

trygę, bogatszą w sytuacye dramatyczne, byłaby może wyszła z pod jego pióra nie błacha krotochwila, okazująca tylko brak namysłu, niecierpliwość i pospiech w tworzeniu, ale pełny i dorodny dramat.

Z pozostających do nadmienienia dwóch osób, Hanna jest zupełnie bierną, Baltazar zaś, żywcem wyrwany z jakiego niepomnimy romansu Waltera Skota, służy do wprowadzenia najniższej komiczności. Ta też się najlepiej autorowi udała, zwłaszcza w scenie, gdy Hrabia mianuje starego sługę na wszystkie razem urzęda swego dworu. Ale i ten nie jest zawsze równym i zgodnym z sobą. Czasem zdaje się drwić z swego pana, a na samym ostatku wypowiadając sens moralny sztuki, wznosi się w myślach i wymowie do szczytności niewłaściwej jego położeniu.

Sztuka ta była przedstawioną na teatrze warszawskim. Nie wątpimy że się udała, bo autor ma wziętość, przyjechał z Wilna aby być przytomnym wystawieniu, a publiczność nasza, od tak dawna pozbawiona przedmiotów z historyi ojczystej na scenie, pochopną musiała się okazać do uniesień lub poczciwego śmiechu. Samo przebieranie się Baltazara wedle tylu razem nadanych mu urzędów, już musiało pobudzić wszystkich, osobliwie paradys, do dobrego humoru. Ale autor ma za nadto przenikliwości, aby mógł wziąść to za stanowczy wyrok, iż talent dramatyczny posiada. My znowu nie śmielibyśmy po tej próbie bezwzględnie twierdzić, że Syrokomla nie dostąpi nigdy znakomitości w dramatycznym zawodzie. Tak wielowładny talent moża przy namyśle i wprawie i tę chwałę zdobyć. Tylko naprzód potrzeba, aby dobrze zrozumiał różnicę między sztuką dramatyczną a gawędą. Tu w opisach, autor przedsobnie na wszystko spoglądając, daje nam własne pojęcia, wnioski, spostrzeżenia, — tam zaś tworząc rozmaite charaktery, musi wnikać w nie, i każdy w sobnie tak przedstawić, aby wyrażał tylko to, co się z nadaną mu odrębnością najściślej zgadza.

W rozbiorze obrazu wioskowego *Wielki Czwartek* moglibyśmy się wyręczyć wybornym a jeszcze bardzo pobłażliwym artykułem p. Siemieńskiego, który w przypisku po części przytaczamy*). Wypada nam jednak kilka przydać uwag.

---

*) Nie wynurzyliśmy dotąd ani radości, jaką uczuliśmy na pierwszą zaraz wiadomość że ma wychodzić osobne pismo literackie pod kierownictwem redaktorów Czasu, ani pochwalnego sądu, na jaki toż pismo od roku zasługuje. Czekaliśmy właśnie na przebieg przynajmniej jednego roku, aby się stawić w możności wydania gruntowniejszego sądu. Wkrótce ogłosimy naszą recenzyą, w której wytkniemy z całą szczerością to, co nam się w *Dodatku* albo błędnem, albo jeszcze niedostatecznem wydaje. Nieskończenie jednak więcéj będzie do pochwały. Osobliwie pana Siemieńskiego Przeglądy bieżącego piśmiennictwa czytaliśmy zawsze z wielkiem zajęciem. Nie możemy też dać lepszego dowodu wartości tych Przeglądów, jak przytaczając następujące wyjątki z wrześniowego *Dodatku* o ostatnich utworach Syrokomli:

„Pochlebiać ludowi, stwarzać demokratyczną literaturę, aby nią smagać klasy „historyczne, jedno jest co lud nasz obdzierać z przyrodzonych cech, co go wciągać w świat racyonalnych kierunków osiemnastego wieku, przeciw którym właśnie „nastąpiło oddziałanie. Przeciwnie, malować wieśniaka téj lub owéj prowincyi, „wystawiać jego obyczaj, opowiadać podania i dzieje tego życia tak blisko zetkniętego z naturą, a opowiadać z ścisłą rzeczywistością, jedno jest co iść tym prądem, jaki wszędzie zmierza do silnego związania plemion z tradycyami ziemi, „na któréj siedzą i spełniać to samo, co spełniają erudyci, których prace wskrzesiły zamarłe języki, wykazały powinnowactwa jednoplemienne i najdawniejsze „siedziby.“

W wierszowanej przedmowie autor zbijając pogłoskę, jakoby dla dramatu miał porzucić pieśni wioskowe, mówi między innemi:

Wy, którym duszy mojej głąb znany!
I wy wrogowie, powiedzcie sami,
Gdym był spotwarzan i zapoznany,
Czem się broniłem? — memi pieśniami.

Otóż nowe skargi. Warto aby nam raz autor powiedział jacy to wrogowie, kiedy był spotwarzanym, przez kogo zapoznanym? Powszechność nic o tem nie wie. Owszem, jej się zdaje, że żaden z naszych poetów nie był skorzej uznanym, ani też łatwiej zdobył głośność w całym kraju.

„Tego rodzaju dzieła czy wierszem czy prozą, jeżeli mają czystą intencyą, „obudzają zarówno interes historyczny, jak wyobraźni przynoszą zupełnie świeży „pokarm; niechże aby kropla jakiéj obcéj tendencyi się wmięsza w taki utwór, „zaraz koszlawieje, chociażby go podpierało największe artystostwo.“

„Wpadłem na te uwagi o poezyi gminnéj i o studyach nad ludem, z tego po„wodu, że przy tytułach dwóch poematów Syrokomli odczytałem napisy: *Obraz „Wioskowy i Gawęda Ludowa*, a więc jako rzeczy należące do wielkiéj grupy „literatury zajmującéj się malowaniem ludu, powinny być uważane na miarę tego, „co tak u nas jak gdzieindziéj dokonano w téj gałęzi.“

Tu recenzent wyłuszcza treść gawędy *Wielki Czwartek*, poczém tak rzecz swą daléj ciągnie:

„Musiałem skreślić osnowę téj powieści, aby pokazać że prócz kilku drobnych „widoczków zbliżonych do rzeczywistości, nic a nic nie maluje w niéj nietylko „litewskiego, ale żadnego ludu, — jestto po prostu świat sentymentalny wymyślony „przez poetę na tle życia wiejskiego, tak samo jak go sobie wymyślał Gesner, „Floryan i inni z téj szkoły, marzący o pastuszkach Arkadyi. Z Wiesławem Bro„dzińskiego niemoże również wytrzymać porównania, bo w tych czasach kiedy „Brodziński swoją sielankę pisał, a więc łamał się z reminiscencyami klassycznemi „już czuł potrzebę zachowania rysów studiowanych z ludu; każdy też pozna tam „krakowskich chłopków, upięknionych wprawdzie, lecz zatrzymujących właściwą „sobie fizionomię i charakter.“

„Szkoda że Syrokomla niepospolity talent i uczucie poetyczne marnuje na po„dobnych utworach, które mogą mieć chwilową wziętość, ale literatury nie bogacą. „Jeżeli zamierzył sobie przez takie zidealizowanie chłopków, poruszyć dla nich „serca, postawić ich na równi, co do wartości wewnętrznéj, z najucywilizowań„szemi klassami, to przecież byłby tego łatwiéj, a raczéj właściwiéj dopiął, gdyby „chciał treść do poematu czerpać z rzeczywistego życia i dać im wszystkie rysy „i cechy chłopków, tak odmienne w każdéj prowincyi, a tak dla nas zajmujące „cobyśmy radzi wniknąć w ducha i uczucia gminu. Tak jak dotychczas obchodzi „się z światém wioskowym, możnaby go pomawiać, że obserwuje go z okien pań„skiego dworu, unosi się nad peizażem, podziwia dziewicę nabierającą wodę, chło„paka przegrywającego na flecie pasącym się krówkom, ale nie zagląda pod strze„chę, nie podsłuchuje rozmów przy ognisku, na polu, w karczmie — prosty dyle„tantyzm służący raczéj do popisania się z popularnością, a nie właściwe i szczere „zajęcie się ludem, i chęć poznania go takim, jakim jest. Pomijam inne już nie„stosowności, jak ową figurę Szymona, w któréj nikt wiejskiego parobka nie pozna, „ale jakiegoś pokojowego marzyciela co się naczytał tyle socyalnych ramot, że „tylko łazi po lasach a nic robić nie chce, — pomijam to jako utwór fantazyi, „ale sam język włożony w usta tych chłopków jakże pocieszny, kiedy się zakli„nają w imię *ludzkości*, a wykrzykują:

Niech żyje ludzkość, niech żyje kobieta!

„Przypuszczałem, że w tém jest coś allegorycznego, — lecz odwyknąwszy od

Niejeden nawet dziwić się może jakim sposobem dzieje się, że dotąd żaden szlachcic, żaden kapłan, nie podniósł silniejszego głosu przeciw obelgom przez poetę na te dwa stany miotanym. Na nieszczęście, dotychczas u nas talent zakrywa najfałszywsze pojęcia, największe nawet

---

„klassycznéj allegoryi, nie umiem się jeszcze na romantycznéj poznać; jak z drugiéj strony nie potrafię wmówić w siebie admiracyi dla tych Szymonów, Tarasów, „Mart, które zastąpiły spłoszonych z pola prawdziwéj poezyi Nemorynów, Dametów, Lindory i t. p. Taki zwrot w poezyi, gdyby się stał zaraźliwym, kazałby „obawiać się o przyszłość literatury.“

Roztrząsnąwszy drugą gawędę Syrokomli, któréj bohater także z pijaństwa umiera, p. Siemieński tak kończy swe uwagi:

„Ci bohaterowie zwykle u Syrokomli kończą pijaństwem; miałażby to być „forma ludowéj rozpaczy? — Może i tak jest — nie przeczę. Ale czyż nie można „znaleźć dla nich lepszego końca? albo czy chciałby nas przekonać, że pijaństwo „u ludu jest tylko wynikiem rozpaczy? To ostatnie psychologiczne postrzeżenie, „nie ze wszystkiem praktyka stwierdza. — Ale co tu pomoże przywodzić postrze„żenia z rzeczywistości czerpane przeciw sielankowym argumentom, kiedy Syro„komla wziął sobie, jak uważam, za stałą zasadę idealizować lud wiejski, nie „w ten sposób żeby z niego wyprowadzał niektóre dobre przymioty moralne i oby„czajowe w formie w jakiéj się objawiają, i przybierał je w rysy dopatrzone „w bliskiem z nim obcowaniu, ale w sposób przeniewierzający się prawdzie poe„tycznéj, bo ubiera cnoty i uczucia szlachcica w chłopską siermięgę i wzdycha do „lepszego świata, *gdzieby nie było ani dworu, ani gospody, tylko kmiotkowie* „*sami!*

„Takie pojmowanie i wystawianie wiejskiego ludu mogło uchodzić, kiedy go „nieznano bliżéj, tylko z jego piosnek, powiastek, obrzędowych ceremonii, kiedy „wreście przymierzano doń formułkę Russa o doskonałym człowieku natury, téj „cząstce przyszłego bóstwa ludzkości; lecz dziś kiedy te dwie utopije filozoficzne: „Człowiek natury i Ludzkość, pokazały się pusto-brzmiącemi frazesami, którym „kłam zadawała rzeczywistość — toż i zmyślenie poetyczne na tym gruncie oparte, „podwójnem staje się zmyśleniem.

„Dla tego w poematach Syrokomli pomimo wysokiego talentu poetycznego „w oddaniu uczuć i wrażeń sielskich, pomimo całéj rzewności liryczněj, zawsze „prawie pomysł główny, a mianowicie wprowadzone postacie grzeszą nieprawdą. „Podobnie sentymentalnych chłopów nikt jeszcze nie spotkał chyba w balladach „i sielankach zbyt romantycznych, albo zbyt klassycznych, ale nigdy w ścisłem „znaczeniu ludowych, czyli takich jak lud jest w rzeczywistości.“

„Maniera ta, bo już się stała manierą, dowodzi pewnego opóźnienia wyobra„żeń, a zarazem odbieżenia od tego zwrotu, jaki wskazałem na początku, — zwrotu „ku sumiennym studyom nad ludami, i cząstkami ludów, nietylko co się tycze za„bytków starożytnych przechowanych w ich mowie, wyobrażeniach, tradycyach, „zwyczajach, ale nawet codzienne życie wieśniacze, charaktery, namiętności, spo„soby widzenia, cnoty, występki, i śmieszności ludu, są już badane z skrupulatną „prawdą psychologiczną i plastyczną. Co dla Flamandów zrobił Conscience, dla „Niemców Czarnego lasu Auerbach, dla Szwajcarów Gotthelf, a u nas szuka w tym „kierunku Gregorowicz, — to jest właściwą cechą studyów ludowych, a byłoby „i poezyi ludowéj, gdyby Syrokomla rozbratał się z tym wioskowym konwencyo„nalizmem, a przeszedł na rzetelną drogę. Jakkolwiekbądź rodzaj ten graniczy „z różnemi niebezpieczeństwy i potrzebuje ścisłego roztrząsania i sądu, który nie „powinien uchylać czoła choćby przed największym poetycznym talentem, — tak „znowu jeżeli natchnienie z czystego wytryska źródła, utwory takie mogą przy„nieść najzbawienniejsze skutki, czy będą prostém odbiciem się nagiéj rzeczywi„stości, czy fikcyą poetyczną, z téj rzeczywistości wysnutą.“

zdrożności. Romansiście wolno wszystko pisać. bo bawi, — poecie, bo wierszem zygmuntowskim chwyta za serce. Byłże w istocie Syrokomla z początku zapoznanym? Któż się dobija chwały bez trudu? Wartoż o tem wspominać, wartoż przed trybunał całego kraju wyprowadzać jakieś dawne, zaściankowe urazy, i to teraz, gdy go wszędzie chwalą, fetują, przyjmują z oklaskami, w lot rozkupują najmniejszy jego utwór? Jestże to *cierpieć dostojnie?* Zapomniał-że autor co przed rokiem pisał w *Zgonie Acerna* o godności poety:

A choćby kiedyś ludzie zimni a nieczuli
Octem mu czarę życia i żółcią zatruli,
Choćby mu gryzła serce jadowita żmija,
Niech nektar niesie braciom a żółć sam wypija.

I jakiemiż to pieśniami bronił się Syrokomla? Czy ową o *Starym włóczędze*, który się wyrzeka miłości ojczyzny i płacze z radości gdy mu obcy najezdnik daje jałmużnę? Czy ową gawędą *Lalka?* Czy pieśnią *Grajek wioskowy*, który powiada że czy ludzkość żałobą pokryta, czy pomór i głód, nic plebanów nie zasmuci, bo oni dziesięcin swych pewni? Czy z igraszki fałszując kronikę i zmieniając świątobliwego Korsaka w zbrodniarza? Czy tylu utworami pełnemi zawsze złośliwych wycieczek przeciw szlachcie a mdłych pochlebstw dla ludu, jakich to pochlebstw nawet w obecnej powieści, jednej z niewinniejszych, łatwo dopatrzeć się można.

Treść powieści jest następująca. W kościołku wiejskim tłoczy się w wielki czwartek lud do spowiedzi. Z całego tłumu jedna tylko dziewczyna i jeden starzec nie otrzymują rozgrzeszenia. Oboje spotykają się później pod borem na grobie młodego wieśniaka, który z zawiedzionej miłości rozpił się, a z pijaństwa umarł. Z rozmowy tych dwojga nierozgrzeszonych wykrywa się, że ona to przez płochość popchnęła go w rozpacz a starzec rozpoił. Następuje żal i skrucha, a potém rozgrzeszenie w dzień zaduszny.

Autor po ślicznym wstępie, a nikt dzielniej i powabniej obrazów sielskich nie kreśli, przystępując do rzeczy, zapytuje się:

Bo jakież grzechy na wiosce być mogą?
Jeden do pana odezwał się śmielej,
Drugi swe żyto może sprzedał drogo,
Trzeci w gospodzie hulał co niedzieli,
Albo na bratnią gospodarkę siada,
Albo pokosił granicę sąsiada. —
Lub kiedy latem dokuczały deszcze,
On zbyt troskliwy o kopy w stodole,
Po sześciodniowym i krwawym mozole
Złamał niedzielę i pracował jeszcze,
Lub się ze skargą na opatrzność miota:
Oto są grzechy kmiecego żywota.

Nie jest-że to istnem pochlebstwem, wymarzonem bez powodu, chyba (jak p. Siemieński słusznie przypuszcza) w tej myśli, że „grzechu siedlisko „jest li-tylko w żywocie innych stanów.“ P. Siemieński wiele sam pisał dla ludu, z miłością go studyował w rozmaitych stronach Polski, a przecież wręcz zaprzecza podobnemu obrazowi. Moglibyśmy tu przytoczyć pełno równie zaprzecznych świadectw, a pochodzących od ludzi, którzy szczerze lud nasz kochają, pracują całą siłą i życiem nad polepszeniem jego bytu, ale opłakują zarazem, że podobne powyższym urojenia i schlebiania nie pomoc ale największą przeszkodę przynoszą urze-

czywistnieniu najszlachetniejszych zamiarów. Wyliczanie takich świadectw bolesnem byłoby zadaniem, bo któż nie pragnąłby wierzyć, że lud nasz posiada same cnoty, albo tylko tak drobne grzechy, jakie tu poeta wylicza. Ale właśnie nawijają nam się przed oczy nader przygodne roztrząsanemu tu przedmiotowi uwagi p. Wacława Szymanowskiego w tylko co ogłoszonym artykule p. t. *Literaci Minores*. Nikt zapewne, a tem mniej my poważylibyśmy się porównywać z Syrokomlą tę tłuszczę nędznych literatów, której zgubne dążności i śmieszne pisma p. Szymanowski gromi. Lecz ponieważ są takie dążności, i to u niemałej liczby pisarzów, tem większy spada obowiązek na autorów tyle przemożnego wpływu wywierających jak Syrokomla, aby urokiem swego talentu w niczem nie dodawali im pochopu i usprawiedliwienia.

„Jak dawniejsi poeci klassyczni (mówi wspomniany krytyk) tworzyli „sobie ideały Dafnisów i Tyrsysów przystrajali je w ubiory jakie dotych„czas widzimy jeszcze na dawnych serwisach porcelanowych, dawali im „w ręce kije pasterskie zdobne wstążkami, a w koło nich na łące roz„stawiali baranki z jedwabną wełną i krówki myte w mleku, — tak „owi panowie literaci utworzyli sobie jakieś wyegzaltowane wyobrażenia „o cnotach, poświęceniu i żywocie męczenniczym naszego ludu wiejskiego. „Nie wiedzą nieboracy, że teraźniejsi Tytyrowie miasto rozbudzać echa „gajów leśnych *wyciągając* wdzięczne tony z wiejskich fujarek, *wyciąg„gają* lony z wozów, a czasem i krowy pańskie z obory. Nie wiedzą że „Tyrsys na śmierć zapija się w szynku, a Melibej szachruje nieraz z ży„dem na szkodę dziedzica, że Filemon dla tego jedynie chodzi po żebra„czym chlebie, bo mu się robić nie chce, a nie wraca do rodzinnej wsi, „bo tam Baucysę zbił na winne jabłko tak że podobno pomimo pomocy „izraelskiego cyrulika zamarła nieboraczka. Oni nad chłopem widzą cią„gle tylko przemoc i bat ekonomski, a jako odrodziciele społeczeństwa „pragnęliby nie swoim naturalnie kosztem wyrobić mu poważne w na„rodzie stanowisko. Dziwnem zaprawdę wydaje się to żądanie, które „sprawiedliwie możnaby nazwać *doktryną rozdwojenia*. Wszystkie takie „krzyki, fałszywe deklamacye zamiast godzić rozdrażniają, zamiast goić „jątrzą. Chłop nie będzie czytał dzieł tych nieśmiertelnych, więc nie „podnoszą go one w oczach własnych, coby się nawet nie stało gdyby „je przeczytał i zrozumiał. A ci przeciwko którym są one wymierzone, „widząc w nich tylko stek przesady i fałszu, nie osiągają z nich poprawy, „chociażby była potrzebną, bo ona tylko za prawdą i sprawiedliwem „ocenieniem iść może. Chcąc osiągnąć taki cel trzeba znać dobrze jedną „i drugą stronę i umieć sprawiedliwie ocenić zobopólne przymioty i wady.“

Ani takimi są wieśniacy nasi, jakich tu humorysta dla zbicia fałszywych ideałów wspomina, ani też takie są tylko grzechy kmiecego żywota, jakie Syrokomla powyżej wymienia. Źli i dobrzy kmiotkowie prawie w tym samym wszędzie u nas znajdują się stosunku. Ponieważ zaś podniesienie stanu włościańskiego jest głównem, żywotnem w naszym kraju zadaniem, wszelka jednostronność jest niezmierną szkodą, bo opóźnia rozwiązanie. Ale nam się nie zdarzyło nawet słyszeć o takim pisarzu, któryby lud nasz tylko w czarnych malował kolorach, a ileż natomiast jest takich, którzy go w idealną doskonałość przybierają. Dobrze jest dla przykładu stawiać na świeczniku pojedyńcze wypadki wielkich cnót skoro się gdzie takie znajdą wśród naszego ludu, lecz jeźli on jest tak czystym, jak dzisiejsi podchlebcy go wystawiają, to nauczanie przykładami jest zbyteczną pracą. Z wyjątków zaś kreślić bezwzględnie obraz ogółu nigdy się nie godzi, osobliwie w przedmiocie tak drażliwym a tak dla narodu żywotnym. Urojenia podobne często są szlachetne, częściej jednak służą za pokrywkę najfatalniejszym dążeniom. Jeźli Syrokomlę o świadome pod-

pieranie ostatnich przekonać niepodobna, to aż nadto widocznie nieustająca jednostronność jego pism dowodzi, że urojenia jego nie są całkiem niewinne i szlachetne. Z pism tych coraz wyraźniej okazuje się iż on nie tyle lud kocha, ile się uwziął idealizowaniem onego, obsypywaniem podchlebstwami, *smagać klasy historyczne*. Nie może on nawet z Brutusem powiedzieć, że nie mniej kocha Cezara ale że Rzym kocha więcéj, bo zdaje się tylko dla tego wyrażać taką miłość ku Rzymowi, by mógł swą urazę, swą nienawiść ku Cezarowi zaspokoić. Skąd pochodzi ta uraza, skąd ta zaciętość w obec nie tylko pomijania przycinków milczeniem, ale hojnego szafowania uwielbień dla poety przez stronę pokrzywdzoną, — nie wiemy. Najpodobniej powstało to i wzmaga się z ułomności, którą Tacyt w trzech słowach wyraził: Oderunt quem laeserint. Inaczej bowiem pisałby człowiek, którýby obie strony zarówno cenił, chciał miłością skojarzyć i podnieść jedną bez niweczenia drugiej*).

---

*) Godzi się nam tu przytoczyć wyrazy pisarza szczerze pragnącego pojednania, miłości i wzajemnego doskonalenia się dwóch stanów, które zawsze i wszędzie, lubo pod rozmaitemi nazwami, istnieć muszą. Pan Saint-Marc Girardin opisując w żywocie Russa, jak on dawszy pochop literaturze, która mieściła wszystkie cnoty na dole, a wszystkie występki w górze, sam się przeląkł skutków swéj nauki i starał się przeciw nim działać, tak uogólnia swoje w tym przedmiocie uwagi:

Vous meprisez les vices des riches, soit, si vous avez les vertus des pauvres; sans cela, ce sont les vices, qui s'irritent contre d'autres vices; ce sont les péchés d'en bas, qui envient les péchés d'en haut. La charité du riche est d'assister le pauvre, la charité du pauvre est de supporter le riche. Cette charité-là n'est pas une moindre vertu que l'autre car il est plus difficile d'aimer son prochain heureux et florissant que de l'aimer pauvre et malheureux, et chose admirable, ces deux charités s'appellent mutuellement. La charité du riche rend plns facile la charité du pauvre. Le pauvre qui se voit aimé et assisté supporte volontiers la richesse de son prochain, non parce qu'il entre en partage de la fortune par l'aumône: comme l'aumône garde toujours plus qu'elle ne donne, elle risque d'exciter l'envie au lieu d'exciter la reconnaissance, si elle n'est point accompagnée chez le riche d'un sentiment de vraie compassion; mais si la compassion est vraie chez le riche, la résignation sera vraie aussi chez le pauvre; les bons riches font les bons pauvres et les bons pauvres font les bons riches. Je donne volontiers à qui comprend le devoir de respecter mon bien; je défends au contraire mon bien contre qui prétend le partager. Quand le pauvre allégue son droit à l'existence, je lui oppose mon droit de proprieté: les droits se heurtent et se repoussent, les devoirs s'entendent et se concilient, ils font la paix de ce monde et la béatitude de l'autre. Je me figure le bon riche et le bon pauvre assis l'un près de l'autre au paradis; car ne pensez pas, Lazare, que ce soit seulement parce que vous êtes pauvre que vous reposez au sein de notre père Abraham; c'est parce que vous avez eu les vertus de votre état, c'est parce que vous avez été patient et resigné au lieu d'être envieux et hargneux, c'est parce que vous avez plaint le riche au lieu de le maudire, et que vous avez pardonné à sa dureté de coeur. Voilà pourquoi, Lazare, selon le beau tableau que fait Saint Chrysostôme de votre mort et de celle du mauvais riche, les anges portent votre âme au ciel avec des concerts mélodieux et des cantiques d' allégresse, tandis que les demons emportent aux enfers l'âme du mauvais riche, en dépit de tous les esclaves et de tous les serviteurs qui escortent son cercueil. Mais ne croyez pas qu'il n'y ait point de démons pour le mauvais pauvre comme pour le mauvais riche, et que les joies du ciel soient dues à ceux qui n'ont point eu les biens de la terre. La pauvreté et la richesse ne sont ni une vértu ni un vice, l'une qui doit toujours être recompensée quoi qu'elle fasse, et l'autre toujours puni quoi qu'il fasse aussi. La pauvreté et la richese sont des professions et non des qualités.

Ale on nie chce znać jednej, a drugiej nie umie. Że tej nie zna, ale tylko z fantazyi wymyśla jej obrazy dla dokuczenia i poniżenia tamtej, to stwierdza każda jego gawęda, a nawet ten *Wielki Czwartek*, choć tu rzecz się dzieje wyłącznie w zakresie samego ludu wiejskiego. Można bowiem śmiało powiedzieć, że tu niema ani jednej myśli, ani jednego uczucia, ani jednego wyrazu, któreby nasz lud w właściwym mu charakterze malowały. Jest to sobie kosmopolityczna sielanka jak *Amintas*, lub *Il pastor fido.* Gorzej jeszcze, — bo nie przedstawia żadnego ludu na świecie, ale osoby wysoko ukształcone, z wyrafinowanemi pojęciami, z narowami przerosłéj w zepsucie cywilizacyi. W dawniejszych sielankach nie było prostoty i naturalności, ale była czerstwość i zdrowie, tu zaś chorobliwość dzisiejszego wieku, dotąd na szczęście tylko wyższe stany nurtująca, występuje czarnemi plamami na tle wiejskiego żywota. Szymon to Werter w sukmanie, to Szarski w kubraku, a Marta to Sara bez trzewików. Oto jak ona dzieje swej miłości opisuje:

Często wioskowi gniewali się chłopcy,
Że Szymon z nimi zabawy nie dzieli,
Tryumfowali, że nie taki hoży,
Śmieli się z niego że odludek Boży,
Lecz ja lubiłam jego rzewną postać,
Jego głos tęskny, jego twarz sierocą,
Dziwną go Pan Bóg udarował mocą,
Że mógł spojrzeniem aż głąb' serca dostać
. . . .
Lubiłam żarty wioskowej młodzieży,
Ale na niego popatrzywszy trocha,
Poczniam jakoś, co mi się należy;
I gdy, bywało, on samotny w tłumie,
Ja w jego oczy poglądałam rada,
I zawsze jakoś serce wyrozumie,
O czem on myśli i o czem zagada.
A i on nieraz, aż uczułam trwogę,
Umiał odgadnąć co ja myśleć muszę;
Jak się to działo? powiedzieć nie mogę,
Tak jakoś Pan Bóg stworzył nasze dusze.
. . . .
Szymon powiadał: „Marto moja, Marto!
„O inszem życiu i mówić nie warto.
„Będziem ubodzy, ja ci piosnkę sklecę,
„O Panu Bogu, o wiośnie, o rzece,
„O czem ty zechcesz — mam piosnek nawałem,
„Ja w pieśni nową utoruję drogę;
„Od pewnej chwili . . . gdy ciebie poznałem,
„O wszystkiem piosnki wyśpiewywać mogę.
. . . .
Na przyszłą wiosnę miał być ślub z Szymonem.
Marzyłam o nim, liczyłam tygodnie,
Po tysiąc razy w sercu rozmarzonem
Pytałam siebie: czy miłość nie chłodnie?
Lecz serce zawsze mówiło radośnie,
Że silniej bije, że uczuciem rośnie.
A on czy kochał? — dobrzem to wiedziała,
Inaczéj wierząc grzeszyłabym srodze;
Wciąż jedną myślą jego głowa pała,
Wciąż w jego duszy nowy skarb znachodzę.

Ale my biedni — wśród mozolnej pracy
Nie sposób zawsze bywać przy kochanku,
Nie sposób być tam, gdzie się myśl obraca,
Nie sposób serca pieścić bez ustanku.
Potrzeba było grosza na wesele,
Na zapowiedzi i na zaręczyny:
Więc biedny Szymon nie czekając wiele,
Przystał na flisa do dwornej wiciny.
. . . .
Po takich chwilach jeszcze marzym w nocy;
Miłą przeszłością słodzim stan sierocy.
Ale poranek! — to skończenie świata!
Piekło na ziemi, gdy przymkniesz oczyma,
A myśl najpierwsza w głowie zakołata:
Już jego niema!
. . . .
Tak dzień upłynął na strasznej torturze —
Przyszła noc znowu — i znowu świtanie . . .
Któż te męczarnie wypowiedzieć w stanie?
Zanadto boli — ja ich nie powtórzę.
. . . .
Nazajutrz ciężka zajęła mię praca,
Smutek złagodniał i już nie powraca.
Lecz do snu dawne wspomnienie się ciśnie,
Bom jedną myślą zawsze uniesiona;
Czuję że kocham, więc Szymona przyśnię,
Ale już mglisto śniłam twarz Szymona,
Potem w snach moich i twarz i postawa
Już jakby obłok niewyraźnie stawa.
A jednak ogniem jednych uczuć pałam,
A jednak szczerze Szymona kochałam.
Tak nim w połowie ubiegło półrocze,
Rozrywać smutek czułam się w potrzebie;
Już przyjaciółek zabawy ochocze
Coraz mię częściéj nęciły do siebie.
Gorzkiem przeczuciem jak gdyby chorobą
Ciągle dręczona, czułam jak to boli,
Pragnęłam smutek złagodzić powoli,
Uciec od myśli, nie być sama z sobą.
Kiedy łzy z oczu lały się goręcej,
Ja biegłam śmiać się do rówiennic rzeszy;
Ten memu sercu spodobał się więcéj,
Kto najweselszy, najprędzej rozśmieszy.
Ojcze Tarasie! tak jak mnie widzicie,
Ja w duszy mojéj tak niegdyś bogata,
Co dotąd rzewnie patrzałam na życie,
Poczęłam śmiać się z życia i ze świata;
Śmiałam się nawet płocho uniesiona
Z naszej miłości, z siebie i Szymona.

Lecz już dość tego, — choć to zaledwie połowa subtelnego tłómaczenia się z płochości tej Sary w gorseciku i fartuchu. Słów tylko kilka dorzucić wypada o Szarskim w siermiędze. Gdy go kochanka zawiodła, kryje się w dzikie lasy, ucieka od lekarzy choć mu serce drze się, śpiewa *o lepszym świecie gdzie kmiotkawie sami, o wielkich sercach, z których kropla krwawa całe stulecia uszczęśliwiać może*, raz mówi: *kłamstwo że*

jest cnota w świecie, że za ród ludzki żyć i umrzeć warto, a drugi raz dopytując się *gdzie jest szczęścia meta*, woła: *Niech żyje ludzkość, niech żyje kobieta!* A ów Taras, który tego (jak go zwie) *męczennika serca* w imie *ludzkości i Boga samego* rozpoił, jakiemiż wyrazy kończy swe opowiadanie?

To my, dziewczyno — to my go zabili,
I brama piekieł wspólnie nam otwarta.
Przyjaciel Taras i kochanka Marta
Do ostatecznej dowiedli go chwili:
Bo podbudzając niebacznie, zdaleka,
Rozpłomienili namiętności człeka.
Ty z jego serca wyplenilaś wiarę
W godność ludzkości, którą wyssał z mlekiem;
A ja ognistą podałem mu czarę,
Aby do reszty przestał być człowiekiem.

Ileż tu razy *ludzkość* powtórzona, jakby w jakiej odezwie demokratycznej, a przecież nie tylko pojęcia o niéj, ale nawet tego wyrazu niema jeszcze u żadnego z naszych chłopków. Ale myślałbyś, że autor tak szczytnie ich wystawiwszy, z należną powagą powieść swoją zakończy. Gdzie tam, — powieść ta, jak zwykle u niego bywa, przerasta w nieszczęśliwy, w nieharmonijny z całością epilog. Autor ucieka się w nim do konceptu, do fortelu, zaledwie prozaicznym romansistom dozwolonego. Ci to ostatni dla rozśmieszenia czytelnika zwykli często używać drobniutkiego sposobiku, który na tem zależy, że gdy najwięcej mają zmyślić, udają jak gdyby najrzetelniejszą prawdę pisali. Jakże często zdarza się u nich spotkać podobne zwroty: Gdyby to był romans co piszemy, toby się należało tak i tak skończyć naszą powieść, ale sumienna wierność nakazuje nam jak najściślej trzymać się prawdy i t. d. Nasz poeta nie pogardził podobnym figlem i powiada w epilogu, że gdyby był pisał poemat, to byłby wskrzesił Szymona, pogodził go z *ludzkością*, i ożenił z Martą, albo też kazał jej umrzeć na kochanka mogile. A dalej mówi:

Ale ja prawdzie muszę być posłuszny,
Muszę być wierny i w miejscu i w czasie.
. . . .
Taras odnowił pieśniarza rzemiosło,
Siedzi w gospodzie i miodek popija;
A co sam lubi, to i drugim radzi,
Że na frasunek trunek nie zawadzi.
Po dniach pokuty i ciężkiej spowiedzi
Marta znów w tańcu wodziła orszaki.
Zjawił się chłopak — już nie wiem kto taki,
Prosił o rękę, dał na zapowiedzi;
Więc poszła za mąż — i co idzie zatem,
Pan Bóg dał dzieci, gospodarkę, zboże,
Wszystko jak trzeba... o Boże mój Boże!
Czemuż to życie nie jest poematem?

Potrzebaż wyraźniejszego nad te kilkanaście wierszy dowodu, że autor sam w swe ideały nie wierzy. Wybiera przedmioty z fantazyi, nie z życia, — rozwija je bez należnego przejęcia się, jakby tylko dla igraszki, — a wreście jednym podmuchem ironii całe swe dzieło obala. Otóż i tu, wbrew wszelkiéj rzeczywistości i prawdzie wyidealizował chłopków, i dopiero skończywszy swe dzieło, przypomina sobie że prawdzie musi być posłusznym, wiernym i w miejscu i w czasie, i po raz pierwszy lud nasz rzetelnie malując, stawiając przy końcu, a raczej już po zamknięciu

powieści, obrazek wręcz przeciwny głównemu obrazowi, zadaje tem samem fałsz całemu, tak uporczywie utrzymywanemu urojeniu, na którem swój utwór osnował. Gdyby nie ten dziwny epilog, możnaby jeszcze przypuszczać, że on się w dobréj wierze myli. Lecz przypuszczenie dobréj wiary znika od razu w obec tego domówienia, w którem obrażona prawda nakazuje mu jakby za karę, by ją acz mimowolnie uznał i wysłowił w jak najdobitniejszych wyrazach, a przez to zdradzając się że zna rzeczywisty stan i ujemne strony naszego ludu, sam potępił swe poprzednie wymysły. Wyraźnie więc poczuwa on się do winy, ale trybem wszystkich grzeszników nie chcąc się szczerze do niej przyznać, szuka jakimby sposobem od siebie ją oddalić a na co innego spędzić, i jak zwykle się w takich razach dzieje, jeszcze w grubszy błąd wpada, dopuszczając się jak na poetę największego grzechu, to jest zadając cios śmiertelny poezyi, bo unicestwia całą jéj istotę i wysokość powołania, gdy ją odosabnia, odcina od życia potwornem twierdzeniem że życie i poezya stoją z sobą w przeciwieństwie. Niezawodnie tak jest, ale tylko w takich poematach jak niniejszy. Nie wina w tem poezyi lecz poety. Życie jest prawdą, a poezya winna być nadobnem téj prawdy odbiciem. Nie wszystko zaiste co jest w życiu należy do poezyi, ale wszystko co jest w poezyi musi mieć podstawę w życiu. Kto na fałszu buduje, ten i w życiu i w poezyi wystawia się na niechybny upadek. Wszelki zaś fałsz tę sam w sobie nosi karę, że fatalnie skazanym jest na niweczenie własnego dzieła. W sferze poezyi trudnoby pewnie na to znaleźć dowodniejszego przykładu jak obecny poemat Syrokomli.

W gawędzie *Janko Cmentarnik* więcej jest poezyi, bo więcej jest prawdy, wierniejsze życia odbicie. Autor tak swego bohatera przed nasze oczy wprowadza:

Przed pięćdziesięciu czy więcej laty,
Żył w jednej wiosce młodzian bogaty,
Młody, wesoły, jeden z tych ludzi,
Którego serca nic nie wystudzi,
Co go nie stworzył Bóg na pieszczocha,
Co kiedy kocha to szczerze kocha,
Co to do pracy rwie się ochotnie,
Co to przy pługu z rozkoszą potnie,
A kiedy hula to z całej duszy,
Którego serce wszystko poruszy.
Więc wszyscy brata widzieli w Janku,
A on zajęty był bez ustanku,
Temu, owemu, czy to, czy owo,
Jakąś gromadzką sprawą wioskową,
Kochał swą wioskę, chlubił się wioską,
Kochał rodziców duszą synowską,
Kochał swe pola i sianożęci,
Kochał rzeczułkę co tam się kręci,
Kochał swe lasy i dymy chatnie,
Dla parobczaków miał serce bratnie,
Kochał na zabój dziewczęta młode,
Kochał kaplicę, cmentarz, gospodę.
I z tą miłością rodzonej ziemi,
Dobrze mu było między swojemi:
Bo jakoś zawżdy na sercu gracko,
Dolę — niedolę dzieląc gromadzką
Żyć ze wszystkiemi, czuć bratnią spójnię,

To jakoś serce bije podwójnie.
Bywało we wsi śmierć kogo bierze —
Janek jak dziecko spłacze się szczerze,
W obcym człowieku co zszedł ze świata,
Jakby utracił ojca czy brata;
On grób wykopie, trumnę wyciosa,
Żałobną pieśnią grzmi pod niebiosa,
A jeźli krewni nie dość bogaci,
Jeszcze bywało za pogrzeb płaci.
Za to gdy we wsi jakaś hulanka,
Za siódmą górą posłyszysz Janka:
To hucznie śpiewa, to w taniec ruszy,
Gromadzka radość tak mu do duszy.
On na weselach za drużbę stanie,
On pierwszy oracz na dworskim łanie,
Przodowy kosarz na sianożęci,
Nigdy mu nie brak siły i chęci.

Janko wzięty przez dziedzica włości na hajduka, wyjeżdża z nim do jego majątku w Karpatach, później wraz z swym panem zaciąga się do legionów, walczy obok niego we Włoszech, w Hiszpanii, pod Wagram, znowu w Hiszpanii, wszędzie męztwem i dobrocią serca zyskuje przyjaciół, lecz wszędzie zarówno tęskni do swej wioski.

Choć w takt rycerski puls jego grzmoce,
On o swej wiosce śni całe noce,
W brzekocie bębnów, wśród trąb zgrzytania,
Wiejski się obraz przed nim odsłania:
Słyszy kościelny dzwonek cichutki,
Słyszy skowronka piosnkę pobudki;
Słyszy strojenie skrzypiec w gospodzie;
Śpi na biwaku, na cudzej ziemi,
A dusza jego hula ze swemi!

Nadchodzi rok 1812.

„Pędem piorunu potok się leje.“
(Tak o tej chwili pisały dzieje).
„Żółw nas prześcignie w takim pochodzie!“
Powiadał Janek — ostrogą bodzie
I trędzlą swego wierzchowca spina:
„Ot już i Niemen, ot i rodzina,
„Ot i powietrze ztamtąd powiało,
„Ot i zobaczę mą wioskę całą!
„Toż mię otoczą roje gromadne!
„Toż ojcu, matce do nóg upadnę!
„Powiem im, powiem z całym zapałem,
„A gdzie ja byłem, a co widziałem“ —
. . . .
Nareszcie wojsko weszło do Wilna.
Nad głową Janka tęskność mogilna
Chmurno powiała — szepce kryjomu:
„Tylko mil ośm do mego domu . . . .
„Lecz cóż tam na myśl przyjdzie monarsze?
„Kędy obróci wojenne marsze?
„W prawo? czy w lewo?... ależ broń Boże!
„Półk naszéj wioski minąć nie może:
„Wioska na lewo — tamtędy droga....“
Ale myśl władzców, to jak myśl Boga,

Nieodgadniona, nieprzeniknięta,
Słowo ich prawem, wola ich święta.
Więc drżący Janek ileż to razy
Pytał u pana, jakie rozkazy
Z głównej kwatery? — lecz pan nie zgadnie,
Którędy półkom ruszyć wypadnie.
Przyszła nakoniec karta złowroga:
„Dla konnych półków na prawo droga;
„Za dwie godziny wojsko wyruszy.“
Co się tam działo w Jankowej duszy
Trudno wysłowić.....

Pod Moskwą kula armatnia obie ręce panu urwała. Janek uniósł go z pobojowiska. Przez całe półrocze czuwał nad nim w szpitalu, a gdy kalece nieco sił wróciło, uwiózł go na lichym wózku i w chłopskiej odzieży. Uciekając przed silną pogonią, zatrzymać się ani zboczyć nie mogli. Tak, o dwie tylko mile od wsi Jankowéj przejechali. Tylko gdzieś w karczmie na pół spalonéj spotkali z tej wsi człowieka, który opowiedział Jankowi, że ojciec jego umarł a matka w ciężkiej jęczy chorobie. Przywędrowali nareszcie w Karpaty. Odtąd Janek całe swe życie daje na posługę biednemu kalece.

Pan długo konał — bo lat trzydzieści.
Przez lat trzydzieści, aż do ostatka,
Jako piastunka, jak własna matka,
Janek pilnował łoża choroby
I przemyśliwał ulgi sposoby;
Karmił jak dziecię, bawił jak dziecię,
I już pokochał nad wszystko w świecie,
Nad własne życie, a nawet pono
Nad swoją wioskę — wioskę rodzoną!

Gdy pan umarł, wierny sługa niemal wpada w szaleństwo.

Ale w tym szumie, jęku i brzęku,
Inny nerw życia drgnął pomaleńku,
Coś jakby szelest daleki drzewa,
Coś jakby piosnka, co słowik śpiewa;
Ale ten szelest, czy piosnki nuta,
To coś dawniejsza, coś niepopsuta,
Coś taka sama, jak to bywało
Echo w powietrzu rodzinnem grało.
„Tak.... to powietrze rodzinnej niwy
„A to skowronek, zwiastun życzliwy,
„Tam szelest sosny, tam polnej gruszy,
„A tam od łąki rożek pastuszy,
„A tam ze zbożem skrzypią woziska,
„A tam szczekają znajome psiska,
„Tam wóz plebana turkoce drogą:...
„Boże mój Boże! jakże mi błogo!
„Jakiś ty dobry, Ojcze i Panie,
„Za to rodzinnych dźwięków przysłanie!“
Uklęknął Janek, łzami się zalał, —
Już jego biedny rozum ocalał:
Miłość swej wioski i swojej strony
Wróciła wskrzesić duch przygnębiony,
Zagrała w piersiach na dawną nutę,
Pokutnik skończył swoją pokutę.

Janko wraca do swéj wioski. Ale jakżeż wszystko znajduje zmienionem. Nikt go nie poznaje. Na dobitkę młodzi szydzą z jego zapytań i przypomnień dawnego czasu. Idzie on więc na cmentarz, na groby krewnych i znajomych, gwarzy z niemi i miodem do nich popija.

Tak od grobu do grobu pijąc, plotąc baśnie, —
Janek spłacze się — spłacze — i nakoniec zaśnie, —
Na noc wraca do chaty — nazajutrz to samo:
Lecz w rok po śmierci Pana, pod cmentarną bramą,
Znaleźli z kuflem w ręku już nieżywe ciało:
A miodu ani kropli w kuflu nie zostało,
Nic tedy po szaleńcu młody świat nie wskóra:
Ej ten *Janek Cmentarnik* — pocieszna figura.

Śliczny jest pomysł téj gawędy. Ogrzewają ją i opromieniają dwa z pomiędzy najpotężniejszych żywiołów poezyi: miłość nie tylko kraju, ale i rodzinnéj wioski, tak głęboko wyryta w sercu każdego Polaka, równie szlachcica jak kmiotka, a z drugiéj strony, duch poświęcenia i ofiary wiernego sługi dla pana. Niema tu żadnego przeciwieństwa, nienawiści, owszem wszystko zgodnie się kojarzy, i czytelnika w smętnem lecz miłem uspokojeniu zostawia. Natrafił też poeta na kilka scen bardzo prawdziwych a dramatycznych, osobliwie gdy Janko w pochodzie na Moskwę zbliża się do swéj wioski, już za chwilę ma ją obaczyć a w tem rozkaz w inną go odwołuje stronę. Również wysoko tragicznym jest ten moment, gdy wędrowiec po tylu latach i przygodach staje u celu życzeń całego życia, znajduje wszystko we swej wsi zmienionem, niepoznany i wyśmiany sam już nikogo i nic prócz cmentarza nie poznaje, i widzi tylko marność wszelkich nadziei i upragnień ludzkich. Szkoda może, że autor innego końca dlań nie znalazł jak w pijaństwie. Powinna była go odstręczyć ta uwaga, że już tak zakończył *Wielki Czwartek*, tak w ostatnim zbiorze pomniejszych gawęd powieść *Matysek*, że nie wspomnimy o kilku dawniejszych. Co do wykonania, dykcya jest wszędzie ta sama, łatwa aż do zaniedbania, potoczysta aż do wielomówstwa, ale często pełna prostoty i wdzięku. Nie dziw że obok téj przemagającéj prostoty musi razić następujący, zbyt wytworny ustęp:

Dyktator Gallów grzmiącemi słowy
Zagrał poemat wielki dziejowy:
Z mnogich zastępów tworzył wyrazy,
Z hufców układał ogniste frazy,
Takt jego piersi bije armata,
Za kartę użył połowę świata,
A każda fraza i każda głoska
Wrzała tak silnie, jak myśl mistrzowska,
Kipiała ogniem piersi człowieczej —
Nie dziw, że wielkie popisał rzeczy:
Krwawym zygzakiem przekreślił Romę,
Przytoczył Alpów urwiska strome,
Trącił o stare Piramid głazy,
Ziemię Germańską przeszedł dwa razy,
Przerznął skalisty grzbiet Pirenei!
A ludzkość pełna nowych nadziei,
Patrząc na krwawy zygzag co pała!
Charakter Boży na nim czytała!
To była tylko zwyczajna droga,
Którędy Tytan szedł na półboga:

Wielki poemat krwi, ognia, czynu,
Myślą nie wyszedł za obręb gminu,
Tylko że większy dał rozmiar pysze —
A pycha Boskich dzieł nie napisze
Czy biorąc słowa kolory bledsze,
Albo kartaczem ryjąc powietrze.

Gdzieindziej mogłaby ujść ta tirada, zwłaszcza że mieści w sobie przy końcu doskonały sens moralny, nie bez korzyści i dla wielu dzisiejszych pisarzy. Żal nam także że autor, który w téj przynajmniej powieści zdołał się uchronić szyderstwa, zamyka ją trzema ironicznemi wierszami. Jeszsze jedna uwaga. Nie lubimy wytykać drobiazgowych usterek mianowicie gdy daleko ważniejsze okoliczności są na względzie. Ale nie możemy tego pominąć, że autor dzisiejszym zwyczajem szybko a cząstkowo piszących do gazet feljetonistów, często zbyt lekceważy pomniejsze szczegóły. W opisie ceremonii w *Wielkim Czwartku* kilka znajduje się niedokładności, których można było uniknąć zasięgając rady u pierwszego lepszego kapłana. Nikomu, naprzykład, z przytomnych w kościele nie powinno być wiadomem, ani dla oka widomem, czy spowiadającemu się daje ksiądz rozgrzeszenie czy nie, bo ten zarówno każdego żegna. Inny szczegół. Gdybyśmy porachowali godziny, które upływają w czasie opisanej spowiedzi, to Msza Ś. ledwie mogła była wyjść przed samym wieczorem, co się nigdy nie zdarza, a nawet ściśle po najdalej 1szej z południa zabronionem jest. Tak i tu, Janko powiada że lat 40 nie był w swéj wiosce. Lecz jeśli wyszedł na parę lat przed zawiązaniem się Legionów, jeźli w Karpatach pielęgnował pana lat 30 po kampanii moskiewskiej, to musiało upłynąć najmniej 50 lat od czasu jak swą włość opuścił. Tenże pan po utraceniu rąk pod Moskwą, leczy się przez półroku w szpitalu, po czem ucieka przed silną pogonią, która *gnała go wtyle*, jakby uchodził z innemi niedobitkami, a przecież cała rejterada w parę miesięcy się skończyła i Moskale cały kraj zajęli. Gdzieindziej jeszcze autor mówi, że Janko przed pochodem do Moskwy służył pięć lat w wojsku, a przecież walczył w Legionach we Włoszech, był pod Austerlitz, gdyż później gromi *mężkim z Austerlitz głosem*, był pod Madrytem, Alkalą, pod Wagram, i znowu w Hiszpanii, co wszystko tat kilkanaście stanowi. Tak mało znaczących usterek nie wartoby wspominać, gdyby one nie zdradzały lekceważenia czytelników, które coraz bardziej u nas się zagęszcza, odkąd na gwałt i sążniście pisać zaczęto, ale od którego dotychczas przynajmniej utwory poetyczne wolnemi były.

Autor ochrzcił *Stare Wrota* mianem poematu. Jest to jednak gawęda jak inne, tylko nieco obszerniejsza, obfitsza w wypadki i zawikłańsza. Pobieżność i łóżność gawędy znać zaraz w początkowych wierszach, w których autor czyni wycieczkę przrciw krytykom warszawskim. Któż kiedy tak poemat poczynał? Pobudkę do téj powieści dał mu Kraszewski przesyłając obrazek wiejskiej bramy z podpisem: *Poczciwe Stare Wrota.* Historycznego zaś wątku dostarczyła Skargi *Na Artykuł o Jezuitach odpowiedź*, w której powiada, że jedyną łaską, jaką u króla uprosił, było uzyskanie dla swego starego woźnicy wakancyi w żupach groszy 20 na tydzień, aby w starości głodem nie umarł. Rzecz więc się dzieje za Zygmunta III. i mowa musi być o Jezuitach. Pocieszny jest kłopot autora który chciałby wszystko złe na Jezuitów zwalić, a zarazem ich najsłynniejszego obrońcę i przywódzcę uniewinnić, i wystawić jako głównego przeciw wszelkiemu złemu szermierza. Zobaczmy co to za kłopot.

Onego czasu zakon Jezusowy
Był panem serca i królewskiéj głowy.
Próżno Zamojski zżyma się na sejmie
Pacta conventa że monarcha targa, —
Król Jezuitom serca nie odejmie:
Bo jego serca pilnował Piotr Skarga.
Święty Piotr Skarga! wśród synów Lojoli
Wyrósł, zestarzał — i wierzył w ich cnotę;
Grzmiał z kazalnicy w słowa szczerozłote,
Żył i pracował zakonowi gwoli.
W ręce obłudy dał się nieobłudnie,
I w piersiach uczuć niezgłębioną studnię
I męzką wolę i rozumu siły
Złożył Piotr Skarga na starszyzny ręce;
Już posiwiały, już k'ziemi pochyły,
Przechował w duszy wierzenie dziecięce.
Z wesołą twarzą, w pokornej postaci
Kwapił się spełnić swych starszych rozkazy:
W świętych źrzenicach sam nie mając skazy,
Nie mógł jéj dojrzeć na sercu swych braci.

Czy w Sandomirzu, gdy szlachta zebrana
Na Jezuitów wykrzykuje *veto*,
Czy trzeba wstydzić błędy Aryana,
Albo się ścierać z uczonym Helwetą,
Czy to rycerstwo na koń się sadowi,
Czy idzie z wojny z bogatym obłowem,
Czy rokoszanin zagraża królowi,
Staje Piotr Skarga z piórem i ze słowem.
On broni świętych tajemnic ołtarzy,
Zasłania kościół od błędnej szarańczy,
W bitnych pancerzach odwagę rozżarzy,
W togach senatu szczepi duch poddańczy.
Dwoi się Skarga — i kędyż go niema,
Gdzie woła kościół lub ziemia rodzima?

Nie mniejszą ma biedę autor z królem Zygmuntem:

Króla z Kapłanem spowiedź w cztery oczy
Długa i rzewna — widać jak łzy leje!..
Och tę rozmowę, którą z Bogiem toczy,
Gdyby raz jeden podsłuchały dzieje,
Może ich karty brzmiałyby inaczej;
Lecz insze ludzkie — insze sądy Boże!
Kapłan dla skruchy grzesznemu przebaczy;
Ale historya przebaczyć nie może.

Co za zdumiewająca loika w tem wszystkiem! Piotr Skarga mądry i bystry, — Piotr Skarga *święty*, — ale pomimo tego daje się całe życie powodować obłudzie, służy jej chętnie za narzędzie, trzyma w jej okowach serce króla. Ponieważ w świętych jego źrzenicach niema skazy, więc też żadną miarą dojrzeć skazy nie może na sercach swych zakonnych braci, którzy wszyscy krom niego jednego są obłudne tyrany. Gdyby Historya podsłuchała spowiedzi Zygmunta, to-by zmieniła o nim zdanie, przebaczyła mu, ale że sądy ludzkie od Bożych są różne, więc mu przebaczyć nie może. A czyimże to jest obowiązkiem i dostojeństwem, jeźli nie historyi, łagodzić i odwracać namiętne sądy ludzkie a zbliżać się,

o ile tylko być może, w spokojnem ocenianiu i sprawiedliwości do sądów Bożych, i skoro ona się domyśla, że kto niesłusznie został potępionym, to już nie przebaczać mu, bo śmiesznością jest przebaczanie gdzie niema winy, ale wszelkiemi siłami starać się jej należy by pognębionemu wydartą cześć przywrócić. W poecie czasem zaciętość może jeszcze być wytłómaczoną, w historyku nigdy.

Wątek tej powieści tak się rozwija. Było to roku 1599. Pochylonemu już pzzez wiek Skardze król ku wygodzie daje mały skarbniczek, spokojnego bułanego konia i woźnicę z swej stajni. Woźnicą tym był Litwin Szeliga. Ojciec Szeligi, szlachcic ubogi ale niepodległy, mięszkał w dawnych czasach pod Wilnem. Nie zaszczepiał on łacińskich nauk w swym jedynaku, ale za to wyuczył go dzielnie dosiadać konia, bić się i polować. Gdy nadeszła wojna z Wołoszą, wyprawił go na nią sowito. Młody Szeliga okrył się sławą pod Obertynem. Tu znowu mały *lapsus* autora. Bitwa pod Obertynem stoczoną była w r. 1531. Szeliga więc musiałby mieć około lat 90 gdy woził Skargę, a jednak autor wystawia go jako kwitnącego zdrowiem, i jeszcze w kilka lat później, polującego z oszczepem, podnoszącego włość swoją z ruiny, budującego sobie dom własnemi rękami, na który „sam zwalił w lesie berwion cztery kopy.“ Ale wróćmy do Obertyna. Młodzian okrył się tam sławą, lecz nic więcej nie zyskawszy, powrócił do domu. Zapalony myśliwiec na niedźwiedzie, dał się wnet poznać ze zręczności panu Gasztoldowi, i wbrew woli ojca, porzucił gospodarstwo i przystał na myśliwego do Wojewody. Razu jednego przez nieuwagę popsował sieci, wilk ścigany wyskoczył z ostępu, Wojewoda się rozgniewał i wypędził Szeligę z swego dworu. Poszedł w świat biedny Litwin, długo się tyrał po rozmaitych dworach na Litwie i w Koronie, pojął wreście małżonkę, co jeszcze go do większej doprowadziło nędzy. Wkrótce syn mu się urodził, lecz rosł bez nauk, bo ojciec był bez grosza. Na domiar nieszczęścia, gdzieś na łowach szarpnął niedzwiedź Szeligę przez plecy i wyrwał mu zdrowia ostatek. Nad leżącym w szpitalu krakowskim ulitował się Wielki Podkomorzy Bobola i w stajni królewskiej miejsce mu wyrobił. Ztamtąd król dał go Skardze na woźnicę. Chociaż autor tyle poprzednich wypadków o Zygmuncie i Skardze wyłuszcza, iż zdawało się że przynajmniej lat kilka musiało upłynąć od wstąpienia na tron Zygmunta, zanim tenże dał woźnicę swemu spowiednikowi, przecież powieść opiewa, iż w roku 1599 już od lat trzynastu Szeliga wozi Skargę, a zatem musiał mu się dostać w służbę na samiuteńkim początku panowania Zygmunta. Dość, że Skarga jadąc z Częstochowy, dokąd towarzyszył królowi składającemu dzięki Bogarodzicy za szczęśliwy powrót ze Szwecyi, dowiaduje się od Szeligi przez jak nieszczęśliwe przechodził koleje, i wzruszony jego powieścią postanawia prosić króla by wiernemu słudze dał sposób odzyskania domu przodków i utraconej dostojności. Jakoż w upatrzonej chwili staje przed tronem i tak relacyą o losach Szeligi rozrzewnia króla, że tenże zaraz nazajutrz daje rozkaz Bocheńskim żupnikom, by uwolnionemu ze służby Szelidze wypłacali odtąd 20 groszy na tydzień, co, jak łaskawie nam w wierszu poeta objaśnia, na dzisiejszą wartość policzywszy, trzysta złotych do roku wynosi. Szeliga wraca na Litwę z żoną i synem, wykupuje z zastawu grunta rodzinne, stawia sobie dom, muruje lamus, urządza ogród.

Wjazd stanowiły staroświeckie wrota,
O dwojgu słupach z furtką i przełazem.
Z dachem ze słomy, okute żelazem, —
Zajechać do nich aż brała ochota.
Bo dziwna sztuka u litewskich cieśli

Że nasza brama zawsze gościa złowi,
Kogo bogowie pod wrota przynieśli
Już jak magnesem ciągną ku dworkowi.
Wiejskiego cieśli zaklęta siekiera
Takim je wdzięcznym uśmiechem ubiera,
Myśl gospodarza tak wyżłabia zdradnie,
Że brama krzepko na rygle zabita,
Ledwie podjeżdżasz sama się rozpadnie,
Radośnym skrzypém przybyłego wita.
Skąd takie cuda? czy to z duszy szczeréj
Co rada gościom przychylić niebiosa?
Lub czarodziejstwo ciesielskiéj siekiery
Jakieś nad bramą zaklęcie wyciosa?
Trudno odgadnąć — to tylko wiadomo,
Że w jednéj Litwie stawią takie wrota,
Z czubiastym daszkiém, uplecionym słomą,
Na którym siedzi uśmiech i szczerota,
Co w dzień i w nocy, wśród lata i zimy,
Zdają się mówić: „serdecznie prosimy!"

Gdy tak lat kilka Szeliga coraz pomyślniej gospodaruje, spotyka go jednego razu niespodziane i większe nad wszystko szczęście, bo przed jego dworek sam Skarga zajeżdża. Stary szlachcic okazując mu cały swój dobytek, rzewnie mu jako dobroczyńcy swemu i twórcy swej pomyślności dziękuje. Udaje się przytem nieśmiało z prozbą, aby raczył mu pobłogosławić w kościele syna, który właśnie nazajutrz miał wyjechać na dwór Xięcia Krzysztofa Radziwiłła i zaciągnąć się do chorągwi, którą Xiąże zbierał. Skarga zwraca uwagę pobożnego starca że Xże Krzysztof dyssydent i że nieprzychylny Królowi, ale wnet ustępuje skoro mu rzekł Szeliga:

Ojcze mój, ojcze! twój król, twoja wiara
Na wieki wieków naszemi zostaną.

Tu jest węzeł całej powieści i tu błąd jej główny. Skarga dobrze wiedział jak zagorzałymi krzewicielami kacerstwa byli Radziwiłłowie, i jak ściąganą na swój dwór młodzież przeinaczali na swą wiarę, wiedział przytem że z dawna żywiąc niechęć przeciw królowi, pochopnymi byli czy do podniesienia rokoszu czy do łączenia się nawet z obcymi kraju nieprzyjaciołmi. Jakżeż mógł tak łatwo, jakżeż mógł jakąkolwiek miarą pozwolić by Szeliga wystawiał swego syna na takie niebezpieczeństwo? Niweczy to charakter Skargi nawet takiego jakim tu został przedstawiony. Chyba że autor umyślnie chciał tym wypadkiem wyświecić jego słabość i niedołęztwo woli, aby usunąć swój kłopot i rozwiązać wątpliwość jakim sposobem światły i święty Skarga mógł być Jezuitą i do tego jeszcze kochać i bronić z całej duszy zakon obłudą tylko celujący. Gdyśmy doszli do tego ustępu, pomyśleliśmy jak zapewnie niejeden czytelnik pomyśli: tu jest górujący punkt całej powieści, tu niezłomny Skarga wystąpi w całej okazałości swego charakteru, z całą głębokością uczuć i wzniosłością przekonań, — aliści przeciwnie, musimy być świadkami jak po krótkim, nie już oporze, ale wachaniu się, wykrzyknąwszy: „Kusisz mię starcze, o zgoda, już zgoda; poczciwi ludzie jedźmy do kościoła," — udaje się przed ołtarz,

poświęca broń i błogosławi młodzieńca na drogę i służbę w głównej kwaterze nieprzyjaciół wiary ojczystej.

Skarga odjeżdża, ale przed oddaleniem się poświęca jeszcze dom, oborę, pasiekę i całe gospodarstwo Szeligi. Gdy stanął przed wrotami,

„Wrota! — zawołał, — ku szlacheckiéj chacie
„Wy, co radośnie drogę odmykacie,
„Niechaj Stróż-Anioł pilnuje was codzień
„Od złego gościa lub złego sąsiada:
„Niechaj się tędy nie przemyka zdrada,
„Niech waszych skrzydeł nie odemknie zbrodzień.
„Jeżli ktokolwiek z jaką myślą zdradną
„Zechce tu wkroczyć łaską czy przemocą,
„Niechaj te wrota na głowę mu spadną,
„Niechaj mu głowę i piersi zgruchocą."

Część druga, daleko krótsza, pięknie się poczyna:

Przeszłości święta! pokój ci niech będzie
W twym wiekuistym, w twoim sennym grobie!
Coś nagrzeszyła w niebacznym obłędzie,
Niech Bóg udzieli przebaczenia tobie,
A twoim cnotom swą łaską przyczyni
Plennego wzrostu, co ma ziarno w roli,
W naszych im sercach krzewić się dozwoli!
Przeszłości święta! tyś nasza mistrzyni!
Nie dla zgorszenia, ale dla poprawy,
Pozwól w twój obraz przypatrzyć się mgławy, —
I nie poczytaj nas za świętokradzce
Nie miéj za winnych synowskiéj obrazy,
Jeźli się zdala przypatrując matce
Na jéj obliczu odkrywamy skazy.
My dobrze serce naszéj matki znamy;
Ona tam w niebie jedną żądzę żywi,
Aby jéj dzieci były od niéj saméj
Bardziéj cnotliwi i bardziéj szczęśliwi.
Nam dla przestrogi ona sama powie,
Co nabroiła kiedy była młoda.
Niewiele grzechów liczy na swéj głowie,
Grzech jéj najcięższy miał imię — Swoboda.

Nie ta swoboda, którą ma od Boga
I myśl człowiecza i niebieski ptaszek,
Co nie dla marnych stworzona igraszek,
Co wie skąd idzie i dokąd jéj droga,
Pilnując kręgu jak słońca na niebie
Ciepło i światło sieje w koło siebie, —
I zna to dobrze: że gdyby w zakresie
Śmiała przekroczyć choć na jeden atom,
To zamiast szczęścia, które daje światom,
Straszliwe światu skończenie przyniesie.
Córka zniszczenia jest inna swoboda,
Czynem i słowém w karby nie ujęta,
Do któréj hasło najpierwszy ten poda
Kto chce narzucić niewolnicze pęta,
Co aby snadniéj zhołdować lud Boży,
Sam się poniży, sam się upokorzy.

Na nim się wesprzesz jakby na opoce,
A on się śmieje w głębi swego ducha,
On weźmie pierwsze swawoli owoce,
A karę błędu — ten, kto go usłucha.

Wiele miejsc podobnych i zdrowo pomyślanych i silnie oddanych, znajduje się w tej części drugiej. Nastręczają osnowy do nich zmienne losy i nieszczęścia ojczyzny. Szkoda tylko że nie wszystkie wiersze są zarówno poprawne. Dla pospiechu Syrokmola coraz gorzej pisze. Łatwość dykcyi, która nam pozwala jednym pędem prześlizgać się po jego utworach jak po gładkim lodzie, sprawia zarazem, że nie spostrzegamy błędów, ale zatrzymaj się gdziekolwiek, a załamie się pod tobą. Oto i w powyższym ustępie, jednym z najlepiej wykończonych, kto zrozumie czy swobodę autor porównywa do słońca czy do ziemi? Jeżeli do słońca, to porównanie źle dobrane, bo słońce nie krąży, gdyż w świadomość poetyczną jeszcze nie przeszło, iż i słońce odbywa ruch koło swej osi. Jeżeli do ziemi, to również obraz jest chybiony, gdyż cokolwiek w tej mierze mógłby twierdzić astronom, poeta nie może mówić że ziemia w swem krążeniu sieje ciepło i światło w koło siebie i że daje szczęście światom. W poezyi ten przywilej tylko słońce dotąd posiadało. Ale co nas daleko jeszcze więcej w tym ustępie razi, to to uosobistnienie ojczyzny i osadzenie jej jakby jakiej świętej w niebie, skąd patrzy na swe dzieci na ziemi, które do wielkich niedorzeczności i w poezyi i w pojęciach ogólnych doprowadzić może. Ledwie nasi pisarze, zrażeni nadużyciem przez lada wierszokletów, przestali wcielać ojczyznę w Chrystusa, a już ją kanonizują. Niedługo zapewne i tego nie będzie dosyć, i cała ludzkość podobnegoż ubóstwienia dostąpi. Wszakże już Syrokomla, który tak często dawnym trybem klassycznym Boga zwie Jehową, mianuje Go w tym poemacie *Ojcem ludzkości i strażnikiem natury*. Oczywiście, że w miarę im coraz wyżej rzeczy ziemskie i znikome ubóstwiać się zacznie tem coraz bardziej do poziomu Boga zniżać wypadnie. Bóg dał osobistość i duszę nieśmiertelną człowiekowi, nie dał jej ani zbiorowéj ojczyznie ani ludzkości. Jeżeli ojczyzna króluje jak święta w niebie, to na ziemi już żyć nie może, i gdyby każda przeszłość miała być matką w niebiosach, to ileżbyśmy tam matek posiadali, albo raczej jakże dziwnie jej osobistość musiałaby się z każdym rokiem tam zmieniać i rozprzestrzeniać. Takie absurda okazują dostatecznie zuchwalstwo i fałszywość podobnych obrazów.

Młody Szeliga wciąż urastał w łaskach Xięcia Krzysztofa Radziwiłła. Mijały lata to na wyprawach wojennych, to na dworskich zabawach. Gdy Birże odziedziczył Xiąże Koniuszy Bogusław Radziwiłł, Szeliga zawsze Radziwiłłom wierny, podzielał Xięcia i losy i boje, należał do zwycięztwa nad kozaczyzną pod Beresteczkiem, lecz żartował z swych laurów, bo niepragnął służyć krajowi, ale zdobywał łaskę u magnata.

Biłby się zawždy nie pytając o co,
I przy tureckim stanąłby sztandarze,
Jeżeli Xsiążę Koniuszy rozkaże.

Xiąże Koniuszy chciał przemocą przewodzić krajowi. Dbał nie o Rzeczpospolitę, ale o własne dobro. Szeliga, wierny jego i główny po-

plecznik, wiedziony żądzą złota, kierował szlachtą na zjazdach, podszeptywał w wojsku rokosze, i na samego króla gotów był się porwać. Już nie było nikogo, coby go upamiętał. Skarga już nie żył i ojciec już nie żył. Tak opętany w sidła coraz wzmagającéj się łaski xiążęcéj, poduszczany chciwością, Szeliga, — bardzo nie młody z przeproszeniem autora, bo już musiał mieć lat z górą 70, gdyż jeszcze za Batorego się rodził, — przechodzi za przewodem Radziwiłła na stronę najezdnika szwedzkiego, ściga z zajadłością wszędzie przyjaciół Jana Kaźmierza, i niesie na ich strzechy miecz rzezi i ogień pożarny. Ale wnet odwróciła się dola. Naród powraca do swéj powinności. Już tylko tacy przy wrogu zostali, co chcieli nękać i obdzierać biedną ojczyznę. Spanoszony, zbogacony krociami Szeliga przebywa do końca przy boku Radziwiłła w obozie szwedzkim. Wtem na ten obóz, rozłożony już na granicy pruskiéj pod Prostkami, napada Gosiewski, rozpędza go i bierze w niewolę i Radziwiłła i Szeligę. Radziwiłł, za sprawą swego krewnego Michała Kaźmierza, pogodzi się z królem i przebaczenie otrzyma, ale jego wojsko i wszystkich dworzan na wygnanie skazano. Szeliga, występny banita ale za to bogacz, mało się troszczy tem piętnem sromoty. Hetman dozwala mu kilka dni czasu, aby mógł sprzedać ojcowską wioszczynę. Mało ona tak majętnego zdrajcę obchodzi, ale korzysta on z pozoru i jedzie na Litwę, by wśród młodzi jednać stronników dla Szweda. Przybywa nareszcie do swej wioski. Wszystko już tam w ruinie, tylko jeszcze stare wrota stoją, lecz gdy w nie wspaniałą czterokonną karocą wjeżdża i gdy przecisnąć się nie może, spruchniałe słupy pękają od zamachu, dach dębowy upada i zabija wyrodnego syna ojczyzny.

Niema swobody ani ładu w tej powieści. Naciąganie wszędzie w niej widoczne. Dla podrzędnego efektu główna postać, charakter Skargi, osłabiony, zwichnięty. Wypadki historyczne pomięszane, nad wszelką dowolność skupione i zbliżone do siebie. Okres akcyi za obszerny, bo od bitwy pod Obertynem do bitwy pod Prostkami przeminęło lat 125. Poeta ratuje się tem, że przypuszczając nieznajomość historyi w czytelniku, opowiada jak gdyby okres ten o połowę był krótszym, dalekie od siebie zdarzenia jedno po drugiem bez przejścia kładzie, a gdzie cyfrą długość jakiej epoki oznacza, to najczęściej z niej coś urywa. I tak powiada: że Władysław IV. umarł w dziesięć lat po ojcu. Czy podobne gwałcenie chronologii jest poecie dozwolonem? Można wątpić. To pewna, że chociażby komu wydało się śmiesznością dopominanie się krytyki o ścisłość dat u poety, to śmieszność ta przechodzi w obowiązek względem pisarza tak hojnie szafującego datami i liczbami w swych wierszach jak Syrokomla. Jeźli chciał zrobić Mohortów z obu Szeligów, to należało mu w nich tę dostojność jędrnej, nad zwykły zakres życia ludzkiego posuniętej starości uwydatnić i podnieść jak to Pol uczynił. Skoro tego nigdzie tu niewidać, nader dziwnem czytelnikowi wydawać się musi, gdy o śmierci starszego Szeligi, który już się okrył sławą pod Obertynem, dowiaduje się dopiero po bitwie pod Beresteczkiem. To daje miarę jaka tu gmatwanina wypadków. Ztąd nieład w opowiadaniu. Natomiast wiele pojedynczych scen, zwłaszcza ogólnych obrazów, potężnie nakreślonych, ratuje całość, i utwór ten do

rzędu lepszych dzięł Syrokomli wynosi. Już i to za zasługę poecie policzyć wypada, że się dotychczasowym trybem naszych pisarzy nie pastwi nad Zygmuntem III.

Stanęliśmy więc u kresu, na którym się kończy drugi rok zdumiewającej płodności p. Kondratowicza. W ciągu roku 1855. roztrząsnęliśmy dzieł jego jedenaście. Teraz sześć przyszło pod naszą uwagę, a jeszcześmy pióra nie złożyli, gdy już słyszymy o nowych jego gawędach: Garść pszenna, Cieśla, Trędzlowe. Jeźli autor pragnął głośności po najdalszych zakątkach kraju, to zyskał ją z nadmiarem. On to głównie oba te lata ożywił, uświetnił, napełnił. Mamy większych poetów, a przecież niczyje dzieła nie były tak rozrywane, niczyje imie tak często na ustach. Lecz sława jest czem innem, a czem innem wewnętrzne w sumieniu zaspokojenie. Mędrzec mówi: Błogosławieni ci, którzy nie głosu zewnątrz brzmiącego, lecz prawdy wewnątrz uczącej słuchają. Ma-ż autor czas w tym nawale gorączkowej pracy i wirze oklasków badać się i zdawać sobie rachunek jaką drogą idzie, jakie czyni postępy. Nam się zdaje, że nie czyni żadnych, chyba na gorsze. Styl jego staje się coraz bardziej zaniedbanym, coraz mniej poprawnym, nie ma już kartki, na któréjby nie było błędów gramatycznych, wszędzie znać brak namysłu, brak porządku i należnego przygotowania się. Ale to są nader drobne względy w porównaniu z duchem jego utworów. Duch się ten nie uspokoił, nie złagodniał, nie spoważniał, ale owszem wzmaga się w zaciętości. Dawniej prześladował, oczerniał szlachtę na ziemi, teraz już jéj nieba zaprzecza, głosząc o niebie *gdzie kmiotkowie sami*. Dotąd duchowieństwo potwarzał, teraz już się na świętości ołtarza targa zwąc bierzmo *święconą pomadą*. Czy pójdzie jeszcze dalej, czy się zatrzyma i nawróci? Nie wiemy. Oby mu tylko czasu nie brakło na poprawę. Myśmy dopełnili obowiązku, bośmy bez zwłoki ostrzegali, skorośmy pierwszy ton fałszywy w jego dziełach usłyszeli. Głos nasz może był za słaby, pewnie za daleki, by mógł dojść w porę do autora. Ale oto podnoszą się potężniejsze i bliższe. P. Bartoszewicz wziął się skrzętnie do wyświecania wartości historycznej dzieł jego, p. Siemieński do oceniania ich pod względem poetycznym, moralnym i narodowym. Na nich to zdając straż w tej mierze, będziem odtąd unikać tak obszernych recenzyi, a po krótce tylko wspominać o dalszych p. Kondratowicza utworach.

CMENTARZ POWĄZKOWSKI *pod Warszawą, opisał Kazimierz Władysław Wojcicki. Litografia M. Fajansa. Ryciny A. Matuszkiewicza.* Warszawa, w drukarni S. Orgelbranda.

W poważnych sędziach i prawdziwych miłośnikach literatury mało mają stronników podobne publikacye. Zbyt one bowiem na księgarską spekulacyą zakrawają. Obrachowane na łatwe a niezawodne obudzenie miłości własnej w wielkiej liczbie rodzin, podwójnie zyskują, bo i prenumeratorowie i materjały do dzieła sypią się na wyścigi. Francuzi to dobrze zrozumieli, i dla tego w Paryżu istnieje kilka pism perjodycznie wy-

chodzących, a same tylko nekrologi lub pośmiertne biografie zawierających, które o każdym nieboszczyku umieszczą wspomnienie, byle tylko przysłać szczegóły jego życia i zapłacić, a że się płaci od stronnicy, więc redaktorowie tem szczęśliwsi im obszerniejszy nekrolog, często też sami pozwalają sobie mnóstwem ogólnych i stereotypowanych frazesów nadsyłane pisma rozszerzać. W takich publikacyach jakżeż trudno o jakąkolwiek miarę lub krytykę. Jakżeż odróżnić prawdę od fałszu, a ileż to najniewinniejszych fałszów zdolną jest zrodzić podłechtana miłość własna i próżność rodzinna? Tym sposobem i to co prawdziwe traci ostatecznie na wartości. Mieliśmy już u nas tyle tego przykładów. Najsmutniejszego pewnie dostarczył przedruk lipski Niesieckiego. Wydawca zyskał, ale jakaż krzywda stała się literaturze, wiarogodności wydawców i bezpieczeństwu klejnotów rodzinnych, już i tak przez polityczne wypadki niezmiernie nadwerężonemu. Publikacya niniejsza nie ma tej donośności, nie może przeto wyrządzić tyle złego, nie miło przecież czytać na każdym poszycie zdradzające jej istotę następne wyrazy: „Pragnąc uzupełnić życiorysy spoczywających tak na „Cmentarzu Powązkowskim i śto Krzyskim, jak i na wszelkich innych cmen„tarzach, poza Warszawą i przedmieściem Pragą położonych, mam zaszczyt „upraszać rodziny pozostałe jak i przyjaciół zmarłych, co w jakimkolwiek „zawodzie położyli zasługi dla naszej spółeczności, ażeby raczyli czy to „pozostałe papiery, czy wspomnienia i podania, mogące rzucić światło na „życiorys zmarłego, nadsyłać do Księgarni etc. Ufamy, że odezwa nasza „znajdzie współczucie u tych, dla których zachowanie pamięci zgasłych, co „przeszli uczciwie ciężką drogę życia, należy do miłych a rzewnych wspo„mnień.“ — Co za ogromny zakres! Jakiż syn o ojcu swym nie powie, że w swym zawodzie położył zasługi dla spółeczności, jakaż córka nie przyzna swej matce, że przeszła uczciwie ciężką drogę życia? Z czasem więc musi wystąpić mnóstwo podobnie przykrych zaprzeczeń, jak to, które dziś autor otrzymuje od Jenerała Załuskiego z powodu nekrologu Wiktora Romana. Ale też wiele fałszów po pewnym, ubiegu lat za prawdę uchodzić zacznie dla tego tylko, że nie było z razu nikogo coby umiał lub odważył się im zaprzeczyć. Nic bowiem boleśniejszego jak obcinać choćby najsprawiadliwiej zasługę umarłych. Pan Wojcicki powiada, że on tylko zaczyna „pierwsze początkowe karty, a czas je dalej i obca już ręka zapisywać będie.“ Jeżeli początek ten drobny mają stanowić dwa ogromne in 4to tomy, cóż to się stanie z lat upływem? Albo więc to dzieło przejdzie swoją objętością wszystkie godziwe granice, albo zmieni się na arenę dla stronniczości, której kierunek zależeć będzie od chwilowych fantazyi wydawców. W najlepszym razie musiałoby z czasem przejść w ogólną nekrologią Warszawy, która na wzór paryzkich zamieszczając na razie życiorysy umierających, nie mogłaby mieć żadnej historycznej, ale tylko czasową i to nader podejrzaną wartość. Nie chcemy przeto mówić, iżby to początkujące dzieło miało być bez historycznej wartości. Autor znany jest z pracowitości i skrzętności w zbieraniu faktów. Ma on niemałe zasoby wiadomości historycznych i umie coraz na inszy sposób układać je i przyrządzać. Niejedna więc tu kartka czyta się z jak największem zajęciem.

Główną wadą tych życiorysów jest, że nie są wymiarkowane według wartości osób. Autor zaczyna swą prace od Malczewskiego, i zaraz potem kładzie pompatyczny nekrolog Majorkiewicza. Niektóre wspomniane tu osoby całkiem powszechności nie obchodzą. W ogólności, stosunek liczebny aktorów do osób z innych stanów jest tu za nadto przemagającym. Autor rozszerza jeszcze objętość swego dzieła szerokiemi życiorysami osób, które ani na cmentarzu Powązkowskim ani w Królestwie nawet nie leżą. I tak do wspomnienia o Emilii Chopin przyczepia kilkakroć dłuższe wspomnienie o jej sławnym bracie Fryderyku, do życiorysu Dominika Borakowskiego przyłącza kilkadziesiąt pewnie razy obszerniejszą biografią jego wnuka, Dominika Magnuszewskiego. Oba te jednak dodatki, osobliwie ostatni z rzewnem czytaliśmy zajęciem. Pan Wojcicki, jako szwagier Magnuszewskiego, winienby osobno wydać jego biografią i to co można z dzieł po nim pozostałych. Między pracami jego młodości, nie czytamy tu ani słowa o dramacie: *Wielki Inkwizytor*, który miał ten nieodżałowany poeta na ukończeniu jeszcze przed 1831 rokiem. Natomiast myli się Pan Wojcicki, kiedy przypisuje autorstwo romansu *Władysław Herman i Dwór jego* wspólce trzech osób, między któremi i Magnuszewskiego wymienia. Utwór ten wypłynął z pod jednego pióra. Magnuszewski nie miał w nim żadnego udziału.

Dzieło p. Wojcickiego już przeszło od dwóch lat wychodzi. W tych dniach 9ty poszyt się ukazał. Brak jeszcze trzech do uzupełnienia drugiego tomu. Zrazu miały się tu zmieścić opisy wszystkich innych cmentarzy warszawskich. Teraz autor zapowiada, iż one stanowić będą całkiem odrębne dzieło. Ryciny liche, niepotrzebnie tylko stoją na przeszkodzie regularnemu wychodzeniu poszytów.

KOŚCIOŁY WARSZAWSKIE RZYMSKO-KATOLICKIE *opisane pod względem historycznym przez Juliana Bartoszewicza. Wizerunki Kościołów i celniejsze w nich nagrobki rytował na drzewie Michał Starkman.* Warszawa, w drukarni S. Orgelbranda.

I tu rysunki tak są mizerne, że cała wartość dzieła mieści się we wspomnieniach historycznych, które p. Juljan Bartoszewicz skreślił o warszawskich kościołach. Nie są to zupełne obrazy, ale raczej szkice, jak sam autor skromnie wyznaje. Jest w nich jednak wiele zajmujących, a dla niejednego czytelnika zupełnie nowych szczegółów. Autor głównie trudni się historyą kościołów, nie zaś opisem teraźniejszego ich stanu, zostawiając przedmiot ten ostatni własnością dzieła X. Kurowskiego *Pamiątki Warszawy*, albo dokładniejszy jeszcze pracy, którą przyboiecuje dać nam p. Sobieszczański. Dzieło niniejsze ma się składać z 13stu poszytów, zawierających rytowane wizerunki i opisy historyczne 26 kościołów, w których liczbie nie tylko same Warszawskie, ale i słynniejsze z okolicy, jak Pragski, Czerniakowski, Bielański, mieścić się będą. Wyszło już dziesięć zeszytów. Chcielibyśmy dać próbkę pracy p. Bartoszewicza, ale wybór jest trudny. Bierzemy więc za przewodnika wzgląd uboczny, i przytaczamy ważniejsze wyjątki z tego co autor napisał o kościele dawniej jezuickim, dziś pijarskim, przy ulicy Sto Jańskiej, nie iżby ten opis był najlepszym w dziele, ale że pomieniony kościół najdziwniejsze przechodził koleje, aż nareszcie dostał

się w ręce XX. Pijarów, wypędzonych z własnego kościoła przy ulicy Długiej, który przerobiono na Cerkiew Prawosławną.

Już kilkanaście kollegiów jezuickich wznosiło się po różnych stronach kraju, a uczonego zakonu na stałe zamieszkanie jeszcze nie miała w swoich murach Warszawa, chociaż już była niby stolicą rzeczpospolitej, a przynajmniej króla Zygmunta. Przejeżdzali nieraz przez Warszawę jezuici, tutaj naradzali się często, przyjmowali fundacye. Skarga nawet u ś. Jana kazywał, przecież długo oczekiwany dobroczyńca nie zjawiał się w Warszawie, sam tedy zakon musiał podnieść staranie około swego usadowienia się w stolicy. Skarga kupił w tym celu z jałmużn dom murowany na Starém mieście (1597 r.) i zaraz sprowadził do niego na mieszkanie współbraci (1598). Była to na początek rezydencya tylko, nie zaś kollegium, i dla tego nazywano ją potem długo *klasztorkiem*. Skarga rozpoczął też budować kollegium (15 października 1597 r.) oddzielone murem od innych zabudowań staromiejskich, ale ta robota wlokła się bardzo powoli, i jezuici długo nie mieli w Warszawie nawet przyzwoitego kościoła. Starszyzna zakonna postanowiła wreszcie wznieść tutaj dom professów (1606), ale zaledwie o tem pomyślano, już burza rokoszowa Zebrzydowskiego, która z wielu miejsc chciała usunąć jezuitów, do kassaty przeznaczyła i zaprojektowane kollegium warszawskie, nie rada z tego, że się jezuici pod bokiem króla tak blisko rozpierali (1607 r.). Kiedy ucichła burza, wzięli się jezuici z wielką gorliwością do budowy kościoła (1609). Król Zygmunt podarował ojcom plac nabyty od miasta, zaraz obok kollegiaty i sam podobno położył pierwsze podstawy kościołowi z wielką uroczystością; za królem poszło wielu innych dobroczyńców, a na ich czele odznacza się Jędrzej Bobola, podkomorzy wielki koronny, wielki przyjaciel jezuitów, który nietylko łożył za życia swego znaczne pieniądze na budowę, ale gdy umarł (18 października 1616 r.), w testamencie na fabrykę kościoła ogromne przekazał zapisy, za co zakon wywdzięczając się, wyniósł później Boboli w kościele swoim nagrobek złożony z popiersia bronzowego pozłacanego ze stosownym napisem na murze. Obok panów był, co dziwniejsza, grek Krzysztof Chisz, szczególniejszym dobrodziejem nowego kościoła. Budowa wszystkich gmachów jezuickich i kościoła, miała się skończyć dopiero 1626 r. Nowe kollegium przydzielono do prowincyi litewskiej. Kościół poświęcony został pod tytułem: „Narodzenia Matki Boskiej i ś. Ignacego.“

Czego to podówczas w kościele jezuickim nie było? Od razu ta nowa świątynia Warszawy, uprzywilejowana, ukochana od wielkich, stanęła na szczycie blasku, okazałości i dostojeństw. Królowie z rodziny Wazów, jakby dziedziczną miłość kościołowi temu poprzysięgli. Ołtarzy moc, bo aż dwadzieścia i tyleż konfessyonałów; dwanaście ołtarzy marmurowych, insze zaś z drzewa, posadzka marmurowa i marmurowa balustrada oddzielająca prezbyteryum od reszty kościoła Do ołtarza ś. Ignacego patryarchy zakonu, obraz sprowadzono z Rzymu, a król Zygmunt do niego podarował bogate obicie. Nie dosyć na tem; król wykonał sam własną ręką kosztowne naczynia święte, przeznaczone do ofiar, i tutaj w kościele jezuitów złożył je Bogu w podarunku. Władysław IV hojnie uposażył i ozdobił ołtarz ś. Kazimirza Jagiellończyka. Dalej zawiązał tutaj z kanclerzem Ossolińskim owo sławne bractwo Niepokalanego Poczęcia, które się tylko osłaniało religijnym pozorem, a miało cele więcej polityczne; zapisał się król sam w kościele jezuickim do tego bractwa i został jego przełożonym, a Jan Kazimirz i Karol Ferdynand królewicze, urząd assystentów w nim sprawiali (1645 r. Dwutyg. liter. tom 2 str. 201). Cecylja Renata i Jan Kazimirz rachowali się między dobrodziejów kościoła. Zakon jezuicki swoich szczególnie świętych patronów miał w wielkiem poważaniu, dla tego ołtarze tu swoje mieli: ś. Franciszek Borgiasz, ś. Ksawery, ś. Stanisław Kostka, ś. Alojzy. Żaden kościół warszawski na ołtarzach swoich nie był tak może pięknie przybrany, jako ten jezuicki, bo tutaj każdy z panów, biskup czy świecki, prędzej jak gdzieindziej niósł ofiarę; dziejopisowie nie próżno wysławiali też skarbiec tutejszy, mówiąc: że bogatszego nigdy w stolicy nie było. A nabo-

żeństwa jakie świetne! Ślicznej powierzchowności kościoła, bogactwo skarbów ducha naturalnie odpowiadać musiało. Dobrani mówcy kościelni, muzyka, częste odpusty, ściągały do kościoła ludzi pobożnych ze wszystkich stanów. Jezuici wszelkiemi siłami starali się mnożyć i podnosić urok swojego nabożeństwa. Nie od razu do takiej wziętości przyszli w stolicy, ale powoli, powoli stanęli u kresu życzeń swoich. Czternaście obchodzili odpustów, nie rachując w to świąt uroczystych, decenny ś. Ksawerego i sexenny ś. Alojzego; a zwyczajów pobożnych, a obrzędów ściśle miejscowych ile? Na ś. Ksawery co rok np. w czasie rorat, święcono nadzwyczajnej wielkości świecę woskową, na pamiątkę wybawienia od powietrza (od r. 1661). Był to zwyczaj który aż do naszych prawie czasów przechował się w tym kościele, nawet po upadku jezuitów. Codziennie do tego msze śpiewane, w niedziele kazania i katechizm dla dzieci. Wszystkie narodowości jezuici ujmowali sobie; nie służyli już ziomkom swoim, ale i cudzoziemcom, prawili częściej kazania po niemiecku, ale i z francuzkiemi występowali; zwłaszcza w dzień ś. Ludwika którego ołtarz był także z marmuru. Spowiedników tu znalazł jakich kto pragnął. Poświęcali się i pracy na mieście. Chodzili po szpitalach i więzieniach, skazanym na śmierć towarzyszyli na rusztowanie. Kollegiata była tak blisko, zaprzyjaźnili się ściśle jezuici z kapitułą święto-Jańską i ztąd najznakomitsi ich mówcy kazywali często w kollegiacie dla ludu i królów: dla tego kościół jezuicki połączony był nawet wewnętrznie galeryą ze ś. Janem, a w ścianie bocznej kollegiaty ponad kaplicą zbudowano balkon dla młodych jezuitów, żeby z niej wygodnie ojcom swoim i przełożonym każącym na ambonie przysłuchiwać się mogli. Współzawodniczyli nawet jezuici z kollegiatą; kiedy kościół święto-jański dostał przez bernardynów sprowadzony krzyż cudowny Pana Jezusa z Norymbergii, jezuici postarali się o drugi takiż cudowny zabytek, to jest o krzyż drewniany Zbawiciela z Lubeki, który gorliwość katolicka jednego z mieszczan niemieckich ocaliła od świętokradztwa. Krzyż ten z urzędowemi świadectwami, Ryszard von der Hardt kupiec, nadesłał do Gdańska do swego przyjaciela Jana Bolfelta, sekretarza królewskiego (1645 r.) z prośbą, żeby go złożył w jakim kościele; Bolfelt przywiózł drogi ten zabytek pobożności do Warszzwy i w dzień podwyższenia ś. Krzyża w r. 1648 złożył go w kościele jezuickim na ołtarzu marmurowym, I odtąd corocznie nowe a świetne przybywało jezuitom nabożeństwo......

Kollegium samo na Starem mieście wiele winno Withofom, rodzinie patrycjuszów warszawskich. Franciszek Withof prezydent miasta, zwany od ludu bogaczem, bo samych kamienic posiadał w stolicy kilkanaście, wielki przyjaciel jezuitów, miał jedynego syna Stanisława, na którego milionowy spadał majątek. Stanisław pobożny jak ojciec, wstąpił do jezuitów i jednę ze swoich kamienic długą na 57 łokci, a stykającą się z kollegium, zapisał dla zakonu wieczystym darem (12 sierpnia 1729 r.), przez co rozciągnął gmachy jezuickie przez całą ulicę na prost gimnazyum od furty aż do rynku staromiejskiego. Oprócz tego 108,000 złtp. dał na dokończenie kollegium, aby stanęło pod jedną facyatą, a kamienice pod jednym dachem. Przeto i facyata lepiej się wydała, i wysoka wieża, której budowę podziwiali przejeżdżający przez Warszawę cudzoziemcy. Ta wzgarda bogactw przez młodego Withofa publicznie okazana, ściągnęła na niego oczy; najwyżsi panowie starali się go poznać osobiście. Ztąd na prymicyach ks. Stanisława znajdowali się senatorowie, ministrowie, biskupi, nawet sam książe prymas Teodor Potocki. Ucztę z tego powodu wyprawił w kollegium szwagier Stanisława i współdziedzic jego majątku Piotr baron de Riaucour, który każdemu z obecnych panów jakąś dał tego dnia pamiątkę. Siostry cioteczne Withofa miłe i bogate, zrobiły z tego powodu los, bo powychodziły za mąż za wysoką szlachtę, nawet i za senatorów. Stanisław postawił jeszcze ojcu (zmarłemu 7 listopada 1719 r.) kosztowny pomnik w tym kościele, który dziś się znajduje w kościele ś Jana. Sam zaś umarł bardzo jeszcze młodym, bo miał lat zaledwie dwadzieścia siedm, tutaj w kollegium dnia 10 sierpnia 1733 roku ....

Ważniejsze wypadki które się do tego kościoła odnoszą z ostatnich czasów,

są następujące. Za Korybuta odprawiły się tutaj świetne exekwije za duszę cesarzowej a bratowej jego żony Eleonory rakuszanki; kazanie miał wtedy ksiądz Adryan Piekarski, kaznodzieja nadworny, na niem był król, senatorowie i panowie (5 maja 1673 r.); nazajutrz nabożeństwo ponowiono, ale znajdował się na niem tylko Brzeźnicki piwniczy królewski, a z pospólstwa kilkanaście osób, poczem zaraz katafalk rozebrano. Za Augusta II. wprowadzono do tego kościoła nowo-kanonizowanych ś. Ludwika Gonzagę i Stanisława Kostkę, i wtedy z ambony jezuickiej najznakomitsi stolicy odzywali się kaznodzieje (1719 r, Jocher tom III. str. 509). Ale najświetniejsze swoje pamiątki co do nabożeństwa, ma kościół po-jezuicki z czasów Augusta III. Bardzo wiele do tego przyczyniło się okoliczności; najprzód, że król z królową byli oboje bardzo pobożni, i że szczególne nabożeństwo mieli do świętych zakonu jezuickiego, a szczególniej do ś. Ksawerego, którego uroczystość zawsze z wielką wystawnością w kaplicy swojej pałacowej obchodzili, a wreszcie że jezuici byli bardzo grzeczni, że mieli u siebie bractwo niemieckie i kaznodziejów niemieckich. Kiedy królestwo bawili w Warszawie na święta swoje odpustowe na ś. Ignacego albo Ksawerego, na dzień ostatniego roku, jezuici osobno ich do kościoła zapraszali. Wtedy i Marya-Józefa przyjeżdżała tutaj z córkami, i król z licznym dworem w karetach przybywał. Wtedy celebrowali najwyżsi dostojnicy kościoła polskiego, książe kardynał Lipski, książe biskup warmiński Grabowski, ks. kanclerz kor. Załuski, biskup poznański książe Czartoryski i t. d., wtedy orkiestra królewska grzmiała z partesu, a kaznodzieja nadworny ks. Kauschke prawił kazanie; wtedy śpiewano litanije o Panu Jezusie, odbywały się processye i Te Deum na podziękowanie Bogu za wszystkie dobrodziejstwa kończyło rok jeden a zaczynało drugi. Wtedy orszak świeckich znakomitości otaczał pobożne państwo w kościele i nuncyusz towarzyszył królestwu. W nowy rok jeden biskup zawsze w obec królestwa celebrował u wielkiego ołtarza, a inni biskupi wychodzili ciągle ze mszami do pobocznych ołtarzy; na nieszpory i kazanie polskie zjeżdżała sama królowa z córkami. Najswietniejszy pod tym względem był rok 1744, w którym król przeszło ośm miesięcy bawił w Polsce. W dwa lata potem za inną bytnością w Warszawie, król z żoną i dziećmi własnoręcznie zapisali się do bractwa Niepokalanego Poczęcia, założonego przez Władysława IV. (10 grudnia 1646 r.).

Suppressya zakończyła zakon jezusowy. Przed samą bullą Klemensa XIV. spaliła się wielka część zabudowań konwiktorskich na Nowem mieście, za rektorstwa Wyrwicza (19 kwietnia 1772 r.) Naruszewicz był tam podówczas professorem: jezuici u pijarów na Zoliborzu tymczasowego schronienta szukać musieli. Smutna to była przepowiednia. W skutek kassaty, wszelkie własności jezuickie w Warszawie przeszły na własność kommissyi edukacyjnej, potem Stanisław August kollegium zajął na pomieszczenie niższych urzędników dworu, za co od summy szacunkowej do ostatnich lat panowania płacił procent. Była myśl, żeby część gmachów zająć na archiwa, ale powoli obszerne sale poprzerabiano na mniejsze pokoiki i powynajmowano na mieszkania prywatne. Bibliotekę przelano do biblioteki narodowej Załuskich, aptekę puszczano w dzierżawę, a później wszystkie narzędzia i sprzęty apteczne podarowano szpitalowi ś. Ducha. W gmachach akademickich prowadzono dalej szkołę, ale już pod zarządem księży świeckich, lubo z początku sami ex-jezuici byli w niej nauczycielami, więc młodzież tak teraz jak i dawniej do kościoła uczęszczała na nabożeństwo, ale za to ceremonialność cała dawnych obrzędów i zwyczajów przepadła. Jezuici rozproszyli się po świecie, kilku ich zostało w kościele ale pod zwierzchnictwem już świeckiego księdza i tym zlecono tymczasowo dopełniać wszelkich powinności religijnych i utrzymywać porządek w nabożeństwie........

Bractwo niemieckie panowało tutaj wyłącznie do 1815 roku. Odtąd z rozporządzenia biskupa objęli kościół paulini, z obowiązkiem jednakże kapelanowania bractwu, które teraz własnością z niemi podzielić się musiało i gorzej jak podzielić się, bo poddać się zupełnie pod łaskę i niełaskę. Przeor warszawski paulinów był tutaj w kościele najstarszym, urządzał nabożeństwo, mięszał się w spra-

wy wewnętrzne bractwa, a nawet jego fundusze wziął pod swoję bliższą opiekę; jednem słowem nic bez jego wiedzy stać się teraz nie mogło; senjorowie bractwa radzi nie radzi za tytuł własności kościoła musieli przystać na wszelkie reformy ale znosili też nieprzyjemny dla siebie stan rzeczy z widocznym przymusem i czekali tylko na jaką szczęśliwą okoliczność, żeby się wydobyć ztego stanu niewoli. Rzeczywiście losy pomyślne zawiały po trzech latach, lubo chwilowo zdawało się że klęskom bractwa jeszcze nie koniec. W roku 1818 albowiem postanowiono zupełnie znieść kościół po-jezuicki, a że jednocześnie bullą kassaty zniesiony był klasztor pauliński w Warszawie, więc zakonników przeniesiono do Częstochowy, a bractwo tak umiało około siebie chodzić, że kościół po nich ś. Ducha za nowomiejską bramą, na własność mu oddano w zamian za odebrany kościół po-jezuicki, na czem naturalnie wiele bractwo skorzystało. Dnia 18 listopada spisano w protokule stan kościoła po-jezuickiego, jego fundusze i nabożeństwa. Powiedziano tam, że kościół niemający żadnej parafii i nie będący ozdobą ulicy, może być właściwiej na inny użytek obrócony. Kościół po-jezuicki oddany był katedrze, która tutaj w nim przez lat kilka miała swój skład narzędzi potrzebnych do publicznych uroczystości. Tak więc bractwo niemieckie, które rosło razem prawie z kościołem, a które po jezuitach w tym kościele wzięło spadek, rządziło się tutaj wyłącznie przez lat 37.

W roku 1828 oddano cały ten kościół na skład wełny dla banku (11 czerwca). Ruchomości kościelne wszelkie ztąd wywieziono, tak że zostały tylko mury bez okien i posadzki.

Trwało to do r. 1834, wtedy albowiem bank składy swoje wyniósł, a rząd kościół oddał na użytek pijarom (22 sierpnia), którzy się tutaj przenieśli z kollegium swego na Długiej ulicy. Znacznie budynki te uszkodzone były w murach. Więc zaraz rektor i razem prowincyał zgromadzenia, ks. Jakób Ciastowski przy wsparciu rządu, silnie się zajął odnowieniem murów, aby i na mieszkanie i do nabożeństwa mogły służyć. Pracami budowniczemi kierował Kropiwnicki. Prędko poszła robota; już w dniu 19 marca 1836 r. nastąpił przez biskupa uroczysty obrzęd rekoncyliacyi i kościół otwarty został dla pobożnych. Świątynia jak jest dzisiaj, ma dwie nawy, główną i drugą po prawej stronie, co ukazuje pewnego rodzaju nieforemność. Stare i grube mury dźwigają zbyt ciężkie gzymsy, które obok lekkości nowo-przystawionych ozdób, stanowią dosyć przyjemną dla oka całość. Nawa główna w formie prostokąta stykającego się z półkolem; budowa jej, pilastry i gzymsy w stylu korynckim, sklepienie nadzwyczaj wysokie i krzyżowe w stylu dawnym. Półkole w którem jest wielki ołtarz, zakończone rotundą cięższą od sklepienia całego kościoła, z dwoma gzymsami jeden na drugim wynoszącemi się, z oknami dla światła; ołtarz wielki ma obraz Zbawiciela, pędzla Czechowicza, odnowiony przez Blanka, który odnawiał też inne obrazy tego kościoła. Naprzeciw ołtarza chór obszerny, wsparty na dwunastu jońskich kolumnach. W nawie bocznej węższej i krótszej, w stylu doryckim zbudowanej, cztery ołtarze: Najświętszej Panny Łaskawej, ś. Józefa, ś. Jana Nepomucena i kaplica ukrzyżowanego Chrystusa; na przeciwnej stronie której wznosi się ołtarz ś. Jozefa Kalasantego, wszystkie przeniesione z dawnego kościoła. Sklepienia w nawie bocznej noszą ślady starożytności i są nasiąkłe wilgocią. Równolegle od kopuły ponad wielkim wznoszącej się ołtarzem, znajduje się wysoka wieża z dzwonami i zegarem, odnowiona przy ostatnich naprawach kościoła. Gimnazyum Załuskiego nie oddano pijarom, bo jeszcze poprzednio zajęto je na użytek publiczny i w gmachach tych pomieszczono zakłady b. uniwersytetu, które do dziś dnia tutaj się mieszczą.

NEKROLOGI.

Zmarli literaci i uczeni Polscy w 1856. Było to zawsze usilnem staraniem naszem, aby oddział *Przeglądu* poświęcony nekrologom był jak najzupełniejszym i najdokładniejszym, zwłaszcza co do rodaków. Ale właśnie w tym ostatnim względzie tkwiła zawsze największa trudność. Wiadomości o śmierci literatów i uczonych polskich, jeźli ci zamięszkiwali dalekie gubernie rossyjskie, przybywały do nas nie prędko, częstokroć bez należnej wiarogodności, a czasem zupełnie nas nie doszły. Była jeszcze inna trudność w rozwiązaniu zapytania: czyli każdy, co byle jaką książeczkę wydrukował, już ma tem samem prawo do liczenia się w poczet literatów lub uczonych. Pytanie to rozwiązywaliśmy zawsze na korzyść jak największej liczby, bo godziwiej było pobłądzić po tej jak po przeciwnej stronie. Lepiej niezasłużone przyznać zaszczyty jak pominąć milczeniem prawdziwą zasługę. Boć jakoś tak jest na świecie, że zalety i prace ludzi znajdują u powszechności najżywsze spół- czucie i gotowość do ocenienia, w chwili ich zgonu. Otóż powziąwszy teraz z rocznego przeglądu *Kroniki* Warszawskiej wiadomość o zejściu kilkunastu rodaków, o których śmierci dotąd nie słyszeliśmy, pospieszamy zapisać tu ich nazwiska.

Hilary Leonowicz Zaleski umarł 18 kwietnia w prowincyach ruskich. Znany on był w piśmiennictwie pod imieniem Klemensa Protasza. Nasi czytelnicy przypomną sobie jak z obowiązku ostro powstawaliśmy w 1850 r. i na *Gwiazdę* Kijowską, w której ten pisarz miał udział, i na osobny tom jego prac, który on wydał jakby w dalszym ciągu *Gwiazdy*. Widzieliśmy w tych pismach nader zgubne dla ojczyzny dążności, i dla tego staraliśmy się opierać im, ale to nam nie przeszkadzało w uznaniu i talentu i nauki autora. Od owego czasu umilkł on. Może sam uznał błędne koleje, po których się puścił. Dziś, uczuwamy tylko żal że tak wczesna śmierć nie dozwoliła mu wytrawniejszych dzieł po sobie zostawić. *Kronika* mówi, że odznaczał się jako myśliciel i poeta.

Antoni Żyszkiewicz, zmarły w Warszawie 22 marca, należał do najgorliwszych pisarzów katolickich.

Stefan Zenowicz, professor Krzemieniecki i Kijowski, zakończył życie na początku zeszłego roku. Znają go bliżej naturaliści nasi, a nawet i literatura z okoliczności listu, jaki do autora *Listopada* ogłosił w Wilnie o swoich pomysłach naukowych.

Kazimierz Krupski, znany w dziejach gazeciarstwa Warszawskiego z lat ostatnich umarł 1 maja.

Lesław Łukaszewicz, autor powszechnie znanego Rysu dziejów literatury.

Mikołaj Reuman, zmarły w czerwcu, urzędnik leśny w królestwie, pisał dzieła o łowiectwie, o naturze torfu *etc.* i wspierał pracami swemi pisma rolnicze.

Kazimierz Komornicki umarł w Żytomierzu 22 listopada. Artykuły jego o malarstwie drukowało niegdyż Atheneum, a rękopismów podobno wiele po nim zostało.

Kacper Garszyński, doktor prawa, sędzia trybunału płockiego, umarł 8 stycznia. W młodych leciech wydał dwa tomy Słownika Polsko-niemieckiego w Wrocławiu.

Felix Cochet drukował kilka humorystycznych ustępów pod nazwą Szczęsnego Kogucika. Umarł 20 lipca.

Władysław Jasiński, matematyk, niegdyś professor Liceum Warszawskiego. Ogłosił kilka rozprawek matematycznych. Umarł 10 lutego.

Jenerał Michał Bez-Korniłowicz, zmarły w Petersburgu 19 stycznia, wprawdzie nie pisał po polsku, ale zostawił ważne dzieło do wyrozumienia przeszłości narodowej, wydał albowiem po rossyjsku rodzaj Starożytnej Polski, poświęconej pamiątkom Białej Rusi.

Kronika czyni przytem następujące wyrachowanie: Roczna strata nasza w literatach wynosi zwykle od 25 do 30 osób. W tym roku umarło tylko 15. Z tych wypada na królestwo 6, na Poznańskie 3, (Estkowski, Koncewicz, Kotecki), na Kraków i Galicyą 2, na Wołyń 3, na Petersburg 1. Liczba jednak tu podana nie jest ściśle obrachowaną. Sprawozdawca w *Kronice* zapomniał o Tymoteuszu Lipińskim i o Janie Motty, a co dziwniejsza, pominął Kajetana Koźmiana. Pomnąc na tyle pochwalnych artykułów, które *Kronika* o tym patriarsze wieszczów naszych zamieściła, opuszczenie to nie możemy przypisać tylko chwilowemu zapomnieniu.

Kazimierz Komornicki. Do powyższej wzmianki o zgonie tego pisarza dodać należy obszerniejsze szczegóły, które późniéj taż *Kronika* umieściła. Urodził się on na Wołyniu 4go marca 1812. Ukończywszy szkoły w Krzemieńcu czas niejaki po za granicami kraju przebywał. Po powrocie ożenił się i osiadł w rodzinnéj wiosce. Miłośnik malarstwa udał się do Niemiec i zwiedził celniejsze galerye. Sam niewiele malował, ale pisywał często o sztuce. Artykuły w tym przedmiocie umieszczał w Atheneum. Następnie poświęcił się studyom historyi narodowéj i zamierzył ją opracować z punktu ekonomii politycznéj. Napisał o znakomitszych ekonomistach, o Józefie Droz, o Sismondim. Ale najgłówniejsze jego prace w tym kierunku są: *Rzut oka na rządność krajową w dawnej Polsce*, — *O wagach i miarach krajowych i zagranicznych.* Obie zostają dotąd w rękopismach. W 1853 i 1854 wspierał *Gazetę Warszawską* korrespondencyami w przedmiotach krajowych podpisując je zwykle *Z nad Teterowa.* Pod sam koniec życia, pełen zawsze gorącego uczucia i bujnej wyobraźni, wziął się do poezyi, i zaczął pisać poemat p. t. *Mstiwoj*, osnuty na tle dziesiątego wieku, zatrwożonego wróżbą końca świata. Pierwszą pieśń ukończył zaledwie przed kilkoma tygodniami, drugą na dni kilka przed zgonem. Chociaż nigdy przedtem nie pisywał rymów, wiersze jego mają być po mistrzowsku wykonane.

Józef Baron v. Hammer-Purgstall. Sławny ten orientalista umarł 23. listopada roku zeszłego, w bardzo sędziwym wieku, bo w 83. roku swego życia. Imie to europejskie nie potrzebuje komentarza. Lubo każdy zwolennik literatury zna jego dzieła, wyliczymy tu główniejsze. W 1806. ogłosił Die Posaune des heiligen Kriegs, — w 1816. Des osman. Reichs Staatsverfassung und Staatsverwaltung, — w 1819. Geschichte der schönen Redekünste Persiens, — w 1818. Umblick auf einer Reise (1804) von Konstantinopel nach Brußa etc. — tegoż roku Geschichte der Assassinen, — w 1819. Morgenländ. Kleeblat, — w 1821. Konstantinopel und der Bosphorus, — w 1827. Geschichte des osman. Reichs, — w 1836. Geschichte der osman. Dichtkunst, — w 1837. Gemäldesaal moslimischer Herscher, — w 1840. Geschichte der Mongolen in Rußland, — w 1843. Geschichte der Mongolen in Persien. Nie będziemy wspominali o jego licznych, filologicznie opracowanych wydaniach i przekładach perskich i tureckich autorów. Jednotylko wymienimy: Fundgruben des Orients, bo w niem dopomagał mu Wacław Rzewuski. Przypomnieć jednak wypada znaczniejsze wypadki jego długiego żywotu. Urodził się 9go czerwca 1774 r. w Gracu,

w Styryi gdzie jego ojciec wysoki piastował urząd. Pierwsze nauki pobierał w instytucie S. Barbary w Wiedniu, a następnie w założonéj tam przez Kaunitza akademii wschodniéj. W r. 1797. jako sekretarz komisarza nadwornego Jenischa jeździł do Dalmacyi. W 1799 wysłany został do Stambułu jako tłómacz ambassady. Internuncyusz ówczesny, Baron Habert, dał mu w następnym roku polecenie aby objechał brzegi Egiptu i Syryi i skreślił obraz tamecznych stosunków handlowych. Wojna stanęła na przeszkodzie tej missyi pokojowéj. Został więc tłómaczem na flocie angielskiéj, a zabrawszy stosunki z Anglikami udał się wkrótce do Londynu. Za powrotem otrzymał w 1802. nominacyą na sekretarza przy internuncyuszu Baronie Stürmer. W r. 1806 jeździł jako ajent polityczny do księstw Naddunajskich. Tu przyszła pora, w któréj wyłączniej poświęcił się nauce. Gdy Francuzi zabrali Wiedeń, usiłował on ocalić szacowne rękopisma Biblioteki cesarskiej, a gdy te wywiezione zostały do Paryża, wyjechał za niemi. On je to w 1815 zebrał znowu w Paryżu i ojczyźnie powrócił. Mianowany kolejno radzcą kancelaryi państwa i nadwornym tłómaczem przy tajnéj kancelaryi dworu i państwa, rzeczywistym radzcą dworu, usunął się poźniej na niejakiś czas od czynniejszego na tych urzędach życia, a oddając się naukom jeździł po Europie i zwiedzał Księgozbiory. W r. 1835. odziedziczył w Styryi majątek po hr. Purgstall i nazwisko to wraz z tytułem barona zostało mu do dawnego przez cesarza dodanem. W 1847 został pierwszym prezydentem cesarskiej akademii umiejętności, a choć tę godność po dwóch latach złożył, za rzeczywistego jej założyciela i głównego opiekuna uważanym być powinien. Był oraz członkiem wszystkich w Europie towarzystw azyatyckich, członkiem instytutu francuzkiego i niezliczonéj liczby stowarzyszeń uczonych i literackich. Z upływem lat coraz bardziej usuwał on się od służby publicznej, zwłaszcza że jakieś drażliwe niechęci panowały między nim a kanclerzem państwa Metternichem, a coraz pilniéj poświęcał się naukom, większą część roku w swoich dobrach w Styryi na pisaniu przepędzając. Oprócz dzieł o Wschodzie, mianowicie o Turcyi, które po większej części już są drukiem ogłoszone, pozostawił po sobie własnoręczne pamiętniki życia od lat najmłodszych. Obejmują one około 2000 arkuszy pisma, a przed śmiercią najdokładniej przez autora uporządkowane jakby do druku, wkrótce pewnie wyjdą na jaw, i wtedy to dopiero będzie można napisać zupełną i uczącą biografią tego znakomitego historyka i człowieka.

Stefan Cabet. Ażeby pojąć jak w jednym człowieku mogą się mieścić najdziwaczniejsze teorye, grożące społeczeństwu najkrwawszemi starciami, obok łagodnych, uprzejmych, o niemal czułych usposobień, trzeba było znać Roberta Owen w Anglii, a Cabeta we Francyi. Oba nietylko wierzyli w bezpośrednią łatwość wprowadzenia na całym świecie swych systematów, ale naiwnie się dziwili gdy im kto zarzucał, iż mogłyby być trudności lub przykre zajścia. Owen jeździł do cesarza Aleksandra w przekonaniu że po półgodzinnej rozmowie car swojem *Być po siemu* nakaże aby natychmiast cała Rossya przemieniła się w jeden olbrzymi warsztat pracowitości i miłości według planów angielskiego marzyciela. Cabet zakładał kolonie w Ameryce w mocnem przeświadczeniu że się wnet cała Francya, a nawet cała Europa za nim na drugą stronę kuli ziemskiej przeniesie. Ale kiedy Owen doczekawszy bardzo późnej starości spokojnie sobie patrzał w Anglii jak jego myśl jeszcze gdzieniegdzie pokutuje, Cabet w swych wyprawach do Ikaryi wiódł ciągle życie awanturnicze, narażone na obelgi, na razy i morderstwo z ręki zawiedzionych stronników. Wiele też już razy biegały pogłoski o jego śmierci,

zanim teraz ostatnia sprawdziła się że umarł 8 listopada (1856 r.) w St. Louis w północnéj Ameryce. Urodził się on w Dijon w 1788 r. Z razu kształcił się na prawnika. Za restauracyi spiskował, i był jednym z najwyższych dygnitarzy związku węglarskiego (Carbonari). Po rewolucyi lipcowej mianowany został prokuratorem jeneralnym w Korsyce. Wnet potem dostał się do izby deputowanych. Zasiadał na ostatecznej lewicy, lubo nie tyle politycznemi co socyalnemi trudnił się kwestyami. Gdy ujrzał jak izba nie chętnie przyjmuje jego teorye socyalistyczne, a późniéj komunistyczne, przeniósł głos swój z trybuny do prasy. W 1834. w skutek wymierzonej nań kary za przekroczenie drukowe zbiegł do Anglii. Tu z wielu Polakami zabrał stosunki i niejednemu pewnie głowę zamącił. Żył ściśle, osobliwie w 1836., z członkami tak nazwanéj Konfederacyi, którzy także musieli byli Francyą opuścić. Dla sprawy polskiej zawsze gorące objawiał uczucie. Otrzymawszy w r. 1838 amnestyą wrócił do Francyi i począł wydawać tygodnik pod tytułem: Le Populaire. Napisał także „Podróż do Ikaryi." Gdy rewolucya 1848 r. nie urzeczywistniła jego nadziei opuścił Francyą i z pewną liczbą swych stronnikow przeniósł się do Texas, gdzie nad rzeką Red założył osadę wedle swojego planu. Nadeszły przeciwności i rozczarowania. Niemi więcej niż wiekiem złamany, usunął się do St. Louis, gdzie wkrótce umarł.

Salvandy. W połowie grudnia umarł Narcyz Achil Salvandy, znany Polakom szczególniéj z tego, że był autorem dzieła *Histoire de Pologne avant et sous le Roi Jean Sobieski.* Był on jednak cenionym we Francyi nie tylko jako autor wielu innych pism, ale nadto jako człowiek stanu i minister, jako mąż prawy, pełen odwagi, a w latach ostatnich znany z stałości zasad, którą osobliwie okazał dochowując wierność i czułą przyjaźń Ludwikowi Filipowi aż do końca życia tego monarchy. Urodził się 11go czerwca 1796. Brał nauki w Lyceum Napoleońskiem, które opuścił bez wiedzy rodziców, by wejść do wojska. Służył w kampanii 1813 i 1814 roku. Otrzymał ranę pod Brienne, dosłużył się szybko stopnia adjutanta-majora, a 6go kwietnia 1814. dostał w Fontainebleau krzyż Legii Honorowéj z własnych rąk Napoleona. Gdy w 1815. musieli Bourbonowie znowu Francyą opuszczać, on ich odprowadzał aż do granicy. Po bitwie pod Waterloo napisał broszurę: *Sur la necessité de se rallier au roi.* Jego słynna w 1816. broszura *La coalition et la France* tak uraziła ambassady zagraniczne, że ministrowie musieli udać się w prośby do autora aby swe pismo cofnął. W nagrodę powolności zostal powołany w 1819, do Rady Stanu. Mimo tego wciąż wydawał rozmaite pisemka w kwestyach czasowych, a że śmiało swe myśli wyrażał, Peyronnet usunął go wreście od urzędu. Salvandy wyjechał do Hiszpanii. Wróciwszy ztamtąd ożenił się z córką bogatego fabrykanta. Odrzucając odtąd wszelkie propozycye ze strony ministrów, poświęcił się wyłącznie literaturze. W 1824. wydał: *Don Alonzo ou l'Espagne* w 4 tomach. Zaraz potem ogłosił: *Islaor ou le Barde chrètien, nouvelle gauloise.* I znowu jak gorący konstytucyonalista gromił ówczesne rządy. Za Martignaka wszedł na powrót do Rady Stanu, ale znów złożył urząd, gdy ster władzy objął Polignac. W historycznym zawodzie napisał on w tych czasach biografią Napoleona, a wnet potem naczelne swe dzieło: Historyą Sobieskiego. Pamiętne są jego wyrazy na balu u Xcia Orleanu, późniejszego Ludwika Filipa, na krótki czas przed rewolucyą lipcową: Tańcujemy na wulkanie. Po rewolucyi przyłączył się do stronnictwa, na którego czele stał Guizot. Popierał to stronnictwo i mowami w izbie deputowanych, i pismami jak następujące: *Seize mois, — Vingt mois, — Paris, Nantes et la Session.* W 1837. wszedł do rządu jako minister

oświecenia. W 1841. był ambassadorem w Hiszpanii. W 1843. otrzymał tytuł hrabiego, i wysłany został w poselstwie do Turynu, skąd wnet powrócił. W 1845. nastąpił po Villemainie jako minister oświecenia i wielki mistrz uniwersytetu. Znane są jego projekta do prawa o edukacyi narodowej, o urządzeniu szkół i uniwersytetu, w których mozolnie a z małem powodzeniem starał się pogodzić sprawiedliwe domagania się duchowieństwa z zarozumiałą dążnością Uniwersytetu do wyłącznego panowania. W prawach tych wskrzeszał on systemat Napoleoński. Również pamiętny jest opór i wymowa, z jaką przeciw nim występował wtedy hr. Montalembert. Po rewolucyi lutowéj Salvandy jeździł często do króla wygnańca i zajmował się jego interesami. Po jego śmierci krzątał się wiele około zjednoczenia (fusion) młodszéj z starszą linią Bourbonów. Przy trzeciem wydaniu Historyi Jana Sobieskiego zamieścił nową i obszerną przedmowę, która niemałą zyskała w swym czasie głośność. Umarł pono w wielkich cierpieniach po kilku operacyach na naroście który miał na karku. Polska winna mu szacunek za dzieło o Sobieskim, w którym zawsze z przychylnością mówi o naszym narodzie. Nie potrzebujemy tu oceniać téj pracy, bośmy kilkakroć o jéj zaletach i wadach wspominali, równie jak o udziale Salvandego w rzeczy publicznego wychowania we Francyi.

Paweł Delaroche. Znakomity ten człowiek, który umarł w Paryżu 4go listopada, podwójnie zasługuje od nas na obszerniejsze pośmiertne wspomnienie, raz jako sławny malarz, który osobliwie w religijnych przedmiotach dał żywszy sztuce popęd, powtóre jako stały przyjaciel Polaków. Urodził się w Paryżu 1797 r. Bez majątku i bez pomocy, musiał rzucić się za starszym bratem do malarstwa. Długo podrzędną grał tylko rolę, pomagając bratu w mniejszych szczegółach, jak w draperjach, krajobrazach, zgoła był tem co Francuzi zowią le petit frère. Kilka lekcyi wziętych u Barona Gros dały nowy kierunek i szybszy polot budzącemu się talentowi Pawła. Już w 1819 r. wymalował *Neftali na puszczy*, lecz dopiero od r. 1822. poczyna się świetniejszy jego zawód. Na wystawie tegoż roku ukazały się dwa jego obrazy: *Zdjęcie z Krzyża* i *Joas ukryty przed mordercami.* Ogólna publiczność mało zwróciła na nie uwagi, ale prawdziwych znawców zastanowiło osobliwie ostatnie dzieło. Zbliżono się do 25 letniego młodzieńca, poklaśnięto, dodano odwagi, przepowiadano mu już wielką przyszłość. W dziele tem jednak było więcéj śmiałości jak nauki, rysunek dobry, obraz zapełniony, wrażenie znaczne, ale błędów mnóstwo. Główną naprzykład postać malarz tylko do połowy widzialną uczynił. *) Około tegoż czasu wymalował obraz Danta, który mianowicie z tego względu zasługuje na wspomnienie, że okazał wielką odwagę w malarzu, który wbrew panującej dotąd regule, ośmielił się stanowcze dać pierwszeństwo draperyi nad nagością. Sława zdawała się uprzedzać jego zasługi. Z ogromnemi przyjęto uniesiéniami wszystkie jego prace dane na wystawę 1824 i 1826 r. *Sty Wincenty à Paulo, każący przed dworem Ludwika XIII. Joanna D' Arc badana przez kardynała Winchester, Filippo Lippi, Śmierć Augustyna Caracci, Prezydent Duranti, Miss Macdonald i Karol Edward*, wreście *Smierć królowéj angielskiej Elżbiety*, do dziś dnia prawie główna ozdoba galeryi w pałacu luxembur-

---

*) W ogólności, zdradzał on w tych początkowych utworach wszystkie przymioty i wady, które na późniejszych jego pracach dobitnie się wypiętnowały. Kolorysta więcéj jak rysownik, wygładzał zbytecznie swe obrazy, i każdy przedmiot głęboko obmyślając, starał się przedewszystkiem o silne i doraźne wrażenie.

skim, — wszystkie te dzieła dawały dowód niezmordowanej pracowitości i niepospolitego pędzla. Lecz najwięcej, z przyczyn zapewne czasowych, zwrócił uwagę obraz wystawiający *Wzięcie Trocadero*, odznaczający się jasnym układem i wielkim spokojem. Wielki też spokój, że nie powiemy rezerwa, oraz pewność siebie i zaufanie w przyszłość były wybitną cechą charakteru i osoby Pawła Delaroche w tej epoce. W 1828. otrzymał krzyż legii honorowéj. Lecz miejscem najwznioślejszych jego tryumfów była dopiero wystawa 1831 roku. Dość wspomnieć *Dzieci Edwarda, Richelieu, Śmierć Mazariniego, Cromwell przed trumną Karola Igo* a każdy, co te dzieła przynajmniej na rycinach widział, łatwo sobie wystawi z jakiem zachwyceniem i czcią spoglądała zdziwiona publiczność na tyle od razu arcy-dzieł. Nie można także pominąć portretu Panny Sontag, który na tej wystawie bardzo się podobał. W 1832. został Delaroche obrany członkiem Instytutu. Niezawodnie posunął on się jeszcze wyżéj w późniejszych swych pracach, ale tu się kończy jego zawód pomyślności, swobody i szczęścia. Odtąd przykrości i niesmak się poczynają. Oswojony z powodzeniem, znudzony uwielbieniami, czuł on że łatwo zdołałby utrzymać swą wziętość schlebiając przemagającemu smakowi, ale razem rozumiał doskonale, że sztuka ma inne cele, i że wznosi się oddalając od poziomu wielbicieli. Zapragnął więc zaszczytów w najwyższej malarstwa sferze, to jest w malarstwie religijnem, już nie na płótnie, ale na murze. Poduszczały go do tego docinki zazdrosnych i współzawodnictwo z malarzem Ingres. Gdy w r. 1833 rząd powołał najsłynniejszych artystów do ozdobienia freskami kościoła Ś. Magdaleny, Ingres dostał główną część, to jest absydę, a Delaroche sześć arkad nawy. Nie zraził się tem, położył tylko za warunek, że gdyby dla jakichkolwiek powodów Ingres odstąpił od swego zadania, wykonanie onego jemu się dostanie. Ażeby się lepiej przysposobić do dzieła wyjechał do Włoch w 1834 r. Wtem Ingres nie przyjmuje wezwania, a minister nie Delarachowi, który bezpłatnie ofiarował się go zastąpić, ale komu innemu wymalowanie absidy powierza. Wraca z Włoch urażony Delaroche, zrzuca się z swego przedsięwzięcia i oddaje ministrowi 25.000 fr. przeznaczone na studya przygotowawcze. Wkrótce potem otworzyła się wystawa r. 1837, ostatnia, którą Delaroche swemi obrazami zaszczycił. Wprzód jeszcze wymalował był *Ścięcie Joanny Gray*, *Ś. Amelią*, *Galileusza medytującego* i kilka znakomitych portretów. Poprzedniego roku wykończył był *Śmierć Gwizjusza*. Teraz na wystawę przysłał *Ś. Cecylię, Stafforda i Karola Igo*. Zwykłem oddziałaniem wszystkich gorących uniesień, gdy obojętność ze strony swego bożyszcza spotykają, publiczność okazała się teraz zimną, a krytyki w dziennikach więcéj jak surowe. Dojęty do głębi Delaroche, postanowił już odtąd nie przysyłać swych prac na wystawę. Niepotrzebował też większej już słynności. Imie jego stało się europejskiem, więcej ze wszystkich obcych krajów dostawał obstalunków, niżli mógł wykonać. Rząd, chcąc go znów wciągnąć do pracy dla kraju, powierzył mu do ozdobienia fraskami Półkoło w Szkole Sztuk Pięknych. Delaroche ukończył to dzieło w 1841. na nieszczęście wkrótce potem uszkodzone pożarem. Wystawił on w niem grupy mistrzów swej sztuki, a każdego wprzód mozolnie i sumiennie studyował, aby go ze wszystkiemi właściwemi mu cechami wyobrazić. Pod koniec panowania Ludwik Filip zamówił u niego cztery obrazy do Wersalu. Z tych jeden tylko, *Pierwszy Konsul przechodzący Alpy*, dokończonym został Rewolucya lipcowa przerwała dalsze prace w tej mierze. Delaroche zaczynał coraz bardziej i w swoich ogólnych przekonaniach i w sztuce skłaniać się ku religijnym przedmiotom. Było to po części skutkiem wpływu, jaki dooroczynnie na nim wywierała żona, córka Horacego Verneta. Ograniczywszy się ściślej domowem ży-

ciem, wniknął w siebie głębiej, wyrobił w sobie wiarę, i stał się tak gorąco religijnym, jak był zawsze najlepszym mężem, czułym ojcem dla swych dzieci i troskliwym panem dla sług swoich. Mało bardzo uczęszczał po towarzystwach, przekładając zawsze polskie nad inne. Śmierć żony, prawdziwego anioła dobroci i wiary, sposępniła mu resztę żywota. Uwiecznił on jéj rysy w obliczu Ś. Elżbiety Węgierskiej i w postaci wyobrażającej sztukę gotycką w freskach zdobiących salę Szkoły sztuk pięknych. Po rewolucyi lutowej wymalował jeszcze sławny obraz *Żyrondziści prowadzeni na śmierć z Conciergerie i Królowa Marya Antonina na śmierć skazana.* Ze scen rewolucyjnych, jak dawniéj wymalował *Zwycięzców Bastylii*, tak teraz począł obraz wystawiający *Elżbietę w Conciergerie*, ale go niezdołał przed śmiercią wykończyć. Ale najważniejszemi z tych prac przedśmiertnych są obrazy jego religijne. Pomijając *Złożenie Chrystusa z krzyża*, wspomnimy w kilka słowach o dwóch, które są jakby jego testamentem. Co za śliczna myśl w tej *Młodej Męczennicy!* Ukatowane jéj ciało, rzucone do Tybru, pływa po wodzie. Ojciec i matka stoją nad brzegiem i chociaż noc ciemna poznają córkę, bo koło lekko wzniesionéj głowy męczennicy zatacza się światło jakby aureolą i po falach rozpływa. W drugim pomysł równie szczęśliwy i szczytny. Artysta wyobraża w nim Najświętszą Pannę, święte niewiasty i Apostołów zgromadzonych razem w izbie w chwili gdy Chrystus pod oknami przechodzi, upadając pod krzyżem, na Golgotę. Scenę tę zewnętrzną, malarz tylko domysłowi zostawił, bo przez okno widać zaledwie znak rzymski i kilka pik przeciągającego pochodu. W biednej izdebce Ś. Piotr i Ś. Jan, zdjęci boleścią, spoglądają z ukrycia na drogę męki. Najświętsza Panna upada na kolana i wyciąga ręce ku swemu boskiemu synowi. Ś. Magdalena i inne niewiasty, nieco ukryte w cieniu, gną się pod cichszą, że tak powiemy, boleścią, żeby serca matki jeszcze bardziej nie rozkrwawiać. Ale żadne słowa nie zdołają oddać i ogólnego wrażenia i pojedyńczych zalet tego dzieła. Miało to być dopiero początkiem szeregu obrazów męki Pańskiej. Delaroche malował wiele portretów. Z tych znakomitsze są: Xięcia Adama Czartoryjskiego, Thiersa, Jenerała Bertrand, Guizota, Napoleona w gabinecie, Xięcia Angoulême (1826), pani Delfiny Potockiej, Xiężny Beauvau. Jeźli można co zarzucić tym wizerunkom, to że są za nadto idealne. Ale jeźli mniej w nich siły, to natomiast posiadają one jakiś tęskny spokój który im dziwny urok nadaje. Malował on także portrety swojej żony, i swych dwóch synów, Horacego i Filipa. Oba ci synowie są wielkimi przyjaciołmi Polaków. Ojciec znał ze źródeł francuzkich historyą i literaturę naszą, a syn Horacy dobrze umie po polsku i posiada tak znakomitą biegłość i smak co do piśmiennictwa naszego, starego i nowego, jakim nie każdy z rodaków poszczycić się może. W ostatnich latach Delaroche żył, jakeśmy już powiedzieli, najwięcej z rodzinami polskiemi. Szczególniéj lubował w gościnnym domu Xnéj Marceliny Czartoryjskiéj, gdzie znajdował pociechę w smutkach i zachętę do prac dalszych. Miał niespełna lat 60 gdy umarł.*)

---

*) Nie wiadomo nam czy wiele jego utworów, oprócz portretów, znajduje się w zbiorach naszych rodaków. Hr. Atanazy Raczyński posiada w swéj galeryi obraz jego wystawiający Pielgrzymów zebranych na placu Ś. Piotra w Rzymie.

SPRAWY PUBLICZNE.

Roczne posiedzenie w Zakładzie Naukowym imienia Ossolińskich we Lwowie.

Zakład ten, dziś pod względem literackim i naukowym może najważniejszy na ziemi polskiéj, znajdował się przez lat wiele w smutnem nader położeniu. Stan jego funduszów gmatwał się i pogorszał, zbiory nie pomnażały się albo marniały coraz większym nieładem, żadne porządniejsze dzieło jego nakładem nie wychodziło, uczeni i literaci zdawali się chronić od wszelkiego w nim udziału, a te drobne i cząstkowe oznaki życia, które w nim od czasu do czasu z wielkiem wysileniem się objawiały, jeszcze dobitniej zdradzały jego niemoc i chylenie się ku upadkowi. Wszystko jednak na lepsze się zmieniło, odkąd Hr. Maurycy Dzieduszycki został kuratorem, August Bielowski dyrektorem, a Szajnocha kustoszem Biblioteki zakładu. Od lat też trzech uwaga publiczna z wielkiem zajęciem pogląda ze wszystkich kończyn Polski na prace i zabiegi rodaków podnoszących to szacowne spadkobierstwo po Ossolińskich. My, którzyśmy podczas złej dla zakładu doby starali się wedle słabych sił naszych wspierać go i dodawać mu otuchy, tem mocniej się teraz radujemy z jego poczynającej się pomyślności, i tem większe jeszcze na przyszłość rokujemy mu nadzieje. Że zaś te nadzieje nie na wątłej stoją podstawie, to okaże następujące sprawozdanie z ostatniego rocznego posiedzenia w pomienionym zakładzie.

Posiedzenie to odbyło się 13go października, w obec Namiestnika Galicyi Hr. Gołuchowskiego, Księdza Arcybiskupa Baranieckiego, wielu innych dostojnych osób, literatów, uczonych i licznie zgromadzonej publiczności, między którą bardzo wiele młodzieży szkolnej się znajdowało. Hr. Maurycy Dzieduszycki, który jak wiadomo, zastępuje w kuratorstwie Xięcia Jerzego Lubomirskiego, kuratora naznaczonego aktem fundacyjnym, zagaił uroczystość wyliczeniem zasług Ossolińskiego, i odczytał roczne z zarządu Zakładem sprawozdanie, z którego kilka wyjątków przytaczamy:

Gmach, w którym się dzisiaj mieści Zakład Ossolińskich był w r. 1637 siedzibą Karmelitanek trzewiczkowych. Kościół był poświęcony Ś́tej Agnieszce, a roku 1671 utwierdził go i uposażył Alexander ostatni z Xiążąt na Ostrogu Zasławskich. Po zniesieniu tego klasztoru w r. 1782, umieszczono tam oddział jeneralnego seminaryum, obejmujący alumnów łacińskiego obrządku, a przeniosłszy tychże na inne miejsce, obrócono budynki w 1792 na magazyn i piekarnię wojskową. Po tylu przemianach przyszedł nareście i ogień, i dwa razy w 1804 i w 1812 tak miejsca te nadwątlił, że zupełnie odtąd opuszczone zachowały po dziś dzień nazwę *Spalonego Magazynu*, lubo od Ossolińskiego już 16 Sierpnia 1817 nabyte, zaraz po jego śmierci zaczęły się odpowiednio celowi urządzać i rozszerzać. Stanowcze prace rozpoczęto w 1827 według planu budowniczego Nobili, lecz odstąpiono od tegoż w roku następnym, przyjmując nowy plan Józefa Bema, według którego pomału, a od 1840 raźniej prowadzono roboty, ukończone dopiero w 1852.

Przy pierwszem sprowadzeniu do tego gmachu zbiorów zakładowych z Wiednia i ze Zgurska w 1826 r. liczba ksiąg i broszur przechodziła zaledwie 35,000, a dziś sama ilość dzieł dochodzi 48,000, a tomów 80,000; rękopismów było około 700, dziś 1367; rycin 1,445, dziś 5,241, atłasów i mapp 133, dziś 316,

malowideł 26, dziś 347, dyplomatów ledwie trzydziesci kilka, a taraz 618; rzeczy muzealnych i archeologicznych kilkadziesiąt, a obecnie 341, nieznaczna garstka autografów wzrosła do 2,170, medalów i monet liczono wtenczas tylko 1,028, a teraz posiada zakład samych polskich unikatów 2,016, zagranicznych zaś do 8,000. Najsilniéj wsparł bowiem te zbiory pierwszy ich literacki kurator: książę Henryk Lubomirski, wcielając do nich pod imieniem: *Muzeum Lubomirskich* największą cześć domowych swych obrazów, rzeźb, dzieł sztuki, rzadkości numizmatycznych i starożytności w łącznej ilości 2,033 przedmiotów."

Do szlachetniejszych obywateli, którzy nietylko zbiory datkami pomnożyli, ale i fundusz pierwotny zapisami powiększyli, należą: Marcela z hr. Bielskich hr. Worcellowa, Wincenty Kopystynski, Józef Pawlikowski, Franciszek hr. Chołoniewski, Józef Neronowicz, Eugeniusz Brodzki i Aleksander hr. Stadnicki.

Fundusze zakładu nienaukowe (w nieruchomościach) wynoszą przeszło 344,000 złr. (1,376,000 złp.); w tym roku zostały pomnożone przyznanym za zniesione w Rakowcu (majątku funduszowym) urbarjalne powinności (pańszczyznę, czynsze i t. p.) kapitałem 10,841 złr. 5 kr. (przeszło 43,200 złp) wartości nominalnéj z roczną rentą 542 złr. 3 kr. (przeszło 2100 złp.) przyczém spłacono zaległości od 15 maja 1848 kwotę 609 złr. (2400 złp.) Prawie współcześnie przysądziła krakowska komisya indemizacyjna z tegoż tytułu dobrom funduszowym w tarnowskim i bocheńskim obwodzie leżącym kapitał 85,913 złr. (przeszło 343,000 złp.) z roczną rentą 4295 złr (przeszło 16,000 złp.) zkąd wprawdzie nie przybywa zakładowi bezpośrednio żaden dochód, lecz na każdy sposób mocniejsza przyszłości podstawa, bo większa pewność pobierania rocznych 6000 złr. (24,000 złp.) na utrzymanie biblioteki, a 1000 złr. (4000 złp.) na tworzenie funduszu zapasowego, ustawą założyciela zabezpieczonych. Że zaś zarząd temi funduszami odpowiada zupełnie jego zamiarom, to uznał wydział stanów wydanemi za lata przeszłe urzędowemi świadectwami, a z przedłożonych już za rok 1855 podobnychże rachunków, poweźmie zapewne podobne przekonanie. Odpowiadając zaś wyraźnemu téj nadzorczéj władzy życzeniu: aby obmyślonym został prościejszy sposób rachunkowości ułatwiający przegląd funduszów, przychodow i wydatków, niemniéj, kontroli pojedyńczych gałęzi, przedłożono już w lipcu t. r. wszechstronnie wypracowany projekt nowéj w tym duchu instrukcyi do zatwierdzenia.

Pieniężne dochody wpływają należycie z wyjątkiem dwóch źródeł. Jednym jest zapis Eugeniusza Brodzkiego na Borkach wynoszący 180 dukatów rocznie, uwikłany w trwający dotąd proces, co tamuje porządne uiszczanie należytości, a tylko częściowe ich wydawanie z depozytu sądowego możliwem czyni, tak, że w obecnéj chwili zaległości zakładu wynoszą 4312 złr. (przeszło 25,000 złp.). Drugiem zatamowaaiem rocznego dochodu 25 dukatów jest proces wytoczony od spadkobierców ś. p. Wincentego Kopystyńskiego w celu zaprzeczenia téj spłaty nadal, proces także nierozstrzygnięty, przez co zaległość wzmiankowana wzrosła już do ilości 100 dukatów.

Wydatki tegoroczne na cele naukowe wymienił zdający sprawę następujące: na książki 1076 złr., na rękopisma 53 złr., na obrazy 64 złr., ryciny i rysunki 45 złr., numizmatykę 116 złr., na mappy 30 złr., na oprawę 34 złr., więc ogółem 1420 złr. (czyli 5680 złp.) nie licząc parę set złr. na pisma peryodyczne i gazety. Dodawszy tę kwotę do kosztów drugiego tomu Lindego wynoszących 3761 złr. (przeszło 14,600 złp.) pokazuje się że wyłożono na cele naucowe 5182 złr. (20,728 złp.)

Czynnością zakładu najważniejszą było w tym roku wydanie drugiego tomu słownika Lindego. Obejmuje on głoski *G* do *L* włącznie na 87 przeszło arkuszach, przyczem korzystano z nadesłanych w roku preszłym na kilku-set-arkuszach spisanych sprostowań i dodatków samego autora. — W 466 przeszło miejscach poczyniono trafniejsze słów objaśnienia, poprawniejsze przykłady, zastosowania i cytaty z zajlepszych źródeł, lub nowe zupełne wyrazy, a w 206 miejscach nowe

własne sprostowania i wydatki, które niezbędnemi uczyniły napotykane pomyłki lub braki w pierwotnym tekscie Lindego. Pomagali urzędnikom zakładu w tej pracy: hr. Jan Załuski, Djonizy Zubrzycki, Jan Wagilewicz, Stanisław Przyłęcki i Jan Szlachtowski.

Przybyło do zbiorów instytutu: książek i broszur ogółem 416 dzieł w 783 tomach i zeszytach (między temi 225 dzieł w 417 tomach darowanych), rękopismów 21 (dwa darowane), autografów darowanych dwa i tyleż przez zmianę, mappa jedna wielka 20to arkuszowa w drodze prenumeraty, obrazów olejnych kupiono dwa, rycin i rysunków przyrosło darem 38, kupnem 15, przez zamianę 1, razem 54; rzeczy muzealnych sztuk 7, medalów i monet z przykupna 62, darem 6, razem 68, między któremi dwie nader rzadkie sztuki złote, srebrnych 52.

Uporządkowaniem i opisaniem polskich numizmatów zajmował się ksiądz Jan Stopnicki i ukończył takowy. Prof Jacek Łobarzewski zaś urządza i opisuje zbiór mineralogiczny, a że ta praca jest właśnie na ukończeniu, więc wkrótce będzie ten zbiór otworzony dla publicznego użytku. Zawiera się w nim około 640 exemplarzy wyborowych minerałów i około 500 exemplarzy skał krajowych zebranych przez uczonego Zeisznera. Prócz tego posiada instytut około 280 exemplarzy najpiękniejszych małżów.

Między najcelniejszemi ze świeżo nabytych dzieł, są: *Aretinus Leonardus* de Bello Gothorum wyd. w 1507 bez m. w.; *Palingenius* Zodiacus vitae w Bazylei 1552. *Herodoti* libri novem. Baz. 1541 i kilka innych. Wykaz czytających w czytelni zakładu, między którymi najwięcej było szkolnej młodzieży jest następujący: W r. 1855 było w październiku czytających 341, w listopadzie 747, w grudniu 607, w r. 1856 w styczniu 740, w lutym 919, w marcu 903, w kwietniu 877, w maju 574, w czerwcu 587, w lipcu i sierpniu była czytelnia dla wakacyi i uporządkowania zamkniętą, we wrześniu zaś było 569, a w październiku do dnia posiedzenia (t. j. 13go) 230, ogółem prawie 7100, co czyni, odliczywszy miesiące wakacji, niedziele i święta, w przecięciu dziennie 28 czytających.

Po kuratorze przemówił dyrektor Zakładu August Bielowski i zdał sprawę ze świeżo odbytej podróży naukowej, i z poszukiwań historycznych w bibliotekach berlińskiej, drezdeńskiej, mnichowskiej i wiedeńskiej:

Każdy naród (ozwał się mówca) podpadał różnym przygodom, które korzystnie lub nie korzystnie na byt i oświatę jego wpływały. Nasz odznaczał się od dawna bohaterskiemi czynami i zasłużył się nie mało ludzkości; co się atoli tyczy naukowych jego pomników, pochodzą one z czasów późnych; nie dla tego jakobyśmy w tym względzie mniej pracowali, i dawniejszych zgoła nie było, lecz że zostały bądź całkiem zatracone, bądź przechowane tylko w późnych i mylnych odpisach. Dzieła ducha ludzkiego, jak i dzieła rąk potrzebują do swego utrwalenia pewnej ochrony, bez niej nikną bez śladu i potomność o nich nic nie wie. Ochroną taką dla dzieł piśmiennych jest teraz druk, dawniej ochraniały je mury przed pożarem i ręką nieprzyjaciela. Kazimierz Wielki opasywał drewniane grody nasze murami, i ten król kładł kamień węgielny świątyni nauk, akademii Krakowskiej, którą wnuczka jego uposażyła, a dokonał dzieła Jagiełło. I oto tym królom i ich czasom zawdzięczamy, niemal wszystko, co z dawniejszej przeszłości naszej dla dziejów ocalało. Najmniejsze nasze pomniki przechowały się tylko w odpisach tych, które w wieku piętnastym po większej części uczniowie akademji Krakowskiej sporządzali, a najstarsze nie przechodzą za czasy Kazimierza Wielkiego. Jeśli po za ten okres sięgniem do wieku 13go, tedy na całej przestrzeni od Karpat aż po Baltyk i Dniepr nieznajdziem więcej jak kilka ćwiartek pojedyńczemi zdarzeniami dziejowemi zapisanych, które się w murach kapituły Krakowskiej między księgami kościelnemi przechowały. Dalsze trzy wieki narodowego bytu naszego, mianowicie 10ty, 11ty i 12ty przedstawiają się pod tym względem oku dzisiejszego historyka, jak biała karta, na której ręka spółczesna ani jednej głoski nie spisała.

Ale dość liczne z owych wieków pomniki, nas bezpośrednio dotyczące,

przechowały się u narodów głębszej Europy, które miały oświatę wczesną, dostatniejsze środki jej zabezpieczenia i byt nierównie mniej od naszego, napadami hord barbarzyńskich kołatany. Łączyły ich z nami różne związki, które na ówczesną naszą historję nie małe światło rzucają, a najważniejszym z nich jest chrześcijaństwo i dzieje pierwszych naszych apostołów.

Chęć poznania bliżej tego rodzaju pomników była mi powodem, że korzystając z przyzwolenia przez szanowną kuratorją i wysokie namiestnictwo najuprzejmiej mi udzielonego, zwiedziłem niektóre znaczniejsze biblioteki. O nich pokrótce napomknę.

Tu opowiedział mówca główniejsze osobliwości, które po różnych bibliotekach widział. W końcu zaś odczytał w przekładzie polskim żywot Św. Wojciecha przez siebie w jednym z rękopismów bibljoteki królewskiej w Monachium wykryty. Wpisany on jest tamże ręką z IIgo wieku, kodex w którym się znalazł pochodził z dawnego klasztoru Benedyktynów w Tegernsee.

Żywot ten różni się zupełnie od znanych dotąd spółczesnych żywotów tego świętego, mianowicie od tak zwanego kanaparza i od Brunona. Autor jego podobno Benedyktyn, pisał go, jak się zdaje, około roku 1002, według opowiadania świadków naocznych i z wielką dokładnością podał szczegóły męczeństwa tego świętego i sprowadzenia zwłok jego do Polski.

Pokazał także p. Bielowski *facsimile* własnoręcznego pisma Św. Wojciecha podług autografu zachowanego w jednej z bibliotek przez niego zwiedzanych.

Nakoniec zabrał głos p. Karol Szajnocha i odczytał bardzo zajmującą, acz pewnie nie wszystkich jeszcze przekonywającą rozprawę: Jak rozumieć należy wzmiankę Marcina Galla o łaźni, którą Bolesław Chrobry miał niektórym sprawiać? Nie możemy lepiej zakończyć tej wzmianki o ostatniem posiedzeniu członków Zakładu imienia Ossolińskich i dać gruntowniejszego wyobrażenia ile musiało być zajmującem, jak przytaczając tu prawie całą rozprawę p. Szajnochy:

Nie trudno tedy zmiarkować, — (mówi on po orzeczeniu że uderzenie orężem w złotą bramę kijowską, równie jak targanie za brodę, wspominane u kronikarzy, w symbolicznem tylko znaczeniu brać należy), że i owa łaźnia Bolesława Chrobrego miała raczej symboliczne niż rzeczywiste znaczenie. Uchodzi ona powszechnie za akt kary cielesnej, a któż zechce wierzyć naprawdę, iż potężny i wielce przykładny król jak Bolesław, własnoręcznie chłostał poddanych. Ale wpatrzmy się sami w opis tej ceremonii, jak on pierwotnie opiewa u kronikarza [1]).

Czytamy najprzód o wspaniałej uczcie u dworu: siedzą za stołem król, królowa i dwunastu najznamienitszych magnatów kraju, „przyjaciół i doradzców" Bolesławowych, wraz z małżonkami swojemi. Wielka radość w kole godowem! Toczą się różne rozmowy o wypadkach publicznych, zdarza się wzmianka o wino-

---

1) *Martini Galli Chronicon, ed. Bantk.* 1824 *p.* 68. *Eadem ergo hora pro captivis illis, per mulieris prudentiam vitae reservatis, cum equis plurimis mittebatur et eunttbus redeundi terminus ponebatur. Nunc vero laetitia multiplex illis residentibus accrescebat, cum regina regis honorem ac regni utilitatem sic sapienter observabat, et rex cum amicorum consilio, de suis petitionibus audiebat. Illi autem, pro quibus missum fuerat, venientes non statim regi, sed reginae praesentabantur, qui ab ea verbis asperis et levibus castigati, ad regis balneum ducebantur, quos rex Boleslaus sicut pater filios, secum balneantes, corrigebat, eorumque progeniem memorando collaudabat: Vos, inqutt, tanta, vos, tali prosapia exortos, talia committere non decebat. Aetate quidem provecciores verbis tantum, tam per se quam per alios castigabat in minoribus vero verbera cum verbis adhibebat, sique paterne commonitos ac indumentis regalibus adornatos, doctis, muneribus, collatisque muneribus, honoribus, ire domum cum gaudio permittebat.*

wajcach zacnego rodu, którzy dopuścili się czynów niegodnych, i zostali za to skazani na śmierć. Przez wzgląd na zasłużonych krajowi przodków, żałuje Bolesław wydanego wyroku, który wspomnieniem swojem zasępił radość biesiady. Wtedy odzywa się z przymileniem królowa: czy chętnie przystałby król, iżby jakiś święty wskrzesił straconych? Bolesław odpowiada łaskawie, a królowa powstaje z miejsca i wraz z dwunastą „przyjaciołmi i doradzcami" korony, pada do nóg królowi. „Powstrzymałam — mówi — wykonanie wyroku, i proszę teraz „o życie winowajców, którzy pod ścisłą zostają strażą." Bolesław ściska królowę, i podniósłszy ją z ziemi, pochwala miłosierny uczynek.

„Zaczem tej samej chwili — ciągnie kronikarz dosłownie dalej — spieszą „wysłańcy po winowajców, z rozkazem co rychlejszego powrotu. Królewscy tym„czasem biesiadnicy oddają się tem żywszemu weselu, ile że się okazało dowodnie, „jak mądrze królowa umie przestrzegać sławy króla i pożytku królestwa, i jak ła„skawie krol przychyla się do życzeń małżonki i przyjaciół. Ci zaś, po których „gońców wysłano, muszą za przybyciem stawić się najpierwej nie przed królem, „lecz przed królową od której surowemi i łagodnemi skarceni słowy, bywają pro„wadzeni do łaźni króla. Tam Bolesław kąpiąc się z nimi, upominał ich jak oj„ciec własnych synów, a wychwalając pamięć ich przodków, przemawiał do nich: „Wy tak zacnego rodu potomki, nie powinniście byli dopuszczać się takich spra„wek! Przyczem starszych tylko słowami, bądźto sam, bądź przez innych stro„fował, u młodszych zaś razy do słów przydawał. A upomniawszy ich po ojco„wsku i królewskiemi przyozdobiwszy ich szaty, i darami ich zaszczyciwszy, ow„szem do wyższego stopnia godności podniósłszy obdarzonych, pozwalał im z ra„doścą powrócić do domu."

Oto pierwotne brzmienie powiastki, która później w tak powszechne weszła przysłowie. Odtrąćmy niektóre przydatki poetyczne, a dostrzeżemy następujących głównych rysów zdarzenia:

Odbywa się wielka uczta u dworu.

Przeznaczeni do łaziennej ceremonii młodzieńcy znajdują się pod strażą.

Król ma do nich przemowę w łaźni.

Po kąpieli i przemowie następuje własnoręczne uderzenie przez króla.

Za tem idzie przyodzianie w szaty królewskie i obdarzenie upominkami.

Kończy się obrzęd podniesieniem młodzieńców do wyższego stopnia godności i wesołym powrotem do domu.

Za darowaną im karę śmierci, za łaskawe przebaczenie sprawy gardłowej, są to aż nazbyt hojne, zaprawdę, przeprosiny. Z całej owszem powiastki widać, iż mniemana chłosta łazienna przynosiła więcej chluby niż szkody, była raczej wyszczególnieniem niż karą. Któż nawet wie, czy nie miała ona przypadkowo symbolicznego znaczenia jakiejś czci wyrządzonej, również opacznie zrozumianej przez kronikarza, jak on opacznie wytłumaczył sobie owo uderzenie orężem w bramę, owo dotknięcie brody? Należałoby tylko przekonać się, czy w historyi innych narodów nie słychać o podobnym szczególe obyczajowym? czy też gdzieindziej nie sprawiano także łaźni podobnej?

I rzeczywiście przypomina się nam taka zaszczytna łaźnia wielekroć za granicą. Jestto uroczysta kąpiel, brana niegdyś przez szlachetnych młodzieńców przed pasowaniem rycerskiem. Nie towarzyszyła ona wprawdzie każdemu obrzędowi tego rodzaju, lecz w bardzo wielu wypadkach, osobliwie zaś w pierwszych czasach rycerstwa poczytywano ją za najpamiętniejszy symbol święcenia rycerskiego. „Każ Alberyku" — mówi w dawnym poemacie rycerskim król francuzki do marszałka swojego:

Każ Alberyku, w usług twych nagrodę,
Przyrządzić łaźnię i skąp w niej synowca;
Chcę go rycerskim przyozdobić pasem. —
Kazał więc kąpiel przyrządzić marszałek,
I wsadził w wannę zacnego młodzieńca
Na czas niedługi......1)

---

1) Ducange *Glossarium mediae et infimae latinitatis.* Parisiis 1733. I. 735

Nie innym to sposobem dostąpili np. zaszczytu rycerskiego książe normandzki Goffed, sycylijski król Ludwik II [1]), i mnodzy niższego rzędu młodzieńcy. Osobliwie w Anglii były takie łaźnie rycerskie od najdawniejszych czasów w zwyczaju. Poprzedzał je i kończył szereg rozmaitych obrzędów i ceremonij przestrzeganych z największą akuratnością, według osobnych przepisów, które podziś dzień istnieją w archiwach starodawnych [2]). U dworu królów angielskich doszło pasowanie po kąpieli solennej do tak wysokiego znaczenia, iż powstał tam osobny zakon rycerzy tego rodzaju, tak zwany zakon i order „Łazienny," istniejący po dzień dzisiajszy. Król Henryk IV. umocował go w XIV. wieku nowemi statutami, a początkiem swoim ma on sięgać czasów króla Alfredra W., t. j. o wiele dawniejszych od Bolesława.

Tyle co do kąpieli: pozostaje wytłumaczyć podobnież znaczenie chłosty. W tym względzie natrąca się samo przez się uderzanie przy pasowaniu rycerskiem. Trzykrotny raz orężem po ramieniu lub plecach, i używany przy takiej okoliczności policzek, tak zwany „policzek rycerski," „ostatni w życiu rycerza" [3]), mogły nieobeznanym z ceremonią prostaczkom wydać się naprawdę karą cielesną Powtórzyła się owa fałszywa wersya kopii i brody: obraz wzięto za rzeczywistość. Przypuszczając zaś tak symboliczne znaczenie łaźni i chłosty, tych dwóch głównych rysów zagadkowej ceremonii Bolesławowskiej, postrzegamy całą ceremonią w istocie niczem innem, jak tylko udzieleniem znamienitego zaszczytu, starożytną formą święcenia rycerskiego.

W uderzający też sposób zgadzają się z takiem pojęciem rzeczy wszystkie inne okoliczności aktu naszego, wyszczególnione powyżej. Rozczytajmy się tylko w dawnych opisach uroczystości przyozdobienia pasem rycerskim [4]), zbyt szerokich do powtórzenia tu szczegółowo i znanych zresztą w znacznej części zkądinąd, a przekonamy się sami o następujących znamionach dalszej tożsamości obrzędów.

Jak przy każdem pasowaniu rycerskiem, tak i w opisie łaźni Bolesławowskiej czytamy najprzód o wielkiej uczcie dworskiej, towarzyszącej zwyczajnie obrzędom tego rodzaju, osobliwie w główne święta doroczne, a najosobliwiej w Zielone Świątki.

Jak młodzieńcy Bolesławowscy, tak i wszyscy aspiranci do stopnia rycerskiego, przebywali poprzednio pewien rodzaj więzienia [5]), t j. musieli bądźto w kościele, bądź gdzieindziéj, czuwać noc całą, przygotowując się postem i modlitwą do aktu uroczystego.

Jak młodzieńców Bolesławowskich prowadzono najpierwej przed królowę, tak i wszyscy przeznaczeni do pasowania giermkowie, stawali zwyczajnie najprzód przed obliczem królowej i panien dworskich, albo jakichkolwiek dam innych, które z wielką uroczystością stroiły ich do obrzędu.

Jak skąpani już młodzieńcy polscy otrzymywali w upominku „szaty królewskie i różne inne dary;" tak jednym z głównych warunków przyozdobienia pasem rycerskim było zaszczycenie nowego rycerza „darami królewskiemi," stanowiącemi główne znamie rycerstwa, t. j. pasem, żupanem karmazynowym, łańcuchem, ostrogami złotemi, tarczą herbową.

Jak wreszcie młodzieńcy Bolesławowscy wracali do dom „z podniesioną do wyższego stopnia godnością" tak też każdy z nowych rycerzów dostępował swojém pasowaniem najwyższéj wówczas godności świeckiej, dającej mu nawet pierwszeństwo przed królem niepasowanym, a zbliżającej go poniekąd do godności kapłaństwa [6]).

---

[1]) Ducange *Glossarium modiae et infimae latinitatis.* Parissis 1733. I. 735.
[2]) Tamże I. 736. [3]) Tamże I. 266. 267.
[4]) N. p. w Ducange'a Glossarium pod wyrazem „*miles*" i w Sainte-Palaye *Mémoires sur l'ancienne chevalerie.* Paris 1781. Tom I. 65 — 146.
[5]) Galli *Chron.* 67 *sub custodia.*
[6]) Sainte Palaye *Mémoires* I. 68. 115.

Wszystkie tedy okoliczności utwierdzają w domyśle, iż sławna łaźnia Chrobrego była symbolem zaszczytu udzielonego. Nie brak owszem innych jeszcze skazówek, przyświadczających podobnemu pojęciu rzeczy. Jedynie takiém wytłumaczeniem aktu zagadkowego, tłumaczymy sobie oraz niektóre inne wzmianki kronikarskie o czasach Bolesława Chrobrego, albo niedostatecznie zrozumiałe inaczéj, albo niedość wiarogodne bez związku z innemi wzmiankami pokrewnej treści.

I tak np. mówi ten sam Marcin Gallus w innêm miejscu swojéj Kroniki, iż który z rycerzów nabył sławy i zaszczytów u dworu, ten bywał nazywany ,,synem królewskim,“ *non miles ille sed regis filius vocabatur* [1]). Jestto właśnie znany tytuł rycerski *filius armorum* [2]), którym świeżo pasowanych, czyli, jak inaczej jeszcze mówiono, *adoptowanych* [3]) rycerzów, zaszczycali książęta pasujący czyli adoptujący.

Z innej kroniki, z Długoszowej, dochodzi nas wiadomość, iż w kilkanaście lat po przyjęciu chrześciaństwa przez Mieczysława, t. j. właśnie za czasów Bolesława Chrobrego, zaprowadziła szlachta polska pobożny zwyczaj wydobywania oręźów przy ewangelii podczs mszy świętej, co miało świadczyć o gotowości do obrony wiary Chrystusa [4]). Owoż byłto właśnie powszechny zwyczaj starożytnej szwaleryi, o którym jedno z najgruntowniejszych w tej mierze dzieł opowiada: ,,Dawni rycerze wstawali przy ewanielii i trzymając wydobyte oręże w ręku, okazywali się gotowemi do ciągłej walki za wiarę [5]). Upowszechnienie się tego zwyczaju w Polsce Bolesława Chrobrego jest przeto dalszym dowodem istnienia uorganizowanéj za jego czasów szwaleryi.

Tenże sam Długosz donosi nieco późniéj, iż w kilkanaście lat później po śmierci Bolesława Chrobrego, przyjęła szlachta polska zwyczaj ostrzygania włosów okrągło powyżej uszu, jakoby w pamiątkę mnichostwa Kazimierza Odnowiciela [6]). Wpatrzmy się jednakże w szczegółowe opisy rycerstwa starożytnego, a postrzeżemy z niemałem zadziwieniem, że i to podstrzyganie czupryny należało do głównych obowiązków przykładnego rycerstwa. Chciało ono okazać tém posłuszeństwo dla przepisów kościelnych, zalecających skromność w odzieży i sposobie noszenia włosów, cenionych jeszcze z czasów pogaństwa jako zaszczytna niegdyś odznaka stanu, i z nadzwyczajną przeto wykwintnością pielęgnowanych. Ztąd jak duchowni tak i rycerze wzorowi nosili krótko obcięte włosy, a wyrażenie się ,,ostrzyżony obyczajem szwaleryi“ [7]), użyte np. o jednym z rycerzów króla francuzkiego Ludwika św., miało powszechnie zrozumiałe znaczenie.

Zbierzmyż te pojedyncze wzmianki obyczajowe z czasów Bolesława Chrobrego, i przenieśmy je na jednego z owych skąpanych przezeń młodzieńców, a cóżto za obraz urośnie wtedy z tych rysów? Oto stanie przed nami możny, rodowity młodzieniec, który przebył ceremonią łaźni u dworu, którego król uderzał podówczas własną ręką, który otrzymał wtedy honorowe szaty królewskie, który podczas mszy świętej wyciąga oręż przy ewangelii, który nosi krągło obcięte włosy, który wreszcie nazywa się ,,synem królewskim.“ I spytajmyż któregokolwiek ze znawców starożytnego rycerstwa w Europie, kto jest ten młody wojownik? a usłyszymy: rycerz według wszelkich przepisów.

Przypuściwszy zaś rzeczywiste istnienie takiej wówczas postaci, odsłaniamy sobie wcale nowy pogląd na epokę Bolesława Chrobrego. Była ona o wiele

---

1) Galli *Chron.* 75

2) Ducange *Glossarium:* IV 734, Sainte-Palaye. I. 345—346,

3) Ducange *Glossar:* IV 734. I. 150.

4) Długosz Histor. II, 105. Podobnież jeszcze wcześniej Komentarz przy Kronice Kadłubka, w załączeniu do II tomu Długosza, str. 643. *Lechitae olim ob Zelum in Deum et verbum Christi extrahebant gladios, dum evangelium legebatur.*

5) Sainte Palaye *Mémoires* I. 74 128.

6) Długosz *Historia* III 211 *caefariem capitis et comam barbaro more non nutrire.*

7) Sainte-Palaye I. 290. 345. *roigné a guise de chevalerie.*

mniej barbarzyńską i rubaszną niż powszechnie mniemamy. Waleczny i pobożny Bolesław, zaprzyjaźniony z mężami rzadkiéj świątobliwości, jakoto z św. Wojciechem, św. Brunonem, św. braćmi pustelnikami, okazuje się zarazem otoczony dworem przykładnego rycerstwa, któremu on przy pasowaniu wykłada obowiązki rycerskie, t. j. obowiązki najwyższych cnót chrześciańskich, i które też następnie zastosowuje się do nich w miarę możności. A bijące ztąd światło tem chlubniej opromienia całą epokę, im rzadszem i mniej spodziewanem było podówczas widowisko podobne. Obyczaje rycerskie zakwitły w całej pełni dopiero nieco później w ciągu wypraw krzyżowych. Tak wczesne onych pojawienie się w Polsce jest o ile ciekawem, o tyle oraz dalekiem od zarzutu anachronizmu. Już bowiem w znacznie dawniejszych czasach, mianowicie od wznowienia godności cesarskiej przez Karola W. dają się postrzegać ślady obyczajów i obrzędów rycerskich. Osobliwie w anglo-saskiej i duńskiej Anglii, nie obcej Bolesławowi Chrobremu, gdyż rządzonej długo przez jego szwagra Swena i siostrzeńca Kanuta, miało święcenie rycerskie wielu oddawna zwolenników [1]). Sam Bolesław Chrobry otrzymał ten „długo upragniony zaszczyt“ od cesarza Henryka II podczas Zielonych Świąt w Merseburgu, nie wachając się służyć poprzednio Henrykowi w zwyczajnej roli giermka, niosącego przed nim miecz do kościoła [2]).

Posiadłszy tem władzę udzielania rycerstwa własnym giermkom, używał jej nieskąpo Bolesław, i otoczył się świetnym dworem pasowanego rycerstwa, swoich „synów łaziennych“. Wiadoma jest sława Chrobrego z niezmiernej liczby gości rycerskich, krajowych i zagranicznych, podejmowanych hojnie u jego dworu, zasiadających codziennie przy czterdziestu stołach królewskich [3]).

Pod tym względem celowało panowanie Bolesława Chrobrego jedyną w swoim rodzaju chwałą, niezrównaną w żadnej z epok następnych. Nasz o niespełna sto lat późniejszy Marcin Gallus, piszący swoję Kronikę na cześć Bolesława Krzywoustego, a tém samém niesklonny wcale do ubliżania jego dworowi, przedstawia swoje czasy jako epokę upadku w porównaniu z wiekiem Chrobrego [4]).

Bo też niezmierne zmiany zaszły między Chrobrym a Krzywoustym, zmiany w Polsce i w całéj reszcie świata. Kilkuletni bezrząd pogański po śmierci syna Chrobrego, zaburzenia domowe pod Bolesławem Śmiałym, wygnanie Bolesława, wojny domowe między Władysławem Hermanem a jego synem Zygmuntem, upadek cesarza Henryka IV i wzniesienie się powszechnéj przewagi dworu rzymskiego: to wszystko przekształciło dawną postać kraju i dworu, przyniosło z sobą nowe obrzędy i obyczaje, podało w niepamięć dawne, nigdy już w podobnéj barwie nie odnowione.

Pod wpływem tego przeobrażenia zapomniano także znaczenia łaźni Bolesławowskiéj, uderzenia w złotą bramę kijowską, dotknięcia się brody Izasławowéj. Zapomnieli je osobliwie ludzie duchowni, uczeni, powtarzający opowiadania równie niedokładnie obeznanych z rzeczą opowiadaczy; a gdy z czasem i w innych krajach zaprzestano używać łaźni przy pasowaniu rycerskiém, stała się ona zgoła niezrozumiałą, przeszła u nas w żartobliwe przysłowie.

---

1) Cała historya Anglii za czasów saskich, przed i po Alfredzie W. w IX i X wieku, pełna jest przykładów uroczystego święcenia i przypasywania oręży.
2) Thietmari *Chron.* w Pertza *Monumenta Germ. hist.* III. 833.
3) *Chron Galli* p. 71.
4) Tamże p. 53. Porównanie czasów Chrobrego i Krzywoustego pod względem liczby rycerstwa, p. 64 pod względem bogactw.

KRONIKA ZDARZEŃ
W ŚWIECIE KATOLICKIM.

RZYM.

Allokucya Jgo Świątobliwości Papieża Piusa IX na tajnym Konsystorzu dnia 15 Grudnia 1856.

Przewielebni Bracia! Sądziliśmy Przewielebni Bracia, że nigdy nie będziemy potrzebowali z wielkim żalem serca naszego narzekać i płakać z powodu, że prawa Kościoła katolickiego w Rzeczypospolitéj Mexykańskiéj ciężko pogwałcono i zdeptano nogami. Rząd bowiem tenże już w roku 1853 oznajmił życzenie swe zawarcia ugody ze Stolicą Apostolską i dopraszał się tego usilnie w roku następnym przez ministra swego Emmanuela Larrainzar, naszego ukochanego syna, który w tem tu mieście bawił potrzebném opatrzony pełnomocnictwém. My więc pełni gorącego życzenia starając się o zbawienie wiernych tamecznych, uporządkować kościelne stosunki onéj rzeczypospolitéj, żądaniu temu chętnie folgując nakazaliśmy wejść w układy należne z tymże maxykańskim ministrém. Układy te rzeczywiście rozpoczęto, ale nie można ich było ukończyć i do zamierzonego doprowadzić celu dla zwłoki w instrukcyach, których przerzeczony w Rzymie bawiący upełnomocniony minister od swego rządu zażądał. — Nareszcie odwołano go do Mexyku z powodu znanej wam odmiany stosunków, w skutek wywrócenia rządu, które na nieszczęście rzeczpospolitą mexykańską zamięszało.

Aleć niebawem po ukonstytuowaniu swém, rząd nowy wypowiedział wojnę kościołowi, jego świętościom, prawom i sługom. Bo po odebraniu duchowieństwu podwójnego prawa głosowania w wyborach narodowych, uchwalił prawo dnia 23 listopada roku zeszłego, na mocy którego zniósł sądy duchowne od wieków w rzeczypospolitéj mexykańskiéj istniejące. — Aczkolwiek zaś przewielebny brat Łazarz Arcy Biskup mexykański swojém, przewielebnego episkopatu i duchowieństwa tegoż państwa imieniem nie poprzestał protestować przeciw onemu prawu, przecież reklamacye wszystkie zostały bez skutku, a rząd nie wachał się oświadczać publicznie, iż nigdy w rozporządzeniach swych nie będzie ulegał najwyższéj powadze naszéj świętéj stolicy Rząd tenże przyjął oburzenie wywołane prawami takiemi, pomiędzy wierną ludnością w St. Angelo jak najsurowiéj i wydał dwa rozporządzenia. Pierwsze, oddaje wszystkie dobra kościelne w St Angelo władzy i samowoli świeckiego rządu; drugie opiewało, w jaki sposób dobra przerzeczone mają być zawiadowane. A gdy przewielebny brat Pelagiusz biskup w St. Angelo gorliwy w swoim urzędzie pasterz przeciw temu również niesprawiedliwemu jako świętokradzkiemu postanowieniu głos swój biskupi podniósł, rząd ten nie wachał się biskupa tego wystawić na dolegliwości i prześladowania, powarzył się porwać go przemocą żołnierską i wypchnąć go na drogę wygnania. Przedstawienie przewielebnego brata Alojzego, arcybiskupa damasceńskiego, naszego apostolskiego nuncyusza temecznego, równie jak przedstawienia przewielebnych braci Piotra biskupa

z Guadalaxary i Piotra biskupa z Potosi, którzy ustawicznie się starali o zniesienie przerzeczonych rozporządzeń rządowych, pozostały bez skutku.

Z pogardą tych najsłuszniejszych zażaleń, z nierozważnem a świętokradzkiem zuchwalstwem rząd on maxykański pragnąc sobie wszystkie dobra kościelne w onym kraju przywłaszczyć, jeszcze się dalej posunął i wydał dnia 25 czerwca tego roku nowy dekret publikowany 28 t. m. w którym się nie wacha wydrzeć kościołowi wszystkie dobra i posiadłości tegoż kraju. Przewielebni bracia Łazarz, arcybiskup mexykański, Klemens, biskup z Mechoaca i Piotr, biskup z Guadalaxary nie omieszkali głos swój podnieść przeciw temu niesłusznemu rozporządzeniu; podnieśli więc swe skargi i śmiele stanęli w obronie praw kościelnych. Rząd mexykański wzgardził przecież reklamacyami swych pasterzy i nietylko je odrzucił, ale postanowił biskupa z Guadalaxary wygnaniem ukarać, a prawo publikowane wykonać bez zwłoki i ściśle. Dla uskutecznienia tém łatwiejszego i prędszego świętokradzkiego łupieztwa dóbr kościelnych, poważył się nawet rząd ten nakazać niektóre przedarze pozwalając korporacyom duchownym nabywanie nieruchomości bez uważania na normę przez rząd przepisaną, byle tylko złożono summy przez rząd postanowiene za zmianę tytułu possessyi i dopełniono innych warunków prawém przerzeczoném przepisanych.

Przytém wszystkiem, przewielebni bracia, nad tem mianowicie bolejemy, że się znaleźli ludzie należący do zakonów duchownych, którzy na swe powołanie nie pomni, zapominając o swém stanowisku i urzędzie, oporni wszelkiej karności porządnej, bezwstydnie ze zgorszeniem wiernych a żalem wszystkich prawych ludzi, stawili opór wizytacyi apostolskiej zakonów duchownych przez nas postanowionej, a poleconej przewielebnemu bratu biskupowi z Mechoaca, nie poddali jej się, ale natomiast popierali bezczelne postanowienia nieprzyjaciół kościoła, uznali przerzeczone prawo i sprzedawali dobra własnego klasztoru z pogardą i lekceważeniem najwyraźniejszych praw i cenzur kanonicznych. Z równym żalem jesteśmy zmuszeni oświadczyć, że i pomiędzy świeckimi duchownymi znajdowali się kapłani, co nie pomni na swą godność, swój urząd, święte przepisy kanoniczne, opuścili sprawę kościoła, prawo ono niesprawiedliwe wykonali i nie wachali się słuchać woli nieprawéj rządu.

Ale po łupieży dóbr kościelnych rząd mexykański i inne jeszcze ogłosił rozporządzenia, na mocy jednego unieważnił dawniejsze prawo odwołujące jeden z duchownych zakonów, a drugiém oświadczył, że wszystkim tym zakonnikom i zakonnicom, którzy od podjętego życia zakonnego odpadną, klasztory opuszczą i przełożonym swym zakonnym posłuszeństwo wypowiedzą, przyrzeka pomoc i opiekę. Ale i tego nie dosyć. Bo zgromadzony tam konwent narodowy według uchwały deputowanych, pośród bluźnierstw i oszczerstw na naszą najświętszą religią, jéj sługi poświęcone, pasterzy naczelnych i namiestnika Chrystusowego na ziemi, nową postanowił konstytucyą liczącą pomiędzy innemi artykułami niektóre wręcz przeciwne boskiéj religii, jéj świętym naukom, świętym ustawom i prawom. Na mocy téj konstytucyi albowiem pomiędzy innemi znosi się przywiléj forum duchownego; stanowi się prawo, że nikt nie ma pobierać dochodu uciążliwego społeczeństwu; ogłasza się zakaz przejmowania szlubów religijnych bądź przez zobowiązanie, przez przyrzeczenie lub układ; a dla tém łatwiejszego podkopania obyczajów i sumienia narodu, dla tém większego rozpowszechnienia strasznego i obrzydliwego indifferentyzmu a obalenia naszéj świętéj religii ogłoszone, wolność wykonywania jakiegokolwiek wyznania, ogłaszania i rozpowszechniania najróżniejszych opinii i wyznań religijnych. A że mianowicie duchowieństwo z St. Angelo i tameczny oficyał zgromadzenie deputowanych jak najusilniéj prosili i zaklinali, aby przynajmniej artykułu o wolności wykonywania wyznań religijnych nie ogłaszano prawem, dla tego wielu z najznakomitszych mężów z St. Angelo tak duchownego jako i świeckiego stanu, a z niemi i officyał, aczkolwiek wiekiem przyciśniony zostało wygnanych z kraju, wielu znakomitych kapłanów miasta Mexyko uwięziono, wywieziono do Veracruz dla wygnania za granicę. A dla zapobieżenia, aby głos i zba-

wienne napomnienia pasterzy nie doszły do uszu ludu wiernego, a przecież nie mogli milczeć w miarę swego pasterskiego urzędu na tak straszny gwałt i w obec takiego prześladowania, rząd mexykański rozesłał do wszystkich naczelników powiatowych najsurowsze rozkazy, aby czuwali jak najtroskliwiej i wszelkim sposobem zapobiegali, ażeby żaden list pasterski biskupów nie został ogłoszony, rozpowszechniany lub po kościołach odczytany.

Równocześnie postanowił jaknajsurowsze kary przeciw duchownym, którzy w razie oporu przeciw tym niesprawiedliwym rozkazom, mieli być z swych mieszkań wypędzeni, przesiedlani na inne miejsca lub odprowadzeni do Mexiku. Dalej zniósł rząd zakon ś. Franciszka istniejący w Mexiku zupełnie, przeznaczając pobożne ich fundacye na skarb państwa, klasztorny gmach po części zupełnie spustoszono, a niektórych tego zakładu zakonników wtrącono do więzienia. Na mocy rozkazu rządowego przewielebny brat biskup Klemens z Mechoaca z dyecezyi swej gwałtownie porwany, tymczasowo do Mexiko wypędzony został. — Dałby Bóg, aby jeszcze i inni znakomici pasterze, kapłani i świeccy mężowie temu samemu nie ulegli losowi! —

Z tych bez wątpienia nader smutnych okoliczności, które z wielkim ogłaszamy żalem, przekonacie się bardzo jasno, przewielebni bracia, jak natarczywie rząd mexykański naszą świętą religią prześladował i uciskał, i jak ciężkie krzywdy zadawał kościołowi katolickiemu, jego świętym prawom, sługom, pasterzom i powadze naszéj, jako też tej świętéj Stolicy. — Ale niech Bóg broni, abyśmy przy tak strasznem spustoszeniu świątyni i przy tak okropnem prześladowaniu kościoła, jego powagi i wolności nie wykonali obowiązku, naszego apostolskiego urzędu. Żeby więc żyjący tam wierni wiedzieli, aby się dowiedział cały świat katolicki, że wszystko, co naczelnicy rzeczypospolitej mexykańskiej przeciw religii katolickiej i kościołowi, przeciwko jej świętym sługom, pasterzom, ustawom, prawom, posiadłościom i przeciw władzy téj świętéj Stolicy poczynili, jak najuroczyściej potępiamy, dla tego podnosimy my w tem waszem wysokiem zgromadzeniu z apostolską powagą głos nasz Naczelny i Pasterski i potępiamy i przeklinamy i głosimy nieważném i niebytem wszystkie przerzeczone postanowienia i wszystko inne, co tamże ramieniem władzy świeckiéj z wielką pogardą władzy kościelnéj i téj Stolicy Apostolskiéj z tak wielką szkodą religii, pasterzy i duchowieństwa rozrządzono. Krom tego napominamy wszystkich, których staraniem, radą lub rozkazem wszystko to popełniono jak najsurowiéj, aby rozważyli wszystkie te kary i cenzury, które przeciw gwałcicielom i świętokradzcom na uświęconych osobach i rzeczach, jako téż na wolności i powadze kościoła, niemniéj przeciw wszystkim, którzy się targają na prawa téj świętéj Stolicy, apostolskiemi konstytucyami i świętemi ustawami są wymierzone.

Ale niemożemy niemniej przemilczeć wielkiéj serca naszego radości i nie oddać największych a zasłużonych pochwał biskupom onej rzeczypospolitej, naszym przewielebnym braciom, którzy pomnąc na swój urząd biskupi i jego powinność z znakomitą stałością i mocą bez ulęknienia stawają w obronie kościoła, i z chlubą w nieugiętém męztwie znoszą wszystkie przykrości ciężary walki za Kościół Z powinnym wyrazem pochwały uszanujmy tych mężów duchownych i świeckich, którzy prawdziwie natchnieni uczuciami katolickiemi, idąc w ślad za świetnych swych pasterzy przykładem, nie omieszkują według sił dążyć do tegoż celu wystawieni przytem na największe niebezpieczeństwa i szkody. Również oddajemy pochwałę największą wiernemu ludowi rzeczypospolitej mexykańskiej, który w daleko większej liczbie wszystkie te opłakane a niesprawiedliwe krzywdy religii i swych pasterzy boleśnie czuje pośród oburzenia, bo ludowi temu nic tak drogiego jak wyznawać wiarę katolicką, biskupów swych czcić i słuchać z miłością i łączyć się w wierności z Nami i z tą świętą Stolicą. I ta nam także dodaje otuchy, że Bóg, nieprzebrany w swém miłosierdziu łaskawie spojrzy na tę swoją winnicę i uwolni ją od ciężkich utrapień, któremi dotąd nawiedzona.

Ale równie ciężka nas boleść przejmuje, Przewielebni Bracia, na srogie za-

iste krzywdy któremi kościół w większej części Hiszpanii kiedyś podległych krajów Ameryki południowej, rządy świeckie w opłakany sposób uciskają i znieważają. W tych bowiem krajach władza świecka pomiędzy innemi najniesłuszniej sobie przywłaszcza prawo mianowania biskupów, żądając od nich, aby zajęli rządy dyecezyi przed kanoniczną instytucyą ze strony téj Stolicy Świętej i przed odebraniem listów apostolskich. W tychże krajach zakazano biskupom potępiania pism niekatolickich i zabroniono im ogłaszania listów apostolskich bez pozwolenia rządowego. Prócz tego ograniczają wolność kościoła w nabywaniu własności, zabraniają wykonywania łask nadawanych przez tęże Stolicę Apostolską; nauki seminaryów klerykalnych powołują pod dozór władzy świeckiej, dziesięciny kościelne zostały przez tęże władzę albo zupełnie zniesione albo zabierane na rzecz skarbu publicznego, nakazywano biskupom, kapłanom przysięgi na konstytucyą zawierającą uwłaczania dla praw kościoła. W jednym z tychże krajów nietylko to wszystko wbrew powadze i prawom kościoła popełniono, ale nadto władza świecka postanowiła nowy sposób oboru biskupów wywracający karność od kościoła uświęconą; rząd tamże ogłosił prawo, na mocy którego przywilej forum duchownego, dziesięciny i dochody proboszczy zostały zniesione. Prócz tego w tymże kraju prawo naturalnie kościołowi właściwe nabywania własności jest zagrożone: nie uznano wszystkich przeszkód małżeństwa od kościoła postanowionych: wszystkie od rzymskich papieży wypływające łaski unieważniono, jeżeli nie zostaną udzielone na wniosek rządu: samowolnie zmieniono wiek przepisany dla zakonów obu płci do professyi potrzebny, żaden zakon nie może nikogo przypuścić do złożenia uroczystych ślubów bez pozwolenia rządowego. W innych krajach południowej Ameryki władza świecka tak daleko posunęła się w zuchwalstwie, że najświętsze i zupełnie duchowne sprawy, które jedynie zawisły od biskupów, przed swoje powołuje forum.

Wiecie bardzo dobrze Przewielebni Bracia, jak mocno wszystkie te rzeczy, któreśmy tutaj z niewypowiedzianym żalem serca Naszego pokrótce i tylko mimochodem wskazali, potępiamy i ganimy, bo władza świecka takiemi niesprawiedliwemi krokami pragnie obalić i zdeptać nogami Boską kościoła instytucyą, jéj najświętszą naukę i naczelną władzę i godność téj Świętej Stolicy Apostolskiej. Przy takim smutku pociesza i unosi Nas nieskończenie znakomita cnota, bojaźń Boża i pobożność pasterzy onych południowo-amerykańskich krajów, naszych Przewielebnych Braci, którzy ufni w pomoc Bożą wypełniając obowiązki swego powołania z chlubą swego imienia i stanu nie przestają opierać się mężnie zachceniom władzy świeckiej, i tak słowem jak pismem bronią wolności Kościoła i praw niesprawiedliwie sobie wydartych, domagają się ich z niezachwianem męztwem i obstając przy nich gotowi ponieść wszystkie niebezpieczeństwa.

Wiecie również, Przewielebni Bracia, jak wielce się obawiamy pełni trwogi o nader smutny stan, w którym nasza święta religia w Szwajcaryi zostaje: pamiętacie zapewne, żeśmy w mowie, którąśmy 26 Lipca r. z. w konsystorzu mieli, wspomnieli w krótkich słowach niezliczone nieomal szkody, które tam władza świecka Kościołowi, jego świętej powadze, jego prawom, posiadłościom, biskupom i sługom nadaje. Mamy zamiar, skoro tylko uznamy za stósowne, w osobnéj allokucyi przemówić o tym prawdziwie nader nieprzyjemnym przedmiocie, mianowicie dla tego, że w okolicach onych straszne napaści Kościoła od dnia do dnia coraz się mnożą i pogorszają. — A przecież — chociaż z niemałą pociechą i z radością duszy wiemy, że wierne duchowieństwo owych krajów po największéj części wśród najrozmaitszych trudności obowiązki swéj służby pilnie pełni i w wojnie pańskiéj co sił wytrwało — nie możemy pominąć złego zachowania niektórych księży z najżywszym żalem, ganimy i potępiamy postępowanie tych, którzy nie wachają się popierać niesprawiedliwe zachęcenia władzy świeckiéj a mianowicie w kantonie Tesyńskim wszystkim dobrym katolikom dają największe zgorszenie a na siebie ściągają słuszny gniew Boga. — Pocieszamy się nadzieją, że władza tych okolic przecież na dobrą drogę się zwróci i pozna, że szczęście narodów

i dobry byt bez naszej świętej relgii i jej błogosławionej nauki, bez winnego uszanowania i czci ku szanownym prawom kościoła nie mogą się ostać. Do téj nadziei mamy tem więcej widoków, słysząc, że jeden z biskupów ma wrócić wkrótce z wygnania powołany. Dałby Bóg, abyśmy się w nadziejach nie zawiedli.

Zapewne nigdy powinności naszej nie zapomnimy i nie przestaniemy wszystkie znosić trudy, wszystkie przyjmować troski, wszystkiej dokładać usilności, abyśmy powierzoną nam od Boga sprawę Kościoła według obowiązku naszego apostolskiego urzędu silnie chronić i bronić. — Tymczasem zaś wznosimy razem z Wami Przewielebni Bracia, nasze serce i oczy na wzniosłą i świętą górę, zkąd jak z pewnością ufamy wszelka Nam przyjdzie poręka i nigdy nie przestaniemy dniem i nocą z nieustanną modlitwą i błaganiem Ojca miłosierdzia i Boga pociechy prosić i błagać, aby Swą Wszechmocną siłą Swój święty Kościół od tylu cierpień, któremi zostaje nawiedzany w tych i innych krajach, bronił, uwolnił i dać zarazem raczył, aby się oświeciły niebieską łaską serca i dusze nieprzyjaciół Kościoła, aby łaska ich pozyskała i zwróciła z drogi bezbożności i zatracenia na ścieszkę sprawiedliwości i zbawienia. Amen.

Nowe nominacye.

Dawniejszy prefekt studiów świeżo nominowany Biskup z Osinowi Ingoli Jego Em. Kard. Brunelli został mianowany protektorem miasta Monte-Prandone. Nowo nominowany prefektem studiów kardynał Sanfucei został członkiem kongregacyi Judexu. Do kongregacyi Ritu nominowani Consultorami Mgr. Marinelli biskup Porfyru i Ojciec Ludwik de Trento kaznodzieja apostolski, a do kongregacyi rozkrzewiania wiary Magister Diego Barrneco Trynitarz także Consultorem.

Wizyty pobożne Ojca świętego.

Jest zwyczajem, że Papieże ilekroć miesiąc wrzesień przepędzają w Rzymie, poświęcają czwartki każdego tygodnia na zwiedzanie zakładów dobroczynnych, szkół, klasztorów i innych instytucyi publicznych. Pius IX każdorocznie jaknajtroskliwiéj zachowuje świątobliwy ten zwyczaj, pozostając w Rzymie. W pierwszy zaraz czwartek odprawił mszą w sklepach Watykanu na ołtarzu Wyznania Piotra Świętego, nigdy On tego aktu uczczenia księcia apostołów nie opuszcza, a wierni o ile miejsce ich objąć może, chętnie korzystają z téj sposobności łącząc się w modlitwach z ojcem kościoła i odbierając z rąk zastępcy Jezusa Chrystusa kommunią świętą. Jeżeli celebra pontyfikalna w Watykanie jest wzniosłą w téj okazałéj swietności, która wszystkich przytomnych przepełnia gorącem nabożeństwem i niewypowiedzianą pokorą w obec wspaniałéj assysty, msza ta cicha na grobie apostolskim jest jakoby powtórzeniem tych wrażeń, które towarzyszyć musiały nabożeństwom katakomb pierwszych chrześcian; święta cisza, modlitwy gorące, przytomność Ojca całego chrześciaństwa napełnia przytomnych strachem świątobliwym, który wyżéj jeszcze podnosi ducha jak świetność ceremonii przerywająca nieraz uwagę modlitwy. — Po tym uroczystym hołdzie dla księcia Apostołów, Pius IX, zwiedził nasamprzód wielki Szpital Świętego Ducha. Wielka ta instytucya obejmująca liczne wydziały, tworzy jakoby miasto w mieście, składa się z kilku połączonych ze sobą budowli, skrzydeł, przystawek i gałęzi, Ojciec Święty zwiedził wszystkie oddziały. Naprzód był u chorych, tu chodził od łoża do łoża, jednego pytał, drugiego pocieszał innych napominał i nauczał, a wszystkich wdzięcznością napełnił za anielską dobroć i opiekę; potém przeszedł do wydziału sierót i podrzutków, które tam pozostają niekiedy przez całe życie. Wydział ten staraniem księdza Cezarego Contini w nowszych czasach znacznych doznał odmian, który w skutek polecenia apostolskiego zajął się zupełną reorganizacyą tego zakładu, usiłowania ks. Contini zostały pomyślnym uwieńczone skutkiem, za co mu Ojciec Święty wynurzył zupełne swe zadowolenie. Dopomagały mu w tém Siostry Miłosierdzia Świętego Ducha, które mają w tym domu swój nowicyat i nie należą ani do reguły Świętego Wincentego, ani do reguły Świętego Karola Boromeu-

sza. Ojciec Święty podziękował im za ich trudy, przypuścił do ucałowania nogi i dał przy wyjściu błogosławieństwo. — Szczególnie się przecież ucieszył Ojciec Święty działaniem Ojcow Kapucynów w tym domu zatrudnionych dyrekcyą duchowną. Kapucyni zajęli się tym domem w latach 1854, 1855 podczas cholery, która wybuchnąwszy w tak ludnym zakładzie nadzwyczaj wiele zabrała ofiar; przełożeni, dozórcy powymierali — otóż w tedy kapucyni podjęli się trudnego dzieła i cudowna rzecz, że pomimo nieograniczonego poświęcenia, żaden z nich nie uległ chorobie. — Ubodzy szpitalni nie chcieli ich wypuścić, a Ojciec ś w nagrodę takich zasług pozostawił Ojców przy dyrekcyi duchownéj całego zakładu: aby zaś wiernie zwyczajem zakonnym mogli żyć według swéj reguły, kazał im na wzór ich klasztorów przybudować osobne skrzydło. Administracyą całego zakładu zajmuje się J. E. kardynał Morichini. — Drugi zakład zaszczycony wizytą Ojca ś. była Villa Laute, gdzie damy Serca Jezusowego mają swój nowicyat. — Jego świątobliwość raczył przyjąć od pań tych arcy-misternie malowane przez nowicyuszki celujące w malarstwie kanony na ołtarz i pochwalił zarazem zwyczaj podjęty z wieków dawniejszych pielęgnowania sztuk pięknych w klasztorach. Przy końcu swéj wizyty kazał sobie przedstawić sieroty pocholeryczne, które panie tegoż zakładu przyjęły do siebie na zupełne wychowanie. Z pomiędzy instytucyi naukowych zwiedził jeszcze liczny pensyonat przy Santa Marya Maggiore utrzymywany przez zakonnice Kamaldulanki świętego Antoniego.

Prócz klasztoru kapucynów, założył jeszcze Ojciec święty klasztór Passionistów przy *Scalá Santa.* Cały ten zakład został wystawiony kosztem Ojca św. według planu i pod dozorem jednego z zakonników téjże surowéj reguły. Jego świątobliwość z szczególną radością chwalił piękność, prostotę i wygodę całéj budowli, a mianowicie oświadczył, że nad wszystko zastanawia go nadzwyczaj niska cena kosztów. Sposób ten budowania wszędzie w dawniejszych wiekach zachowany, zapewneby tak pod względem piękności artystycznéj, jak pod względem trwałości zastósowania do przeznaczenia i potrzeb, jak téż i co do kosztów daleko świetniejsze okazał skutki, jak sposób dzisiejszy budowania przez rzemieślników świeckich, albo co gorsza przez licytacye *ad minus.* Łatwo się o tém przekonać porównaniem czerstwych jeszcze a pięknych budowli pozostałych z dawnych czasów z dzisiejszemi kościołami wczoraj stawianemi, a dzisiaj rozpadającemi się w gruzy. — Ojciec ś. bardzo zajęty ożywieniem instytucyi klasztornych szczególnie się opiekuje temi zakładami, które same z siebie czerpią ducha czynności, czyli to w dziedzinie nauk lub sztuki lub téż przez czynność publiczną. Do rzędu odrodzonych klasztorów za czasów Piusa IX. liczymy w samym Rzymie klasztor dawny świętéj Klary, gdzie dzisiaj urządzone seminarium francuzkie, klasztór świętéj Brygidy, gdzie dziś zamieszkali francuzcy bracia od ś. Krzyża; klasztór Kanoników regularnych u świętéj Agnieszki extra muros; klasztór świętego Wawrzyńca, extra muros oddany przez Ojca ś. ojcom Kapucynom.

Daléj zwiedził Jego świątobliwość fabrykę mozaiki w pałacu watykańskim. Fabryka ta od kilku wieków już słynąca dostawia najznakomitsze arcydzieła téjże sztuki do kościołów, jak *np.:* do kościoła Najświętszéj Panny Anielskiéj i do bazyliki ś. Piotra. Teraz jest zajęta wykończeniem 289 portretów wszystkich papieży do dzisiaj panujących na katedrze ś. Piotra. Wizerunki te przeznaczone są do bazyliki ś. Pawła nowo restaurowanéj, gdzie już niektóre z tych portretów są umieszczone. Po wykończeniu tego dzieła będzie to jedyna na świecie w swym rodzaju galerya. Z fabryki téj wychodzą także rozmaite dary, które Ojciec święty w rozlicznych sposobnościach rozsyła panującym w upominkach łaskawych.

Najwięcéj jednakowoż upodobania okazała Jego świątobliwość dla nowo przez Niego założonego muzeum starożytności chrześciańskiéj w pałacu lateranenskim pomieszczonych. Na rozkaz Ojca świętego pozbierano tamdotąd rozproszone po pałacach apostolskich i muzeach zabytki pierwszych wieków chrześciańskich, świeżo na rozległą skalę, rozpoczęte poszukiwania w katakumbach pomogły do nagromadzenia w temże muzeum, rozmaitych przedmiotów ściągających się do ob-

rządków i nauki chrześciańskiéj, znajdziesz tam święte naczynia, obrazy, rzeźby, ubiory, nagrobki, napisy, księgi i rękopisma pierwszych wieków kościoła sięgające a rzucające światło na dogmat, życie i karność chrześcian czasów najdawniejszych. Pocieszyło Ojca świętego niemało, że usiłowania gorliwych Jego pomocników przewyższyły w skutkach wszelkie oczekiwania. — Żywe te świadectwa prawdy, stwierdzają bezpośredniemi dowodami najoczywiściéj naukę kościoła, a jeżeli katolicy z prawdziwą radością oglądają dziś te jasne dowody nauki kościelnéj i obyczajów katolickich, a z drugiéj strony najzaciętsze uprzedzenia innowierców, muszą z zawstydzeniem widzieć w tych zbiorach oczywiste odparcie błędu, cała zamierzchła starożytność kościoła, daje tam prawdzie świadectwo i obwołuje głośno mylność fałszywych nauk i zarzutów dotąd kościołowi czynionych. Muzeum to prócz tylu innych śladów pontyfikatu Piusa IX imie jego w dziejach kościoła uwieczni.

Daléj zwiedzał Ojciec święty kościoły świętego Ducha i świętego Jana Lateraneńskiego, w których swoim kosztem kazał podjąć poczęści całkowite odnowienia lub znaczne polecił wykonać ozdoby. W obec takiéj troskliwości świątobliwéj o dobro ludu sobie powierzonego, podniesienie chwały Bożéj i sztuk pięknych, któżby zaprzeczył, że rzadko który monarcha odpowie równie sumiennie wielkiemu powołaniu panującego! —

Odnowienie Watykanu.

Ojciec święty po kilkutygodniowym pobycie w Kwirynale wrócił 16 listopada do Watykanu. Radość mieszkańców Watykanowi sąsiednich z tego powodu widzieć można było w całem Borgo, ulice uroczyście wieńcami ubrane, wieczorem rzęsista w okół watykanu zajaśniała illuminacya. Nieobecność ta, Ojca świętego w zwykłéj rezydencyi, pochodziła z licznych restauracyi, które Ojciec święty kazał w Watykanie poczynić. Przed niejakim czasém takież same odnowienia nadały Kwirynałowi świeżą postać, a teraz na wielkich wschodach prowadzących na pokoje papiezkie, zastąpiono zużyty po części trawertin białym marmurém. Imię Piusa IX tak w kościołach jako i gmachach mieszkalnych niezatarte zostawi ślady w wieki potomne.

Promocya kardynała Santucci.

Po odjeździe J. Eminencyi ks. kardynała Brunelli, Ojciec święty mianował prefektem studiów, które to miejsce tenże dygnitarz dotąd zajmował J. Eminencyą kardynała Santucci, dotychczasowy podsekretarz Stanu i sekretarz Kongregacyi spraw duchownych nadzwyczajnych. —

Promocye w kurii apostolskiéj.

Na konsystorzu odbytym dnia 15 grudnia Ojciec święty prekonizował na biskupstwo Fano dotychczasowego professora historyi kościelnej przy propagandzie Dra Filipa Vespasiani, na biskupstwo Pesaro apostolskiego Cameriera Dra Klemensa Fares; na kiskupstwo w Brixen biskupiego radzcę tamecznego professora historii kościelnej Wincentego Gasser; na biskupstwo w Chire oficyała dyecezyi Bayonne Arnolda Michała Prospera Hiraboure; na biskupstwo Porphyrinii in part Ojca Franciszka Marinelli z zakonu Augustynów; na biskupstwo w Korykos in part. officyała diecezyi Paraguay, Jana Grzegorza Urbieta.

Jego Emiencya Kardynał Hr. Reisach został mianowany członkiem kongregacyi de propaganda fide.

Zmarł w końcu roku zeszłego w 78 roku życia Mgr. Giovuni Marya Ballestini apostolski protonotariusz i papiezki prałat domowy.

Muzyka kościelna.

Z rozporządzenia najwyższego Jego Świątobliwości Jego Eminencya Wikaryusz Generalny Kardynał Partizi wysłał do wszystkich rektorów kościołów i dy-

rektorów muzyki cyrkularz, w którym przez wzgląd na to, że muzyka kościelna więcej teatralnym jak religijnym stylem kompozycyi nietylko nie przyczynia się do zbudowania ludu wiernego, ale nabożnym daje powód roztargnienia, że kompozycye takie nie mogą być wykonywane nabożeństwu poważnemu przyzwoicie, ale przypominają intencyą i szkołą śpiewy światowe, że wybór instrumentów przy takich muzykach musi hałaśliwym dźwiękiem wyobraźnią i umysł odrywać od świątobliwego zgłębiania nabożeństwa, władza duchowna rozporządza, aby odtąd nie używano przy nabożeństwie żadnych kompozycyi wziętych z teatrów, sonat świetnych a wrzaskliwych, ale natomiast wybierano melodie choralne zastósowane do poważnego tonu organ, aby nowych kompozycyi nie przypuszczano do wykonywania w kościołach jeżeli nie będą zastósowane do melodyi „alla Palestrina,“ żeby zupełnie zakazano w kościołach kotłów, bębnów, cymbałów, tamburynów, triangułu i innych wrzaskliwych instrumentów, aby dalej wystrzegano się przy preludiach organowych fug i motottów skocznych i tanecznych, aby w czasie Mszy świętej a mianowicie przed introitem nie używano żadnych preludii, ale zapełniano całe nabożeństwo śpiewem przy organach, aby nakoniec przy budowie kościołów unikano budowania chórów do organu i dla muzyki nad bramą wchodową, dokąd się przy jakiejkolwiek sposobności zwracają nabożni patrząc na muzykę, ale aby chóry te były umieszczone w łożach obok ółtarza wielkiego.

Przestroga przeciw magnetyzmowi.

Już kilkakroć na szczególne zapytania prywatnych osób jako też biskupów niektórych Stolica Apostolska przez kongregacyą świętej Inkwizycyi przestrzegała wiernych przeciw zabobonom do magnetyzmu zwierzęcego przywiązanym a mianowicie wydała rozporządzenie do niektórych biskupów francuzkich z dnia 28 lipca r. 1847 w tej mierze. Dekret ten publikowany w nauce moralnej kardynała Donneta opiewa, że Stolica Apostolska nie potępia w ogóle zjawisk fizycznych siły magnetyczno-zwierzęcej, że nie zabrania jej użycia w karbach i granicach przyzwoitego względu na stosunki płci obojga w dziedzinie fizycznej, gdzie niemasz z jednej strony niebezpieczeństwa narażenia skromności a z drugiej strony pacient magnetyzowany nie wyrzeka się ani zostaje pozbawiony własnej, osobistej wolności; ale zarazem ostrzega tam już kongregacya przeciwko nadużyciom tak łatwym w stosunkach magnetyzera do magnetyzowanego, zabrania wszelkiego wciągania ducha do experymentów fizycznych. Dekret obecny z 4 sierpnia r. z. przesłany jako uniwersał do wszystkich biskupow, tych samych trzymając się zasad, wskazuje, jak z magnetyzmu wyrodziło wiele się zabobonów przez mięszanie działań ducha z zjawiskami fizycznemi, badanie przyszłości i rzeczy nadzmysłowych, wróżenie o rzeczach miejscem oddalonych, nadmienia jak experimenta magnetyczne częstokroć obrażały wstydliwość, jak zapytania i odpowiedzi doświadczeń magnetycznych wprowadzały na drogę błędów sprzecznych prawdzie objawienia, jak somnambuliczne niewiasty wyrokowały o religii stanie dusz po śmierci i jak zjawiska podobne wbrew się sprzeciwiają nauce kościoła, a ztąd zwraca dekret uwagę biskupów na to i poleca im przestrzegać wiernych przed takiemi obłędami, aby zapobiedz szerzącym się przez to złudzeniom i nadużyciom.

KOŚCIÓŁ POLSKI.

ARCHIDYECEZYA GNIEŹNIEŃSKA I POZNAŃSKA.

Składki na kościół w Smogorzewie na Szląsku.

Prześwietny Konsystorz Jeneralny Arcybiskupi Poznański przesyłając via cursoria za pośrednictwem WW. JMĆ. Ks. Ks. Dziekanów prozbę ks. Marzona

w sprawie składek na kościół w Smogorzewie, którą pod inną rubryką podajemy, ze swéj strony polecił z rozporządzenia Najprzewielebniejszego Arcypasterza składki te duchowieństwu następnym okólnikiem:

Dnia 10 lipca 1854 zgorzał w Smogorzewie powiecie Namysłowskim, dyecezyi Wrocławskiej najstarszy chrześciański kościół w Szląsku, który lubo z drzewa zbudowany blisko 9 wieków przetrwał. Nieliczna i nader uboga tamtejsza gmina parafialna, wystawienia nowego kościoła bez obcej pomocy dokonać nie jest zdolna. Na głos jéj wzywający o pobożne i litościwe zasiłki zezwolił także Najprzewielebniejszy Arcypasterz na rozpisanie kollekty kościelnej w tutejszéj archidyecezyi celem przyłożenia się do odbudowania zgorzałego kościołka, który był przez czas niejakiś pierwszą katedrą i stolicą biskupstwa wrocławskiego, szanownemu duchowieństwu mianowicie JJ. Ks. Ks. Proboszczom i Rządzcom kościołów poleca się przeto aby rzeczoną kollektę przez trzy następujące po sobie niedziele, w święta pobożnym swoim parafianom z ambony ogłosić oraz ich doniesienia hojnych ofiar ku wskrzeszeniu najdawniejszego zabytku całéj chrześciańskiéj ludności szląskiéj zachęcili, sami zaś zebrane składki właściwemu dziekanowi przesłali. J. ks. dziekan zostaje wezwanym, aby niniejszy okólnik duchowieństwu dekanalnemu via cursoria doręczył wpływające ofiary przyjmował, takowe do kassy naszéj złożył i o skutku zaś w przeciągu 4ch tygodni doniósł.

Poznań, dnia 9 grudnia 1856.

Składki na kościół w Śmiłowie.

W Śmiłowie w dekanacie Nakielskim archidyecezyi Gnieźnieńskiéj gmina liczy tylko 727 dusz a koszta budynków kościelnych i plebańskich wynoszą 2728 talarów. Ponieważ uboga i nieliczna gmina nie jest w stanie tak znacznéj złożyć składki Najprzewielebniejszy Arcypasterz polecił przez Konsystorz po kościołach odbyć składkę. Podajemy okólnik konsystorski dosłownie:

W skutek wysobiego rozporządzenia Najprzewielebniejszego Arcypasterza z dnia 25 października konsystorz upoważniony został do rozpisania kolekty kościelnéj na zakrycie kosztów potrzebnych budynków kościelnych i plebańskich w Śmiłowie dekanatu Nakielskiego, których tamtejsza uboga i nieliczna gmina w ilości 2728 tal. 18 sgr. 6 fen, na nią przypadających żadną miarą ponieść nie jest w stanie. Konsystorz wzywa przez wszystkich JJ. Ks. Ks. Proboszczy i Rządców kościołów, aby rzeczoną kolektę kościelną, przez trzy następujące po sobie niedziele lub w święta, począwszy od najbliższéj po odebraniu tegoż okólnika niedzieli lub święta zgromadzonym na nabożeństwa wiernym z ambony ogłosili; zebrane zaś ofiary właściwemu dziekanowi przesłał. J. ks. dziekanowi poleca się aby niniejszy okólnik duchowieństwu dekanalnemu via cursoria wręczył, oraz je zachęcił, iżby i sami nieśli swoje ofiary i parafian swoich do składek chojnych skłonili. Gdy zaś takowe wpłyną, zechce J. ksiądz dziekan przesłać je do kassy naszéj. Dowód zaś wręczenia niniejszego w przeciągu 4ch tygodni, do akt złożył.

Poznań, dnia 25 listopada 1856.

Wezwanie do składek na kościół w Rawiczu.

Czytamy w *Schlesisches Kirchenblatt* odezwę następującą komitetu zawiązanego w Rawiczu celem wystawienia tamże kościoła:

Do naszych kochanych katolickich braci i sióstr.

Naszym kochanym braciom i siostrom wiadomo zapewne w bliższych kołach, że tutejsza gmina katolicka nie posiada ani kościoła, ani szkoły, ani nawet domku, któryby służył naszemu pasterzowi za przytułek: owszém musi się tenże mieścić dzierzawą w domu ewangelickim! Wieleśmy podjęli starań złemu temu zapobiedz, ale nie udało się nam nigdy dopiąć celu, a oto teraz uciekamy się o pomoc i zasiłki datków miłosiernych do kochanych naszych braci w wierze.

Ale pomni na słowa: „Kto z Bogiem, to Bóg znim“ udaliśmy się naprzód

do naszego Najprzewielebniejszego Arcy-Pasterza, księdza arcybiskupa gnieźnieńsko poznańskiego i odebraliśmy od niego błogosławieństwo i pozwolenie do zbierania składek ku zakupieniu w Rawiczu katolickiéj plebanii i szkoły.

Ucisk tutajszych katolików był i jest wielkim! Nie tylko że otwarto tutaj wolny wstęp niewierze Rongiańskiego obłędu, ale wszystko nam odebrano, coby mogło zbawienie dusz naszych poprzeć. Kościół, wspólny dwom wyznaniom, jest własnością domu poprawy i należy tylko w części do parafian; szkoła z 130 uczniami mieści się w domu, gdzie szynkownia żołnierska główne zajmuje miejsce, a ksiądz z nauczycielem rozproszeni w domach ewangelickich dzierzawą siedzą: jedném słowem, żyjemy jak bezbronne dzieci! Otóż więc, kochani bracia i siostry, aby temu zapobiedz, kupiliśmy tutaj domostwo mające pomieścić księdza z nauczycielami — ale zbywa nam na środkach do zapłacenia go! — Dla tego przecież nie tracimy nadziei, toć wiemy, że boski nasz Pan i Zbawiciel i do nas wyrzekł: „pójdźcie do mnie wszyscy, którzy pracujecie i obciążeni jesteście a ja was ochłodzę!“ — Bez wątpienia oczekujemy przyszłości, bo wiemy, że Pan nas swą wesprze ręką, a że kochani nasi bracia przyjdą nam ku pomocy.

I dla tego kochani bracia, niechaj proźby i błagania nasze wzruszą serca wasze, wesprzyjcie nas waszemi datkami, abyśmy także własne mieli ognisko. —

A i wy kochani uczniowie szkół katolickich, nie zapomnijcie i wy o waszych współuczniach w Rawiczu! Wyście szczęśliwi, bo możecie powiedzieć: „oto tutaj szkoła nasza, a tam mieszka nasz ksiądz proboszcz!“ ale u nas nie mogą tego nasze dziatki powtórzyć! — A gdy wstąpicie do cichéj i spokojnéj szkoły waszéj możecie się bez trwogi obejrzeć, bo nikogo tam nie masz, coby wam przeszkodził albo odepchnął lub odpędzał — i nie widzicie tam nikogo jak waszego kochanego nauczyciela i waszego księdza proboszcza, którzy was tak kochają — ale u nas tak się nie dzieje. — U nas w szkole jest jeszcze szynkownia i są koszary żołnierskie, a nasze kochane dziatki muszą zarówno czy idą do szkoły czy ze szkoły wracają, chylkiem tylko się zbliżać, aby uniknąć popychania tych, co ze szynkowni wracają. — Czyż to nie brzydko? Tak, tak, nasze dziatki téż z tego powodu już często i gorżko płakały! —

Dla tego miłe dzieci, dajcie pomoc waszym współ-uczniom, aby i ci do własnéj przyszli szkoły. Proście waszych rodziców o kilka groszy z waszych skarbonek i oddajcie je waszemu księdzu proboszczowi lub nauczycielom, a oni do nas je prześlą: a za to téż nasze dzieci będą prosić Pana Boga na Niebie, aby was błogosławił, byście pozostali pobożni i dobrzy, a jeżeli na wędrówkach waszych lub w żołnierce do Rawicza przyjdziecie, przyjdźcie i do nas, by odebrać nasze podzięki! — Tak polecamy proźby nasze Opiece Wszechmogącego i waszéj miłości, kochani katoliccy bracia i siostry i żyjemy w téj mocniejszéj ufności w skutek próśb naszych, że codziennie się dowiadujemy i czytamy, jak dary miłosierne naszych kochanych braci idą w pomoc najodleglejszym okolicom a mianowicie w miejscach wiar pomięszanych darząc je kościołami i szkołami. — Bóg niechaj was i nas błogosławi. —

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Rawicz w uroczystość Najsłodszego Imienia Jezus 1857.

Komitet do zakupienia katolickiej plebanii i szkoły.

X. *Gaertig*, *Langner*, *Tilgner*, *Gütler* i *Thaler*.

Wizyta Księcia Biskupa Förstera w Poznaniu.

Jaśnie Oświecony Książę Biskup Wrocławski Dr. Förster opuszczając po zjeździe biskupów szlązkich Berlin, przybył dnia 16 stycznia koleją żelazną wieczornym pociągiem do Poznania w odwiedziny do Jego Arcy-Biskupiéj Mości J. O. Księdza Arcy-Pasterza. Powozy czekały go na dworcu kolei żelaznéj, zesiadł w pałacu arcy-biskupim w pokojach dlań przygotowanych. Książę biskup bawił w Poznaniu przez sobotę i niedzielę, zwiedził katedrę, oddał wizyty J. W. księdzu Biskupowi Suffraganowi i J. W. księdzu prałatowi Brzezińskiemu. W nie-

dzielę dawał J. O. ksiądz arcy-biskup na cześć dostojnego gościa obiad, na który zaprosił naczelne władze rządowe i kapitułę. — Książę biskup wyjechał w niedzielę po obiedzie z powrotem do Wrocławia. — Dostojni prałaci odbyli w sobotę i w niedzielę długie konferencye.

Statystyczne wiadomości.

Z rubryceli Archidyecezyi Gnieźnieńskiéj i Poznańskiéj wyjmujemy za rok ubiegły następne statystyczne wiadomości:

	Poznańskiéj,		Gnieźnieńskiéj.
Dekanatów	22	—	16
Parafii	335	—	211
Kościołów filialnych	95	—	11
Księży	396	—	195
Dusz	582,967	—	275,197
Nowo wyświęconych księży	14	—	5
Zmarło księży	12	—	10
Kanoników z prałatami	9 (1 wakans)		6 (1 wakans)
Zakonników			
1) Dominikanów	2	—	„
2) Reformatów	10 (w 2 klasz.)		„
3) Braci	2	—	1
Zakonnic rozmaitych reguł	1	—	5
Sióstr Miłosierdzia	36 (w 5 domach)		4
Professorów theologii w seminaryum	3	—	2
Professorów religi w szkołach	7 (1 dyrektor)		1
Rezydentów bez zatrudnienia	2	—	„
Emerytów	13	—	1
Filipinów	8	—	„
Missyonarzy	2	—	„
Kapelan wojskowy	1	—	„

Prócz tego wymienimy największe i najmniejsze parafie, przechodzące 5000 dusz a niedochodzące 300 dusz.

W Archidyecezyi poznańskiéj są najliczniejsze następne parafie:

W Poznaniu Ś. Marcińska liczy	8111	dusz	1 ks.
dito Ś. Małgorzata —	5215	—	6
Czarnków	5151	—	2
Lubasz (w Czarnkowskim)	5620	—	2
Odalanów	6371	—	2
Ostrów	6750	—	2
Koltów (w Ostrzeszowskim)	5422	—	2
Ostrzeszów	5045	—	1
Śrem	5695	—	2
Zbąszyń	6204	—	4

Najmniejsze parafie są:

Ossowasień (Dek. Wschowski)	216	dusz
Kosieszyn (dito Zbąski)	253	—
Koźminek (dito dito)	180	—
Czaplinek (dito Wałecki)	159	—
Lutynia (dito Nowomiejski)	272	—

W gnieźnieńskim są najliczniejsze:

Bydgoszcz	7000	dusz	3 ks.
Kcynia	5345	—	2 —

Liczby 300 dusz nie dochodzi tylko jedna parafia:

Stodoły pod Kruświcą licząca . . . . 192 dusze

		w Poznańskiéj,	Gnieźnieńskiej.
Przez frakcyą przypada			
na jednę parafią dusz	. . . .	1758 —	1308
na jednego księdza	. . . .	1462 —	1421

Spis zmarłych w archidyecezyi poznańskiéj w r. 1856.

Paweł Szulczewski Przeor Benedyktynów w Lubiniu.
Antoni Knoliński komaendarz w Pniewach.
Franciszek Bodziański kanonik regularny ś. Grobu komendarz w Grabowie,
Dionizy Musielski kanonik honorowy kapituły poznańskiéj emeryt w Wrocławiu.
Zachariasz Pospieszyński proboszcz w Nowem-mieście.
Edward Polcyn komendarz w Ostrowie.
Bonawentura Kulczewicz proboszcz w Buku.
Alojzy Mitschek komendarz w Nielentynie.
Marcin Ciecholewski pleban w Kotłowie.
Szymon Kobyliński rezydent w Osiecznie,
Michal Rydlewski neopresbyter w Środzie,
Adam Redel zakonu Cystersów, senior diecezyi emeryt w Pszczewie,

W archidiecezyi zaś gnieźnieńskiéj zmarli w tym czasie:

Ludwik Buske komendarz w Lubczu,
Bartłomiej Siuchniński dziekan, pleban w Graboszewie,
Alexander Krasnosielski komendarz w Rossoczycy,
Jakób Kiełczyński komendarz w Wierzchucinie,
Szczepan Eichstaedt dziekan i proboszcz w Gniewkowie,
Józef Budzyński emeryt pleban w Marzeninie.
Xawery Garoliński pleban w Tursku,
Michał Rydlewski wikary w Tursku,
Andrzéj Kamiński pleban w Kwieciszewie.

Niech odpoczywają w pokoju

Sekundycye ks, Schmidt.

W Parchaniu dekanatu Gniewkowskiego archidyecezyi gnieznieńskiej jest plebanem 806 dusz, ks. Piotr Schmidt urodzony 1783, święcony 1806 już od r. 1818 pasterzem tej samej trzody. Prócz tego obowiązku piastuje godność kanonika kollegiaty kruszwickiej. Ks. Piotr Piotr Schmidt obchodził w Niedzielę Różańca świętego dnia 5 października 50letnią rocznicę święceń kapłańskich. Licznie zgromadzone duchowieństwo, nauczyciele i parafianie, uroczyście obchodzili dzień ten dla jubilata święty; życzenia złożył imieniem obecnych braci ks. prałat Osiński proboszcz kollegiaty kruszwickiej. JO. ks. arcybiskup jubilatowi łaskawym powinszował reskryptem. Podczas nabożeństwa, które ks. Schmidt w assystencyi kapłanów sąsiednich celebrował, miał kazanie ks. Adamski z Szawłonic.

Obchodzenie Beth- und Busstagu.

Ponieważ w wielu stronach jeszcze katolicy doznają przymusu obchodzenia Beth- und Busstagu, chociaż prawnie do tego w naszych okolicach nie jesteśmy obowiązani zamieszczamy doniesienie o processie ztąd wynikłym przed sądem powiatowym Kempińskim, wyjmując je z pisemka, *Przyjaciel ludu katolickiego:*

W dniu 16 października r. b. powołany został przed Sąd Powiatowy Kempiński ksiądz Felix Strybel, proboszcz parafii Grabowskiej, aby się ostatecznie wytłómaczył w obec prokuratora policyjnego W. Boruckiego z Ostrzeszowa, na uczyniony mu zarzut, że w dzień pokuty modlitwy (Gebet- und Busstag) kazał w polu ludziom swoim robić.

Ze względu: 1) iż się odwołał na to, iż święceuia i zachowania świąt polecenie należy li tylko do jego władzy duchownej, i tej tylko w podobnych rzeczach słuchać powinien, a Ta mu podobnego święta zachowywać i święcić nie poleciła; 2) iż się odwołał na Breve Papiezkie z dnia 20 kwietnia 1788 r., które głosi „dzień pokuty przyjętym tylko został od tych parafien W X. Poznańskiego

obojga konfesyi do zachowania i święcenia, które należały i należą do obwodu Noteckiego; 3) iż się odwołał na rozporządzenie JW. Puttkammer, Naczelnego Prezesa W. X. Poznańskiego z dnia 5 kwietnia 1854 r. wydane do Radzców Ziemiańskich, W. Kühne z Mogilna, W. Stahlberg z Gniezna, W. Unruhe-Bomst z Wolsztyna, które tymże przypomina zastósowanie się do powyższ rzeczonego Breve Papiezkiego; 4) i nareszcie iż się odwołał na wyrok Król. Apelacyjnego Sądu Kryminalnego Senatu z dnia 24 września 1852 r. No. V 3100 głoszący w sprawie byłego Prokuratora Seminaryum Wgo Dorszewskiego iż rozporządzenie Król. Rejencyi z dn. 17 września 1838 r. mówi, jak niedziele i święta zachowanemi i święconemi być powinny, nie zaś, iż dzień pokuty i modlitwy równie od katolików ma być święconym, i z powodu tego założony rekurs przeciwko pierwszemu wyrokowi został odpartym jako nieuzasadniony; został w terminie powyższym przez sąd Kempiński ks. prob. Strybel wraz z dwoma swoimi parafianami, a nawet jednym również obwinionym mojżeszowego wyznania odwołującym się na pierwszych tłómaczenie, za niewinnego uznany.

Przeciwko czemu zaraz w terminie W. Borucki, prokurator policyjny z Ostrzeszowa założył rekurs z wnioskiem o podwyższenie kary do 3 talarów na proboszcza Strybla jako już drugi raz w tej samej sprawie obwinionego.

Dom Sierót w Gnieźnie.

Dom ochrony w Gnieźnie założony przez JO. X. Arcypasterza naszego w r. 1854, zostający obecnie pod opieką 4 Sióstr miłosierdzia wykazuje w r. 18⁵⁵/₅₆ dochodu 2949 tal. 23 sgr. 4 fen oprócz zaległości i naturaliów a rozchodu 2993 tal. 20 sgr. 5 fen. Żywiło się w 1szem półroczu 64 a w 2giem półroczu 87 sierót, ubogich lub dzieci ochronkowych. Dzieci chodzących do ochrony oprócz sierót w 1szem półroczu 96, w 2giem 195. Dyrekcya domu ochrony składa się z F. Żółtowskiego, X. kan. Dorszewskiego, X. wik. kat. Błaszkiewicza.

(Przyj. lud. katol.)

Nekrorolog ks. Polcyna.

Wyjmujemy z *Przyjaciela ludu katolickiego* nekrolog ks. Edwarda Polcyna kapłana rzadkich cnót a mianowicie gorącej pobożności.

Gdy żadne dotychczas pióro nie skreśliło obszerniej biegu życia i zasług ś. p. ks. Edwarda Polcyna, byłego nauczyciela religii przy gimnazyum w końcu proboszcz w Ostrowie, a tak nie oddał jeszcze należnego pamięci nieboszczyka hołdu, pozwalam sobie acz po czasie wspomnieniem pośmiertnem uczcić zmarłego pamięć. Zaiste stracił kościół i społeczeństwo najlepszego w świecie czlonka. Któż mi nie przywtórzy, kto znał z bliska życie i zasługi nieboszczyka? Wprawdzie nie głośną była sława jego, bo cichość jak była głównem duszy jego znamieniem, tak też nie kazała mu ubiegać się za doczesnemi pochwały i oklaski, ale raczej pragnęła tam złożyć sobie skarby, gdzie rdza i mól nie psuje i gdzie złodzieje nie wykopują i kradną. Idąc za skazówką ewangelii tak czynił, iżby lewica nie wiedziała co czyni prawica i w własnem sumieniu a nadziei wiecznej nagrody szukał zapłaty i zachęty. Żywo przejęty obowiązkami sumiennego kapłana i poczciwego obywatela dokonał przeznaczenia swego w najobszerniejszym zakresie i dla tego spodziewać się godzi, że dziś odebrał wieniec wiecznej chwały, który Bóg gotuje wiernym sługom swoim. Urodzony ś. p. ks. Edward roku pańskiego 1820 we Flatach pod Tucznem z rodziców pobożnych i dość zamożnych wyniósł z domu zarodek przyszłych cnót swoich. Wychowanie jakie odebrał, na gruncie religijnym oparte stało się dla niego i źródłem przyszłego pokoju jako też podwaliną arcyprzykładnego życia, którem się zawsze odznaczał. Pobożność jaką wyniósł z sobą z rodzicielskiego domu, głębokie zapuściwszy korzenie, nigdy go już nie opuściła i pozwoliła mu z zamętu namiętności ludzkich i wśród przykładów nieraz gorszących a zarażających zbyt łatwo młodociany umysł wyjść niepokalanie na honor Boga i cześć swojej duszy. W szkołach odznaczał się wzorową pilnością i naj-

czystszemi obyczajami ztąd, też pozyskał miłość swych przełożonych i szacunek swych rówienników.

Tak pięknemi ubogacony cnoty, gdy duszą życia jego było rozszerzanie czci Boga a zbawienia bliźnich, nie dziw, iż w stanie kapłańskim się rozmiłował, bo wszakże w nim mógł najwięcej poświęcić się Bogu i pracować nad myślą swojego życia, przysporzenia Bogu chwały a zbawienia bliźnim. To też widzimy go po chlubnem nauk gimnazyalnych ukończeniu ochoczo wstępującego w poczet przyszłych winnicy pańskiej pracowników. W półrocznem od kraju oddaleniu czerpał nauki teologiczne na uniwersytecie fryburskim i odprawia pielgrzymkę do Rzymu, by sobie u stóp świętych apostołów Piotra i Pawła uprosić potrzebne w zawodzie swoim łaski. Ustaliwszy się jeszcze w seminarium w zasadach wiary i moralności po półczwartorocznym pobycie wyświęcony na kapłana roku pańskiego 1845 z razu na wikaryusza przeznaczony do Żnina pod okiem Najprzewielebniejszego biskupa Suffragana a proboszcza żnińskiego ks. Brodziszewskiego wprawiał się w obowiąkach parochialnych. O ile tu dopełnił powołania swojego, świadczą parochia Żnińska i przyjaźń ks. biskupa suffragana, którego zaufaniem zaszczycony do śmierci. Tak zdolnego kapłana pragniono dać na przewodnika kształcącej się młodzieży, dla której nietylko miał być światłością ale jeszcze solą chroniącą od zepsucia. Powołany na nauczyciela religii do Ostrowskiego gimnazyum r. p. 1850, ile mu sił stało, łożył na dobro uczniów duchowe. Nauką i cnotą jej przyświecał a łagodność jego i sprawiedliwość jednała mu serca wszystkich. Tymczasem udarowany prezentą od książęcego patrona, objął z woli Najprzewielebniejszego Pasterza zarząd parochii ostrowskiej. Lecz niestety choroba która tak długo w nim nurtowała, coraz silniej występować zaczęła, paraliżując najlepsze jego chęci i nie tylko że go zmusiła do uchylenia się od pieczy powierzonej sobie młodzieży w roku pańskim 1854 ale i parochii z taką nie pozwolila oddać się gorliwością, z jaką jej służyć pragnął z całej duszy. Przecież zawsze o jej dobro dbały, nietylko w roku pańskim 1853 zarządził w niej missyą OO. Jezuitów, ale i sam acz chory, gdy tego wymagała potrzeba spieszył z swoją pomocą. Za radą lekarską udawał się do wód naprzód do Marienbadu, później do Reinerz lecz biegu choroby nic już powstrzymać nie zdołało. Zmęczony chorobą około wielkiej nocy roku bieżącego zapadł tak ciężko, iż łoża opuścić nie śmiał. I gdy żadnego doczekać się nie mógł polepszenia przyjął Sakramenta święte przygotowany na drogę wieczności. Dnia 3 kwietnia ogłosił dzwon farny, iż pasterz parochii żyć przestał. Aczkolwiek przewidywana ta chwila, niemniej przeto żałością ścisnęła serca wszystkich co znali nieboszczyka. Wszakże tak rzadko zjawia się cnota na tak podniosłym stopniu jak to w nieboszczyku widzieliśmy. — Wszakże zacne dusze tak rzadko się pojawiają — któżby więc szczerze nie zapłakał nad zgonem człowieka Bogu tylko i bliźnim poświęconego!

Licznie zgromadzone duchowieństwo a lud jeszcze liczniejszy dały mu świadectwo swego szacunku i poważania. Jako tchnął zawsze życzliwością dla ubogich, tak też jeszcze w chwilach ostatnich legował Towarzystwu Świętego Wincentego talarów 50. Słabość jego zbyt w końcu wytężone i śmierć zbyt wczesna nie pozwoliła ś. p. księdzu Edwardowi Polcynowi uczynić więcej, serce jego wszakże zawsze było niewyczerpane w czynieniu dobrze.

Oto głośne rysy życia i zasług ś. p. księdza Edwarda Polcyna a kreśląc je nie pozostaje jak życzyć, abyśmy takich kapłanów mieli jak najwięcej.

Boże! Daj jego duszy wieczny odpoczynek a światłość wiekuista niechaj mu świeci na wieki wieków. Amen.

Śmierć ks. Budzyńskiego.

Na dniu 10 b. m. spuszczono do grobu zwłoki śp. księdza Józefa Budzyńskiego, byłego proboszcza w Marzeninie, seniora i emeryta. Zgasły należał do nader małej liczby dziś jeszcze żyjących Nestorów, którzy ojczyznę swą w lepszem pamiętają położeniu. To też licznie zgromadzone duchowieństwo nietylko z wła-

ściwego dekanatu lecz i z sąsiednich, przybyło na oddanie ostatniej posługi zmarłemu, a obecność JWgo officyała konsystorza gnieznieńskiego świadczyła najlepiej iż zasługi nieboszczyka były więcéj jak zwyczajnego rodzaju. Cnoty i zasługi tego kapłana-weterana znalazły nader wiernego tłumacza w osobie ks. Przybyszewskiego, proboszcza ze Sławna, który treściwą, czułą i rozrzewniającą mową nad grobem, a zatem z serca pochodzącą, wszystkich bez wyjątku słuchaczy do łez poruszył i tym sposobem najlepiej zalety tego kapłana przytomnym do naśladowania przekazał.

Zmarły urodził się 1777 r. w Opieczkach pod Gieznem, dokąd go też na pobieranie nauk oddano. w ostatniem nieszczęsnem dziesiątku lat wieku zeszłego, jako młodzieniec kilkunastoletni, widząc drugą ukochaną matkę swą w niebezpieczeństwie, pospieszył zaciągnąć się do szeregów ojczystych, gdzie po odniesieniu rany w utarczce pod Łabiszynem i straceniu nadziei uzyskania rychłego oswobodzenia jéj postanowił na przyszłość obrać sobie stan duchowny

W r. 1800 na kapłana wyświęcony, przebył pierwsze dwa lata kapłaństwa na wikaryacie w Powiedziskach, poczem przeniósł się na probostwo do Marzenina, gdzie też aż do zgonu pozostał, a zatem przeszło 50 i kilka lat. — Całe jego staranie było skierowane ku dobru kościoła i powierzonych sobie owieczek, wszelkie światowe względy i doczesne korzyści były dla niego bezcennemi: miłość kościoła, ojczyzny i bliźnich swych miał jedynie na uwadze i dla nich jedynie żył pracą i ofiarowaniem mienia swego, a przecież cnoty i niezwykłe na ówczas wykształcenie, otwierały mu pole do wyższych godności w hierarchii kościelnéj!

W końcu żywota cierpieniami z jego poświęceń pochodzącemi i dolegliwościami z podeszłego wieku przyciśnięty, nigdy na nie nie szemrząc, oczekiwał spokojnie jako emeryt ostatnéj chwili swéj doczesnéj pielgrzymki. Na dniu 5 b. m. opatrzony św. sakramentami przeniósł się do lepszego życia, na które sobie licznemi dobremi pracami w długiem paśmie lat swego tu na ziemi pobytu zasłużył. Niezawodnie też Najwyższy wynagradzając cierpienia i zasługi jego przyjął go do błogosławionéj wieczności. (*Gaz. Poz.*)

Rocznica śmierci ks. Bibrowicza.

„. . . . In seculum memoria ejus in benedictione."
1 Mach. c. 3 v. 7.
„Na wieki pamięć jego, w błogosławieństwie."

Uczuciami wdzięczności, wiedzione duchowieństwo Koźminskiego dekanatu, godnie uczciło pamięć, swego niegdyś szanownego Dziekana, śp. księdza Bernarda Bibrowicza, zgromadziwszy się licznie w dniu 20 sierpnia 1856 r., do kościoła w Benicach, gdzie, jako w rocznicę śmierci rzeczonego dziekana, odprawiło za duszę jego, żałobne nabożeństwo z wigiliami, podejmowane gościnnie przez miejscowego rządzcę kościoła, JX. Stroińskiego proboszcza. Mszą świętą de requiem, śpiewaną, odprawił uroczyście JX. Kociński, prodziekan, proboszcz z Dobrzycy, po której przed konduktem, wstąpiwszy na ambonę, narysował w przypomnieniu znany obraz uczuć i przymiotów tego zgasłego dziekana, jakiemi on się za żywota wśród swych duchownych braci dekanalnych, — zawsze odznaczał. Przemówienie to ks. Kocińskiego brzmiało w osnowie następnéj.

„W pamięci wiecznéj pozostanie sprawiedliwy, po słuchu złego, „obawiać się nie będzie." Psalm III.

Te wyrazy króla proroka, dobrze nam malują żywot doczesny śp. księdza Bernarda Bibrowicza, niegdyś dziekana foralnego Koźmińskiego dekanatu, proboszcza w Odolanowie, którego śmierci rocznicę w dniu dzisiejszym żałobnie obchodzim

Tak jest: Szanowni Bracia Dekanalni! To wasze, tak ochocze a jednomyślne zebranie się, na ten obchód żałobnéj pamiątki, naszego niegdyś w dekanacie przewodnika, daje mi miarę waszego serdecznego przywiązania, jakieście do zgasłego tego męża powzięli. A wierzajcie mi, niezawodzicie się w takiem zbawiennem,

a pobożnem postanowieniu swojém; bo znać z poczucia prawości serc waszych, taki ten święty wypłynął zamiar; gdy w ten sposób, niosąc religijną posługę duszy zgasłego Bernarda, odświeżacie tém samém, słodką pamięć dni jego, wśród nas ubiegłych; — pomagacie mu świątobliwie, jeśli jeszcze tego potrzebuje do prędkiego oglądania światłości Niebieskiego Pana, „gdzie nic zmazanego nie wnijdzie,“ — słowem, w czynie dziś wyrażacie, czém serca wasze przepełnione; gdy z Psalmistą, o zgasłym naszym Bernardzie śmiało powiedzieć możecie. „W pamięci wiecznéj pozostanie sprawiedliwy, posłuchu złego, obawiać się nie będzie.“!

Nie inaczéj! Pozostanie we wdzięcznych uczuciach Koźmińskiego dekanatu, śp. ksiądz Bibrowicz, bo, wieloletniem urzędowaniem swojém jako dziekan, dowiódł, że się może posłuchu złego wśród nas braci swéj nie obawiać, bo swą prawością, zaskarbił sobie, błogą tę nagrodę, że w pamięci żywéj, — wiecznéj, — i tych pozostanie, co się znajdowali pod jego sterowaniem duchowném, i tych, co o dobrém imieniu jego, zasłychnąć mogli.

Nie tajno wam, czcigodni mężowie! iż długo ksiądz Bernard, naszemu dekanatowi przewodził, — lecz zbyt króciuchne zdało się to jego nam przywództwo! Czemu? bo obok chlubnego urzędu jaki piastował, szła zawsze z nim w parze, owa miłość swéj braci duchownéj, która wedle apostoła, złego nie myśli, a jednak zwycięża wszystko, która nałamanego, nie dołamuje, ale dobroczynnie podpiera, ocala, skutecznie wylecza.

Nasz ksiądz Bernard, z powagą swego wzniosłego urzędowania, umiał jaśnieć, tym niezwykłem urokiem jemu właściwego uczucia, które radbyś nazwał więcéj, niż miłością bratnią, bo z uczuciem, poważnego ojca.

W cichości, w porę upatrzoną, umiał zawściągnąć, że nie powiem skarcić zboczenie, nie zasmuciwszy nigdy zbaczającego, bo śp. ksiądz Bernard, biegł zawdy jako mąż prawy, nie w one złowrogie ślady zgubnéj dążności, niecnego syna Noego; lecz owszém, nosił przed sobą owę to miłości obsłonę, dobrych dwóch synów tegoż Noego! Bo zaiste! nie urząd zgasłym księdzem Bibrowiczem, lecz Bibrowicz urzędem mu powierzonym, władać poczciwie nawykł!

Stąd nie dopuścił, by szerzyć kaźń o złém na błądzącego, ale usiłował w cichości, w samym zarodku, tak złe skutecznie zawściągać, szczęśliwie usuwać, że po swém wyleczeniu, dopiero wiedział błądzący, iż staranną troską swego dziekana, ocalonym został; — a takie działanie jeno jest znamieniem, Chrystusowego kapłana. Zdawało się niekiedy, śp. ksiądz Bibrowicz burzliwy, jak wicher szumiący, lecz dorazu z pięknéj duszy jego, niepragnącéj nigdy zguby grzesznika, niczyjéj, — błyskał promień wesela, — nadziei — taki sam, jaki się uwydatnia po burzy, w miłym widoku różnofarbnéj tęczy: bo w zasmucone serce współ-kapłana, pogodę swéj gorącéj miłości przelewał; bo jak śnieg, przed dobroczynném ciepłem wiosennego słońca, tak pozorna ta groza jego nikła, topniała niepowrotnie w duszy jego kapłańskiéj.

Stąd jeno dobre, zdobiące imie duchownego przymioty, chciał widzieć, widział w kapłanach dekanalnych. Stąd, więcejby bolał nad wydarzonym usterkiem, jak sam grzeszący. Stąd wciągu wieloletniego, wśród nas urzędowania, nikogo pono z braci duchownych, na zwyczajnéj czy urzędowéj drodze nieznał, któregoby mu nie wypada,o pochwalić, zawsze jego dobrą wyświecać stronę, bo chluba, sława, naszego grona dekanalnego, była wyłącznie, sławą, chlubą, koroną sławy, jaką śród duchowieństwa jaśniał, tego zgasłego dziekana.

Stąd ni młodszy, ni poważniejszy wiekiem w dekanacie kapłan, nie uczuł, nie doznał nigdy od niego, wyroku potępienia, lecz owszem chlubne świadectwo, swego kapłańskiego żywota. Bo też ks. Bibrowicz, samby się wolał na wszystko narazić, niźli współ-duchownego o smutek przyprawić. Taka to ojcowska miłość, ogrzewała ślachetną pierś, tego poważnego dziekana. A więc zgasły ten nasz przewodnik nie burzył, ale budował, służył swej braci, nie indestructionem; ale owszem, in aedificationem, jak chce mieć apostół.

To też widocznie Bóg błogosławił takiej poczciwej dążności jego! I oto

świeży dowód, tej zaskarbionej sobie miłości, jaka hołd głębokiego szacunku i przywiązania, składa dziś nasz dekanat zmarłemu księdzu Bibrowiczowi, tą ochoczą a jednomyślną pamiątką religijną, tego uroczystego obchodu dnia jego zejścia z tej doczesnej ziemskiej pielgrzymki! I oto! pełni się na zmarłym tym kapłanie, cobym na jego wyrył grobowcu, a co piękniej jeszcze, na sercach waszych głęboko się snać wyryło, że:

„w pamięci wiecznej pozostanie sprawiedliwy,
„posłuchu złego, obawiać się nie będzie.“

I oto! świeżo zieleniejąca się gałązka wdzięczności waszej, jaką w przypomnieniu niesiecie uszczknioną na mogiłę tego zacnego dziekana!

Ucz się zebrany tu ludu prawowierny wdzięczności, jaka się zawsze starszym Twoim duchownym, od Ciebie należy, — ucz się, od tego licznego grona kapłanów dekanalnych, na tę rocznicę śmierci starszego swego brata kapłana zgromadzonych, jak to i Tobie, przystoi bydź pamiętnym na zgasłych Twoich pasterzy, ojców duchownych, bo Duch św. woła: „w odpocznieniu umarłego, daj odpoczywać pamiątce jego.“ Eccl. c, 38 v. 24.“ bo święta i zbawienna jest myśl, modlić się za umarłe, aby z grzechów rozwiązani byli.“ 2 Macha 12.

Z głębi też mej duszy, imieniem tego zgasłego przewodnika naszego księdza Bernarda, składam Wam dzięki, szanowni bracia dekanalni, że z tak rozległego dekanatu naszego, na podniesiony głos mój, podążyliście ochoczo do tej świątyni Pańskiej, by w ten sposób przez modły, — pienia żałosne, — i Przenajświętszą ofiarę mszy świętych, nieść pomoc, ulgę tę duchowną, duchownemu bratu naszemu, który jak Wam wiadomo, w onym pamiętnym a nie fortunnym roku 1848 w dniu 20 sierpnia, w dniu swego imiennego patrona Ś. Bernarda, w Odolanowie dokonał w Panu, swego doczesnego żywota. Bóg dobry, który podaną szklankę wody spragnionemu do zasług policzy, — policzy zaiste! i te wasze usługi religijne, na ulgę duszy naszego Bernarda, na zasługę wieczną wam samym: tak zaś policzy koniecznie jak policzył onemu Tobiaszowi, który gdy umarłym braciom swoim, grzebiąc ich służył; — oto, anioł boży Rafael, niósł i ofiarował trud i czyny i modlitwę jego, jako woń wdzięczną Panu! 3 Tobiae 12.

Bądź Panie duszy Bernarda kapłana miłościw, i przyjm modły nasze za niego Tobie niesione tak wdzięcznie, jak z wdzięcznością są dlań ofiarowane!

Światłość wiekuista niech świeci duszy jego na wieki! Amen!

DYECEZYA CHEŁMIŃSKA.

Wybór biskupa.

Kapituła Chełmińska po osieroceniu katedry w Pelplinie umieściła na liście kandydatów przeznaczonych do przedstawienia królowi 1) księdza kanonika Marwicza, 2) księdza kanonika Juliusza Prądzyńskiego Lic. Theol., 3) księdza proboszcza Osmańskiego, 4) księdza suffragana Jeschke. — Lista kandydatów wróciła z uwagami na drugim i trzecim miejscu „persona ingrata“; aby jednakże liczby kandydatów nie pozostawić na dwu tylko imionach pomnożono ją w Berlinie trzecim kandydatem w osobie ks. proboszcza Heyde proboszcza w Raciborzu na Szląsku, dyecezyi Wrocławskiej, kanonika honorowego kapituły Wrocławskiej. Ten przecież prosił kapitułę Chełmińską już przed wyborem, aby od niego wybór uchylić a to nasamprzód z powodu zdrowia, powtóre dla nieznajomości stosunków dyecezalnych, a nakoniec co najważniejsza dla niedostatecznej i niewystarczającej znajomości języka polskiego. Termin wyboru postanowiono na dzień 14 stycznia. Cała dyecezya gorące zasyłała modły o natchnienie Ducha świętego dla dostojnych wyborców. Dnia 12 stycznia zjechał komisarz królewski Naczelny Prezes Eichmann w towarzystwie radzcy regencyjnego Dra Dillenburger do Pelplina, powitany przez dziekana kapituły ks. Marwicza i ks. kanonika Donimierskiego na dworcu kolei

żelaznej zajął mieszkanie w pałacu biskupim. Dnia 13 przyjmował komisarz królewski wizyty członków kapituły, dla których tegoż dnia dawał obiad. — W sam dzień oboru o godzinie 8éj zebrali się obaj prałaci, 8 kanoników i 2 kanoników honorowych w sali kapitulnej i odebrali od kr. komissarza plenipotencyą królewską. O godzinie 9téj processionaliter udali się do katedry, gdzie JWMWM. ks. suffragan Jeschke odprawił wotywę „De Spiritu Sancto“ podczas której wszyscy wyborcy przyjmowali komunią świętą. — Po nabożeństwie wróciła kapituła processionaliter do sali kapitulnej, przybrawszy dwu świadków wyboru ks. dziekana Pomieczyńskiego i ks. dziekana Nelke i na notaryusza ks. Professora i Spirytuała Hasse. Po odmówieniu tamże „Veni Creator“ odebrano przysięgi naprzód od 3 skrutatorów, potém od świadków, od notariusza a w końcu od wszystkich wyborców. O 10½ rozpoczęto wybór cedułami opieczętowanemi. Ceduł znaleziono w urnie 13 — chociaż bowiem obecnych wyborców wyborców było 12, nieobecny dla podeszłego już wieku ks. kanonik Kościński przysłał przez upełnomocnionego mandatariusza głos swój na piśmie. Wybór trwał do samego południa, po którym naprzód w kapitule samej ogłoszono, że skutkiem wyboru kanonicznie odprawionego biskupem nominatem został JWIMĆ ksiądz prałat i dziekan kapituły Chełmińskiej Marwicz, poczem deputacya kapituły poszła wypadek ten ogłosić królewskiemu komisarzowi do pałacu, gdzie potwierdzenie na mocy plenipotencyi niezwłocznie nastąpiło. — Nakoniec ks. kanonik Bonin wstąpił na ambonę i ogłosił wybór zgromadzonemu duchowieństwu i ludowi w łacińskim, niemieckim i polskim języku. — Uroczyste *Te Deum* przy odgłosie wszystkich dzwonów zakończyło akt solenny. — Kapituła odprowadziła nominata do jego kurii, gdzie klerycy odśpiewali na cztery głosy fugę „Halleluja“ i psalm „Chwalcie Pana.“ O godzinie 2iéj królewski komisarz dawał wielki obiad, na który byli już poprzednio proszeni najwyżsi urzędnicy, najznakomitsi obywatele jak np. P. Hr. Czapski, Kalkstein, Jackowski, Marwicz, Gordon i księża niektórzy z dyecezyi, a mianowicie dziekani Sempłowski, Bartoszkiewicz, Reetz i Heller i proboszcze Laudmesser i Danzig. Przy obiedzie wzniesiono zdrowie króla, Jego Świątobliwości Papieża Piusa IX i nominata, kapituły i nakoniec komisarza królewskiego.

JWIMĆ ks. Marwicz urodził się 20 kwietnia 1795 w Tuchlinie parafii Sierakowickiej w powiecie Kartuzkim, odwiedzał gimnazyum w Braunsbergu, jako wolontariusz odbywał kampanią 1813—1815, poczem poszedł na uniwersytet do Wrocławia, 10 kwietnia 1830 odebrał dopiero kapłaństwo w 35 roku życia swego; był komendarzem u Panny Maryi w Toruniu, poczem proboszczem w Tucholi; nieboszczyk biskup nominował go kanonikiem, radzcą konsystorskim, dziekanem kapituły, nakoniec komissarzem kommissariatu biskupiego Pelplińskiego.

Składki do Tow. Ś. Bonifacego.

Z raportów rady głównej Towarzystwa Ś. Bonifacego w Paderborn wyczytujemy, że towarzystwo to w 20 dyecezyach należących do Niemiec jest zaprowadzone. Dyecezya Chełmińska dziwnym sposobem policzona także do liczby niemieckich dyecezyi złożyła w ostatnich trzech latach 4559 talarów; ale więcej jeszcze nas uderza, że i dyecezya Tarnowska liczy się do dyecezyi niemieckich, składki tej dyecezyi przez całe trzy lata wynosiły tylko 48 tal. Najwięcej złożyła dyecezya monasterska, summa z trzech lat wynosi 14,957 tal. z Monasteru. — Towarzystwo całe zebrało 84,025 tal.

Kapelan wojskowy.

Dla opatrywania potrzeb duchownych żołnierzy polskich z Prus Zachodnich jeszcze za życia ś. p. ks. biskupa Sedlaka proponowany został ks. kapelan Jan Połachowski apostolski delegat naczelny kapelan armii ks. Mencke w Berlinie przyjął proponowanego kandydata i powierzył mu kapelanią wojskową reskryptem z dnia 20 grudnia r. z. konsystorz Chełmiński rozporządzeniem 29 grudnia pozwolił ks. Połachowskiemu przyjąć ten urząd i nominacyą tę ze swej strony potwierdził. Gorliwość ks. Połachowskiego zapewnia wzorowe wykonanie trudnych tych obowiązków.

Gwiazdka dla ubogich dzieci w Gdańsku.

Od lat kilku życie kościelne w Gdańsku silnie się dźwiga. Dawniejszemi czasami ożywiał ducha religijnego w Gdańsku ks. Laudmesser, w nowszych czasach Gdańsk pod tym względem wiele winien Radzcy regencyjnemu Osterrathowi. Najsilniej podniosło się życie kościelne przez towarzystwo Piusa IX, które tam już od ośmiu lat istnieje. Jak przez 8 lat corocznie, tak i tego roku urządziło towarzystwo to gwiazdkę dla dzieci ubogich w sali giełdowej bractwa strzeleckiego. Obdarzono tego roku 550 dzieci. Sala rzęsisto oświecona była do tego stósownie przybrana; szopka ślicznie ubrana sama już rozradowała i dzieci i obecnych dobroczyńców. Na stołach rozłożono 550 najrozmaitszych podarunków zastósowanych do potrzeb i do zasługi małych gości. Rozpoczęto uroczystość odśpiewaniem pieśni nabożnych z towarzyszeniem orkiestry. Nauczyciel religii ks. Redner przemówił potém, po mowie odśpiewano na trzy głosy pieśń Jego Eminencyi ks. kardynała Geissel „Huldigung dem Jesuskinde“ — nakoniec wykonano oryginalną i wesołą symfonią Haydena „Die Kindersymphonie“ — w której dziatki same wykonywały partie grzegotki, kukułki, bębenka, tamburinu i innych instrumentów wesołych. Całe zgromadzenie przejęło się wesołą zabawą dziatek. Nakoniec rozdano dary. Pomiędzy gośćmi znajdowała się księżna Maria Hohenzollern, Prezes Policyi P. Klausewitz, dyrektor gimnazym P. Löschin.

Statystyczne wiadomości,

Doszła nas rubrycella (directorium) dyecezi chełmińskiej na rok 1857. Dowiadujemy się z niej, że w tejże dyecezyi jest 224 parafii z tyluż kościołami i 124 filialnych kościołów i kaplic, 321 kapłanów a 441,081 dusz. Wedlug tego wypada na jednę parafią 1969 dusz a na jednego księdza 1374 dusz. Pomiędzy parafiami jest 8 liczących więcej jak 5000 dusz a 4 niedochodzące 300 dusz a mianowicie Brus z Leśnem 8905 dusz, 2 księży; Strzepcz i Sianowo 7504 dusz, 2 księży; Czersk z Łęgiem 7196 dusz 2 księży; Kolonia i Seefeld 6870 dusz, 2 księży; królewska kaplica w Gdańsku 6057 dusz, 3 księży; Chełmno 5090 dusz, 3 księży; Śliwice 5088 dusz, 1 ksiądz; Gdrudziądz 5008 dusz, 2 księży; Linowe 244 dusz; Thurau 225 d.; Szaynych 178 d.; Czarnowo 151 d. — Pomiędzy 321 księżmi świeckiemi liczą się 10 kanoników (1 kanonikat honorowy wakuje), 4 wikaryuszy katedralnych (dwa wikaryaty wakują); 3 profesorów w seminarum (1 profesor wakuje), 1 radzca regencyjny, 2 profesorów gimnazyalnych, 1 dyrektor seminaryum nauczycielskiego, 3 kapelanów więzień, 1 kapelan dywizyi, 2 kapelanów missyjnych, 1 dyrektór emerytów, dom demerytów jest pod dozorem miejscowego proboszcza, 12 emerytów, 1 kapelan sióstr miłosierdzia, 224 proboszczy i komendarzy, 50 wikariuszów, bez posady 6, wakuje 61 wikariatów. Najstarszy kapłan proboszcz z Pruszcza dekanatu Tucholskiego ks. Józef Grubicki urodzony 1769 r. 31 grudnia, święcony 20 czerwca 1798, a zatem 87 lat stary a 58 lat przeszło kapłanem do dziś dnia pełni czerstwy swe obowiązki. W roku ubiegłym umarło 7, wyświęciło się 6. — W seminarium jest alumnów 49 w 4 kursach. Klasztorów reformackich jest 2, jeden w Nowem z prowincyałem, prezesem, 4 ojcami, 2 braćmi i 8 nowicyuszami a drugi w Łękach pod gwardyanem z 5 ojcami i 2 braćmi. — Sióstr miłosierdzia Ś. Wincentego w Chełmnie zatrudnionych chorymi i sierotami jest 10, w Gdańsku trudnią się 4 Siostry reguły Ś. Karola Boromeusza pielęgnowaniem chorych. Konsystorzem zawiadował Jgo WJMĆ ks. administrator i suffragan Jerzy Jeschke. Drugą instancyą dla konsystorza chełmińskiego jest konsystorz Arcybiskupi Gnieźnieński, o trybunale trzeciej instancyi niema żadnej wzmianki.

Dla braku miejsca zmuszeni jesteśmy odłożyć pozostające części *Kroniki* do przyszłego numeru, co tem śmielej czynimy, żeśmy w przeszłym poszycie bardzo obszernie wyłuszczyli zdarzenia w Świecie Katolickim.

Czcionkami N. Kamieńskiego i Spółki w Poznaniu, ulica Berlińska Nr. 32.